cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #236 09/2026

Piotr Lisiewicz
NIESAMOWITA HISTORIA KRZYSZTOFA WYSZKOWSKIEGO

Antoni Rybczyński
PIRAT PUTIN, CZYLI ROSJA BOI SIĘ O „FLOTĘ CIENI"

Małgorzata Matuszak
KOMPAS BEZ PÓŁNOCY? O TYM, DOKĄD ZMIERZA POLSKA SZKOŁA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Czy podzielona prawica zdoła wygrać wybory

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

ISSN 1895-4960

TEMAT NUMERU 4–15



Prawica ma 52–53 proc. I mimo to może oddać władzę Tuskowi / 4

IDEE 16–31



Rewolucja Sokratesa / 16

HISTORIA 38–57



Niesamowita historia Wyszkowskiego. Jako 15-latek rzucił szkołę, ... / 7

KULTURA 58–79



Moje rzeźby tworzę ze światła, lekkości i przezroczystości / 66

ŚWIAT 76–98



Pirat Putin, czyli Rosja boi się o „flotę cieni” / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z Łukaszem Pawłowskim rozmawia Jakub Maciejewski
Prawica ma 52–53 proc. I mimo to może oddać władzę Tuskowi /4

Z prof. Henrykiem Domańskim rozmawia Grzegorz Wszołek
Decydujący po wyborach będzie Nawrocki. Rozpad na prawicy osłabia PiS /12

IDEE

Jakub Maciejewski
Rewolucja Sokratesa /16

Ewa Polak-Pałkiewicz
Postmodernizm kradnie język /22

Małgorzata Matuszak
Kompas bez północy? O tym, dokąd zmierza polska szkoła /28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Niesamowita historia Wyszkowskiego. Jako 15-latek rzucił szkołę, ... /38

Dariusz Jarosiński
Naród nie do uzdrowienia? /44

Agnieszka Kowalczyk
Z Juliuszem Słowackim nie tylko w Ziemi Świętej /50

Wiktor Alter
O komunizmie i komunistach /56

KULTURA

Z Ludwiką Ogorzelec rozmawia Józef Pałkiewicz
Moje rzeźby tworzę ze światła, lekkości i przezroczystości /66

Krzysztof Karnkowski
Słyszeć, widzieć, wierzyć /66

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Pirat Putin, czyli Rosja boi się o „flotę cieni” /76

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /81

oprac. Antoni Rybczyński
Oś wstrząsów, czyli blok CRINK /84

Hanna Shen
Biało-Czerwoni w Tajpej. Pas ochronny wolnego świata /88

Michał Muszalski
Autostopem przez Kirgistan /92

Stałe **rubryki**



Katarzyna Gójska
Demobilizacja prawicy to największe wsparcie dla Tuska
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
A rząd wciąż stoi
PAPKULTURA 11



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Nie chcemy samobójstw? Ratujmy więzi, twórzmy sieci wsparcia
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 32



Marek Kalinowski
Historia z drugiej ręki
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 70



Małgorzata Matuszak
Czym jest... zwyczajność
KATECHIZM INTELIGENTA 71



Krzysztof Wołodźko
Odys, Google Maps i wielkie wędrowanie
DZIENNIK LEKTUR 72



Tomasz Sakiewicz
Ostatnia wojna Donalda Tuska
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 22 290 29 58 (wew.1)
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Demobilizacja prawicy to największe wsparcie dla Tuska

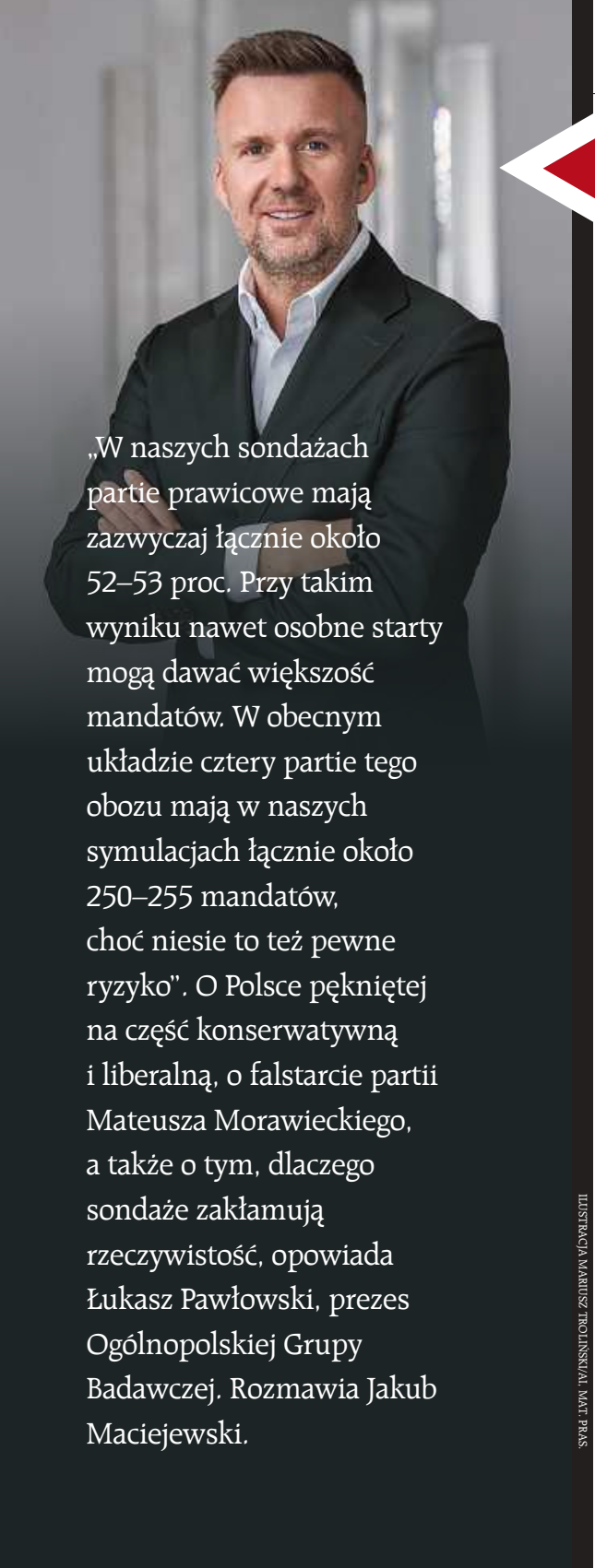
Rozłam w PiS nastąpił w najkorzystniejszym dla Tuska momencie – bo właśnie teraz szef rządu szykuje się do najbardziej brutalnego uderzenia w demokrację.

W perspektywie kilku tygodni nielegalnie przejmie Trybunał Konstytucyjny lub przynajmniej w części siedziby zorganizuje wierną sobie jego atrapę. To dzięki niej będzie chciał przygotować grunt pod przyszłoroczne wybory, których przegrać nie może. Wyjście z Prawa i Sprawiedliwości kilkudziesięciu polityków z byłym premierem Mateuszem Morawieckim na czele nie tylko w sposób oczywisty wprowadziło zamęt w szeregach opozycji, lecz przede wszystkim zdemobilizowało część prawicowego elektoratu. I zapewne podkopało wiarę w możliwość odsunięcia od władzy Koalicji Obywatelskiej. Wielu polityków opozycji zapewne nie docenia jeszcze tego efektu ich politycznych podziałów, ale już za kilka miesięcy – gdy ruszy właściwa kampania wyborcza – przekonają się o tym na własnej skórze. Ale jest jeszcze jeden – ważniejszy – aspekt tego zjawiska. Rozczarowani zwolennicy przestają angażować się w sprawy publiczne. Częściej wybierają spokój i odcięcie się niż aktywność i zainteresowanie. I właśnie ten marazm może być najsilniejszym wsparciem dla złowieszczych planów Tuska. Wycofani obywatele nie staną z taką determinacją do walki o swoje prawa, jak wówczas, gdy mają poczucie siły i obecności zjednoczonej reprezentacji politycznej. Przyszłoroczne wybory będą autentycznym starciem o przyszłość Polski. Bilans trzech lat rządów koalicji 13 grudnia jest dramatyczny. Doszło do siłowego przejęcia mediów publicznych, nielegalnego zawłaszczenia wymiaru ścigania, daleko idącej ingerencji w niezawisłość sądów, zniszczenia służb specjalnych oraz realnego przetestowania opcji nieuznania wyniku wyborów. To ostatnie zakończyło się fiaskiem – Hołownia nie dźwignął wyznaczonego mu zadania, choć, powiedzmy uczciwie, we wcześniejszych akcjach spełniał pokładane w nim nadzieje. Jednak już niebawem sytuacja mocno się zmieni – arsenał antydemokratycznych środków znacząco wzmocni „nieestetycznie" – używając określenia samego szefa rządu – zdobyty Trybunał Konstytucyjny. To on będzie z jednej strony dawał władzy pozory legalności nawet wówczas, gdy ta będzie łamać najbardziej podstawowe prawa demokracji, a z drugiej będzie podważał legalność tego, czego ekipa Tuska jeszcze nie opanowała. Jeśli w najbliższych tygodniach i miesiącach prawicowi wyborcy będą męczeni wybuchającymi co rusz nowymi przepychankami w środowisku dawnej Zjednoczonej Prawicy, to koalicja 13 grudnia przesądzi o następnej kadencji nie wyborczym zwycięstwem, ale metodami państwa policyjnego. ■

Prawica ma 52–53 proc. I mimo to może oddać władzę Tuskowi



Jakub Maciejewski



„W naszych sondażach partie prawicowe mają zazwyczaj łącznie około 52–53 proc. Przy takim wyniku nawet osobne starty mogą dawać większość mandatów. W obecnym układzie cztery partie tego obozu mają w naszych symulacjach łącznie około 250–255 mandatów, choć niesie to też pewne ryzyko". O Polsce pękniętej na część konserwatywną i liberalną, o falstarcie partii Mateusza Morawieckiego, a także o tym, dlaczego sondaże zakłamują rzeczywistość, opowiada Łukasz Pawłowski, prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej. Rozmawia Jakub Maciejewski.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLINSKI/AI, MAT. PRAS.

» W przedwakacyjnym wywiadzie dla tygodnika „Gazeta Polska" (nr 31 z 29 lipca 2026) postawił Pan tezę dość sprzeczną ze zwykłą intuicją wyborczą: że elektoraty dwóch głównych obozów – prawicowego oraz lewicowo-liberalnego – są w dużej mierze zabetonowane i przepływy między nimi praktycznie nie występują. Czy oznacza to, że partiom pozostaje właściwie jedynie mobilizowanie własnych wyborców?

Elektorat możliwy do pozyskania przez jedną albo drugą stronę jest niewielki, ledwie kilkuprocentowy, i właściwie również wpisuje się w logikę mobilizacji.

» Czyli gdy w obozie lewicowo-liberalnym powstaje partia Szymona Hołowni, Polska 2050, to po to, aby zmobilizować tych, którzy nie chcą wprost poprzeć Donalda Tuska? Powstaje niejako Platforma Obywatelska w bardziej lekkostrawnej wersji?

Przypadek Trzeciej Drogi [koalicja Polski 2050 i PSL – przyp.red.] był nieco inny. Start koalicji, skierowanej do szerokiego elektoratu, spowodował, że była ona w stanie zmobilizować bardzo dużą grupę swoich wyborców. Jedna osoba mogła zagłosować na Lewicę, ktoś inny na Szymona Hołownię, a jeszcze ktoś na Platformę Obywatelską. Wówczas tak szeroka koalicja miała sens, ponieważ cały ten obóz miał szansę zdobyć ponad 50 proc. głosów. Istniała tam potencjalna większość.

Dodatkowo Trzecia Droga odbierała m.in. Prawu i Sprawiedliwości kilka punktów procentowych. Tak naprawdę to właśnie Trzecia Droga wygrała dla dzisiejszej koalicji większość, którą ma ona w Sejmie. Dosłownie zrobił to Szymon Hołownia, a punktem przełomowym była debata telewizja, w której fatalnie wypadli Mateusz Morawiecki

i Donald Tusk. Ujawniło się zmęczenie polaryzacją, przekonanie, że te dwie partie już niczego nie „dowożą", że nie ma w tym żadnej nowej treści. Dobrze wypadł natomiast Hołownia i w ciągu około 10 dni poparcie dla Trzeciej Drogi urosło z około 7 proc. do 14 proc. Zdecydowanie większa część tego wyniku należała do Polski 2050, a nie do PSL. Hołownia przyprowadził na tę stronę wyborców wahających się – tych kilka punktów procentowych.

» Na ile wyborcy tych „dwóch Polsk" są świadomi swojej przynależności do określonej grupy tożsamościowej? Wiele osób mówi przecież, że głosuje na program, przedstawia argumentację sprawiającą wrażenie racjonalnej. Badania przytoczone przez Drew Westena w książce „Mózg polityczny" pokazują, jak wyborcom republikanów i demokratów przedstawiano ich liderów głoszących poglądy politycznych przeciwników: republikanin prezentował postulaty demokratów, demokrata – republikanów. Okazywało się, że wyborca przeważnie i tak pozostawał przy swoim liderze – wbrew własnym poglądom. Jak wygląda to w Polsce? Na ile ktoś, kto nie należy do ścisłego rdzenia Koalicji Obywatelskiej albo Prawa i Sprawiedliwości, ma świadomość przynależności do Polski tradycyjnej albo Polski postępowej?

Ta świadomość jest dokładnie taka sama jak w USA, czyli właściwie żadna. Tym, co łączy oba środowiska – liberalne i konserwatywne – jest przede wszystkim negatywny stosunek do strony przeciwnej: do Donalda Tuska z jednej strony i do Jarosława Kaczyńskiego z drugiej.

Gdybyśmy jednak zapytali samych wyborców, powiedzieliby, oczywiście, że głosują na program, na najlepszą partię i tak dalej, choć to wieloletnie głosowania w kolejnych wyborach tak nas ukształtowały. Nieprzypadkowo dzisiejszą polaryzację podtrzymują przede wszystkim wyborcy w wieku 60 plus. Wybory polityczne Polaków przed czterdziestką wyglądają już zupełnie inaczej. Jest tam znacznie więcej nowych partii i znacznie większa ruchliwość. Natomiast ludzie, którzy mają za sobą 12 lat głosowania przeciwko Kaczyńskiemu albo przeciwko Tuskowi, niejako automatycznie odnajdują się po jednej z tych stron.

Jeżeli w danym obozie pojawia się nowa partia, jednym z najważniejszych kryteriów jej oceny staje się właśnie stosunek do strony przeciwnej, który musi być twardy. Gdy Hołownia wysłał sygnały, że mógłby współpracować z PiS, stracił wiarygodność w swoim obozie.

» Jakie są jednak podobozy w tych większych obozach światopoglądowych? Partia Razem czy Korona Brauna głównie atakują siły we własnych obozach.

Można to opisać tak, że polaryzacja nadal jest silna, ale jednocześnie jest mocne zmęczenie duopolem dwóch dominujących partii – Koalicji Obywatelskiej i PiS. To zmęczenie podobne po obu stronach, tyle że po prawej stronie obserwujemy większy ruch. Powstało środowisko Brauna, powstało środowisko Morawieckiego. To samo może jednak wydarzyć się po stronie liberalnej.

Podstawowym podziałem staje się dzisiaj establishment kontra antyestablishment. Establishmentem jest dominująca partia w danym obozie, a antyestablishmentem ktoś, kto próbuje ją „wysadzić z siodła".

Mamy zresztą nie tylko dwa obozy polityczne i dwa środowiska wyborcze. Mamy również dwa środowiska medialne. Media zazwyczaj stoją po stronie establishmentu własnego obozu.

Jeżeli powstanie jakaś nowa partia liberalna, to jej największymi przeciwnikami będą nie tylko media prawicowe, lecz także „Gazeta Wyborcza", TVN i inne media związane z liberalnym establishmentem. Po prawej stronie widzimy dokładnie ten sam mechanizm. Do poważnych krytyków Morawieckiego należą Telewizja Republika i inne media prawicowe, ponieważ z uwagi na swoją historię i funkcjonowanie są związane z establishmentem tej strony. Przełamanie tego schematu jest bardzo trudne.

» I partia Morawieckiego ma w tym krajobrazie uchodzić za antyestablishmentową?

Chciałaby za taką uchodzić. Morawiecki zaczął mówić o zmęczeniu polaryzacją w momencie, kiedy wyszedł z PiS. Wcześniej na tę polaryzację stawiał, bo liczył na przywództwo w starej partii. Pokazuje to pewne rozdwojenie, które uważam za największą wadę projektu Morawieckiego.

Po stronie liberalnej największą zaletą Szymona Hołowni w 2023 roku było właśnie to, że pochodził z zewnątrz, mógł zatem opowiadać o nowej wersji tej strony, o Trzeciej Drodze. Morawiecki takiej historii opowiedzieć nie może.

» Z całej Pańskiej diagnozy Polski i polskich elektoratów wynikałoby, że przy ordynacji d'Hondta główną filozofią wyborczą powinna być konsolidacja. Rozdrobnienie oddala szansę na przejęcie władzy, a konsolidacja – ze względu na sposób przyznawania dodatkowych mandatów większym komitetom – jest rozwiązaniem korzystnym.

To bardziej skomplikowane. Wszystko zależy od tego, czy dany obóz ma szansę na zdobycie większości głosów. W przypadku 2023 roku, po ośmiu latach rządów PiS, wszystkich aferach, zmęczeniu władzą, a przede wszystkim po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji – bo to właśnie on w największym stopniu zmienił scenę polityczną – było wiadomo, że strona opozycyjna może liczyć na ponad 50 proc. głosów. Jeżeli ma się ponad 50 proc., można startować szeroko, w kilku komitetach, i nadal zdobyć większość. Dzisiaj koalicja rządząca znajduje się w innej sytuacji. Nie może już liczyć na większość, ponieważ sama rządzi i jest źle oceniana. Przegrała wybory prezydenckie, a więc wyborcy pokazali jej, że większości po tej stronie nie ma. To Karol Nawrocki zdobył większość, a nie Rafał Trzaskowski.

Kolejnym krokiem tego obozu powinna być więc konsolidacja, czyli próba wyciśnięcia maksymalnej liczby mandatów z posiadanych procentów. Nie ma dzisiaj podstaw, by zakładać, że „koalicja 15 października", startując w kilku osobnych komitetach, zdobędzie ponad 50 proc. głosów. Jeżeli ma około 48 proc., bardziej opłaca jej się konsolidować.

Z punktu widzenia prawicy sytuacja jest odwrotna. Prawica wygrała wybory prezydenckie, a więc jest jej więcej. W naszych sondażach partie prawicowe mają zazwyczaj łącznie około 52–53 proc. Przy takim wyniku nawet osobne starty mogą dawać większość mandatów. W obecnym układzie cztery partie tego obozu mają w naszych symulacjach łącznie około 250–255 mandatów,

choć niesie to też pewne ryzyko. Zatem kto ma większość, ten może rozważać marsz po władzę na kilku listach, ale kto jej nie ma – powinien się konsolidować.

» Jeżeli jednak różnica wynosi zaledwie kilka punktów procentowych – dwa czy trzy – a z jednej strony mamy skonsolidowany obóz Tuska, a z drugiej cztery komitety wyborcze prawicy, to czy taki układ nie daje poważnego bonusu Tuskowi i nie zwiększa jego szans na utrzymanie władzy?

Oczywiście. Bardzo mocno to podkreślamy. Dzisiejsze publikowane sondaże, w tym nasze, w pewnym sensie zakłamują rzeczywistość. Nie dlatego, że wyniki są błędne, lecz dlatego, że nie wiemy jeszcze, w jakiej konfiguracji partie wystartują w wyborach.

Dzisiaj pytamy osobno o PSL, Polskę 2050 czy Razem, ale wszystkie te partie wypadają poniżej progu, to ich mandaty przepadają. A w dniu wyborów komitety będą skonstruowane inaczej. Powstanie albo jedna wspólna lista, albo będą dwie listy – na przykład jedna lewicowa, a druga zbudowana wokół Koalicji Obywatelskiej.

Badaliśmy takie scenariusze. Okazywało się, że zarówno przy dwóch listach, jak i przy jednej wspólnej liście dochodzimy albo do remisu, albo nawet do minimalnej przewagi Koalicji Obywatelskiej.

Sytuacja prawicy nie jest więc aż tak optymistyczna, jak mogłoby wynikać z bieżących sondaży.

» Czy jest możliwy wspólny start Morawieckiego z Trzecią Drogą?

To klasyczny przykład sytuacji, w której dwa plus dwa daje jeden, a nie cztery. Dla wyborców obu stron byłoby to rozwiązanie nie do zaakceptowania. Uważam zresztą ten scenariusz za absolutnie nierealny, także z punktu widzenia samych polityków.

Opowiadanie o takich możliwościach jest elementem innej gry. PSL buduje swoją pozycję jako ugrupowanie, które może pójść trochę w jedną, trochę w drugą stronę, aby zwiększyć własną zdolność negocjacyjną. Sądzę jednak, że politycy PSL doskonale zdają sobie sprawę, iż taki sojusz wyborczy nie miałby sensu. Ludzie, którzy głosowali na Trzecią Drogę, oddali głos m.in. po to, żeby odwołać Mateusza Morawieckiego. Ci, którzy głosowali na Mateusza Morawieckiego, nie chcieli PSL, Platformy Obywatelskiej, Tuska i tego obozu. Tego nie da się połączyć.

» Przejdźmy jeszcze do obozu prawicowego. Jeżeli potraktujemy poważnie deklaracje, że koalicja z Braunem jest niemożliwa, to jego partia może stać się „vetoplayerem", który nie zrobi nic konstruktywnego, ale wiele konstruktywnych rzeczy może zablokować.

Chyba że założymy scenariusz koalicji Koalicji Obywatelskiej z Konfederacją, a właściwie z częścią Konfederacji. Na ile jest to możliwe, pozostawiam na boku. Prawdopodobnie duża część elektoratu również by takiego rozwiązania nie zaakceptowała. Z jakiegoś powodu około 90 proc. wyborców Konfederacji w drugiej turze wyborów prezydenckich głosowało na Nawrockiego, a nie na Trzaskowskiego.

» Matematyka układa się jednak tak, że bez jego środowiska trudno zbudować większość.

Wypowiedzi polityków prawicy interpretuję w ten sposób: „Z Braunem nie, ale z posłami Brauna – tak". I to może być pewnego rodzaju wytrych. W grę wchodzą

również scenariusze rządu mniejszościowego i podobnych konstrukcji. Mogłoby to trochę przypominać sytuację z 2005 roku. Wiemy, jak coś takiego może się skończyć: niestabilnymi, bardzo niepopularnymi rządami, mocno skonfliktowanymi wewnętrznie, zajętymi własnymi sporami zamiast sprawami Polaków.

Taki scenariusz byłby zresztą bardzo groźny dla prezydenta Karola Nawrockiego, który w 2030 roku będzie walczył o reelekcję. Niestabilny system prawicowych rządów obciążałby także głowę państwa, a kandydat źle ocenianego obozu władzy nie ma łatwej drogi do zwycięstwa, co potwierdziły przypadki Bronisława Komorowskiego i Rafała Trzaskowskiego.

» Skąd bierze się w społeczeństwie tak duża nieufność wobec sondaży? Czy pracownie stosują także błędną metodologię, czy zdarza się, że na zamówienie albo pod wpływem sugestii manipulują wynikami na potrzeby propagandowe zamawiającego?

Bez konkretnych dowodów – na drugą część pytania nie odpowiem, choć pewne podejrzenia mam. Głównym problemem polskich badań i sondaży są pieniądze. Media stawiają przede wszystkim na badania tanie, czyli na przykład internetowe.

Drugim problemem jest sieciowość czy też środowiskowość polskiego rynku. Łatwiej zamawiać i publikować sondaże, które przechylają wynik na stronę liberalną, jeżeli dane medium samo należy do tego środowiska. Zgodnie z piosenką Młynarskiego: „po co babcię denerwować…".

» „…niech się babcia cieszy".

Media prawicowe robią to samo. Wolą publikować sondaże przechylające się w prawą stronę, żeby pokazywać własnym odbiorcom, jak dobrze wygląda sytuacja.

Jedno i drugie zjawisko psuje zarówno sondaże, jak i debatę publiczną. W zależności od tego, kto i gdzie zamawia badanie, pewnych sondaży pojawia się więcej, innych mniej. Ponieważ głównym problemem polskich mediów są pieniądze, na sondaże wydaje się coraz mniej. W konsekwencji spada również ich jakość.

My przyjęliśmy trochę inny model. Robimy sondaże dla siebie. Mamy specjalną usługę, z której finansujemy badania, dzięki czemu nie musimy pytać nikogo o to, kiedy, jak i dlaczego coś publikować. Robimy też wyłącznie badania CATI, co jest metodą drogą, ale dającą najlepsze wyniki.

» Dlaczego Polska w wyborach wypada tak prawicowo?

Nie jest to zjawisko wyłącznie polskie. Mamy szerszy ruch widoczny na całym świecie: Trump i republikanie w Stanach Zjednoczonych, AfD, a także CDU w Niemczech.

W 2023 i 2025 roku pytaliśmy respondentów o kwestie światopoglądowe i o to, czy określają swoje poglądy jako liberalne czy konserwatywne. W obu badaniach otrzymaliśmy niemal identyczny wynik: mniej więcej pół na pół.

» Ale czy Polska nie pozostaje tym krajem UE, w którym związki partnerskie osób tej samej płci mają najmniejsze umocowanie prawne? Mamy wiele takich wyróżniających nas na tle liberalnej Europy konserwatywnych kotwic, choćby w postaci Kościoła katolickiego.

Kompletnie się nie zgodzę. Z punktu widzenia badań poparcie dla związków partnerskich w Polsce wynosi około 65 proc. Dla ustawy

o statusie osoby najbliższej byłoby to zapewne około 70 proc. Także w sprawie aborcji, po wyroku Trybunału, większość opowiada się za możliwością przerwania ciąży do 12. tygodnia, bez dodatkowych warunków wstępnych.

» Tyle że z tych procentów nic dla politycznej rzeczywistości nie wynika.

Ponieważ politycy są dużo bardziej konserwatywni niż wyborcy – nawet politycy Koalicji Obywatelskiej. Natomiast sam fakt, że poparcie dla związków partnerskich jest tak wysokie i jednocześnie nie obserwujemy wokół tej sprawy gwałtownych protestów, pokazuje raczej coś przeciwnego. Pewne rozwiązania zbliżone do związków partnerskich wprowadzono już de facto tylnymi drzwiami i nie nastąpiła żadna społeczna rewolta. Nikt nie stoi przed urzędami stanu cywilnego i nie śpiewa „Boże, coś Polskę". Tak naprawdę większości ludzi ten temat już nie obchodzi.

Weto prezydenta wobec ustawy o statusie osoby najbliższej było – pod względem wyborczym – dużym błędem. Ten temat przestał emocjonować i opowiadanie o bronieniu polskiej rodziny przed jakimś wrogiem, którego poza grupą kilku panów w średnim wieku nikt właściwie nie widzi, rozmija się z nastrojami społecznymi. W sprawach stricte światopoglądowych prawica już dawno przegrała.

Tylko dlatego, że obecna koalicja nie miała się czym pochwalić – m.in. z powodu własnych konserwatywnych polityków blokujących zmiany – tematy te nie znalazły się w centrum kampanii prezydenckiej. Gdyby się tam znalazły, Nawrocki byłby w mniejszości zarówno w kwestii aborcji, jak i związków partnerskich oraz podobnych tematów.

» Czy to nie dziwne, że establishment jest bardziej konserwatywny niż społeczeństwo?

Politycy często stanowią pozostałość dawnego układu. Jeżeli mamy parlamentarzystów zasiadających w Sejmie od dekad, to w międzyczasie świat bardzo się zmienił, natomiast oni niekoniecznie. Podobnie wygląda sprawa z mitycznymi „prawicowymi wyborcami PSL". PSL nie ma już właściwie żadnych prawicowych wyborców. Nikt prawicowy nie głosuje dzisiaj na PSL, skoro jest on w koalicji z Tuskiem i Platformą Obywatelską.

» Skoro już rozłam w PiS stał się faktem, to czy nadal nisko ocenia Pan szanse partii Morawieckiego?

To był fatalny moment na start. Widać, że projekt nie był odpowiednio przygotowany. Nie widać nowych, zewnętrznych grup wyborców, które miałyby do niego napływać. Kolejne sondaże pokazują spadek poparcia dla Rozwoju Plus. Nie ma tam energii. Pojawiał się oczywiście ogromny, wręcz hiperoptymistyczny entuzjazm, szczególnie w mediach liberalnych, ponieważ one lubią sytuacje, w których prawica się dzieli.

Jeżeli jednak spojrzymy na sytuację chłodno i wyłącznie przez pryzmat danych, wszystko przemawiało przeciwko temu projektowi i nadal przeciwko niemu przemawia. Za najmniej prawdopodobny scenariusz uważam samodzielny start Mateusza Morawieckiego. Jeżeli poparcie znajduje się w granicach błędu statystycznego i jednocześnie w okolicach progu wyborczego, a pojawiają się już sondaże pokazujące wynik poniżej progu, jak choćby niektóre badania CBOS, to później może być tylko gorzej.

Historia podobnych projektów pokazuje, że zazwyczaj zaczyna się od górki, a potem z tej górki stopniowo się schodzi. Jeżeli więc szczytem jest 5 proc., to właściwie nie ma już przestrzeni, z której można bezpiecznie schodzić. ■



Marcin Wolski

A rząd wciąż stoi

Trwanie rządu Tuska zaprzecza nie tylko regułom polityki, lecz także zasadom grawitacji.

Przy ogólnej nieudolności, nagromadzeniu afer i kompromitacji, ze szczególnym uwzględnieniem fraucymeru Donaldinia – który jest jednym, wielkim dowodem przeciw parytetowi płci – dawno powinno nie być śladu po tym konglomeracie niekompetencji, a zarazem bezsilności. A jednak stoi, jakby nie bardzo miał z kim przegrać.

Afera szpitalna, afera Kłodzka, afera rakietowa. Jedne bardzo poważne, gdy w grę wchodzi życie ludzkie, inne wręcz humorystyczne, jak afera Gorgoniowej, pełnomocniczki rządu 13 grudnia do spraw wizerunku i promocji, 44-letniej profesorki o aparycji przeterminowanej studentki, która posługiwała się w swojej pracy eksperckiej sztuczną inteligencją. Mówiąc w skrócie, „Polaków portret własny" malował jakiś algorytm z Doliny Krzemowej. Można oczywiście stwierdzić, że lepsza sztuczna inteligencja niż żadna, ale czy to jest najwłaściwszy sposób na rządzenie państwem?

Wśród wielu zalet, jakimi dysponuje sztuczna inteligencja, można wskazać, że jest posłuszna temu, kto ją wynajął. A kiedy odpowiada na pytania, robi to ciepłym, delikatnie podszytym seksem głosem, predestynującym ją do bycia podsekretarką stanu, ministrą czy nawet premierką, kiedy Donaldinio zdecyduje się prysnąć na Zachód. Ale czy to będzie potrzebne?

Jego Tuskowatość, pod którego sterami łajba państwowa coraz bardziej nabiera wody, postanowił bowiem dokonać mocnego skrętu w lewo. Wspólna lista z socjalistami? Trudno jednak wyobrazić sobie Zandberga w roli „wisienki na rządzie". A i PSL nie marzy o tym, aby rozpuścić się w platformizmie. Pozostaje zatem Czarzasty i jego drużyna, pytanie tylko, do kogo Donaldowi jest bliżej – do Biedronia czy do Śmiszka? W efekcie oznaczałoby to pełny przechył na lewo – i partia zaczynająca od wartości konserwatywnych i rekolekcji w Tyńcu, poszłaby do wyborów pod czerwonym sztandarem, z „Międzynarodówką" na ustach i z Anną Żukowską na rękach.

Zresztą wiele wskazuje na to, że jest to trend ogólnoeuropejski – w bardzo wielu krajach, w obliczu zwyżkujących sondaży partii sprzeciwu, dochodzi do podobnych związków, które przestały już szokować, jak kiedyś romans damy ze swym szoferem czy ślub miliardera z własną kuchtą. Powyższy manewr niesie oczywiście taki efekt, że stare partie tracą coraz bardziej dawnych zwolenników, a ruchom alternatywnym tylko rośnie.

U nas usłużne sondażownie nie gwarantują sukcesu takiemu małżeństwu. Owszem, gdyby cały anty-PiS poszedł razem, a prawica rozbita… Być może więc jednoczenie pod egidą Tuska paradoksalnie może stać się potężnym argumentem na rzecz dogadania się na prawicy. W przeciwnym razie czekają Polskę długie lata eurokomuny czy, biorąc pod uwagę walory estetyczne, „brzydokomuny", a prawicę niekończące się konwenty Świętej Katarzyny, i to odbywane w podziemiu albo na wychodźstwie.

Modlitwa o jedność

Pohamujcie, chłopaki, ambicje,
ograniczcie, chłopaki, apetyt,
zanim wyślą na was policję,
nim zabiorą immunitety.
I konieczne się uczcie pokory,
zwłaszcza słowa, co brzmi: solidarność,
by wygrywać przegrane wybory,
a wygranych nie trwonić na darmo.
Zapomnijcie dawne urazy
i wybaczcie wzajemne winy,
cud nie zdarza się wiele razy,
gdy za słowem nie pójdą czyny.
Zgoda w Polsce – stan bardzo rzadki,
jak harmonia przy pustym korycie.
Dziś nie chodzi o wasze pośladki,
lecz o kraj, na którym siedzicie! ■

Grzegorz Wszołek

Decydujący po wyborach będzie Nawrocki. Rozpad na prawicy osłabia PiS

Powstanie Rozwoju Plus uszczupla elektorat PiS. Gdyby nie rozłam, miałoby ono w sondażach 28 proc. poparcia, z szansą na lepszy rezultat. W wyniku wewnętrznych konfliktów i powstania konkurencji jego baza wyborcza lekko się kurczy o 6–7 punktów procentowych. Jednak w dalszym ciągu to prawica ma więcej wyborców niż strona liberalno-lewicowa – mówi prof. Henryk Domański, socjolog PAN, w wywiadzie na temat rozpadu PiS i perspektyw wyborczych na rok przed decydującym starciem. Rozmawia Grzegorz Wszołek.

» Jesteśmy świadkami największego rozłamu na prawicy od 2011 roku. Wtedy od PiS odłączył się Zbigniew Ziobro z grupą kilku znanych posłów, powstała Solidarna Polska. Ostatecznie nowa formacja wystartowała w wyborach pod szyldem Zjednoczonej Prawicy w 2015 roku. Jak to się skończyło – wszyscy pamiętamy. Jakie są ryzyka podziału dla PiS i Mateusza Morawieckiego? Czy według Pana płyną z niego jakiekolwiek korzyści dla prawicowej opozycji?

Dla Mateusza Morawieckiego podział jest niezwykle istotny, ponieważ pozwoli mu realizować jego cele – jak wynika z deklaracji Rozwoju Plus, pierwsza to unowocześnienie funkcjonowania i modernizacja prawicowej strony polskiej sceny politycznej, druga – w zasadzie podstawowa – to pokonanie w wyborach Donalda Tuska. Z tego punktu widzenia plany Morawieckiego w ogóle nie kolidują, przynajmniej w teorii, z programem PiS. Dla byłego premiera ważne byłoby

wejście do parlamentu. Zapewne liczy też na to, że przyciągnie do siebie albo dużą część elektoratu PiS-u, albo ta partia w przyszłości przeniesie się do Rozwoju Plus. Morawiecki przedstawia wizję – jego zdaniem – skutecznego modelu działalności prawicy, który pozwoli wrócić do władzy i realizować te zadania, które wypełniał rząd Zjednoczonej Prawicy. Z tego punktu widzenia jego wyjście z PiS było korzystne. Wyniki sondażowe na poziomie 6–7 proc. – jak na koło poselskie – nie są aż tak złe, jakby mogło się wydawać, choć jestem przekonany, że Rozwój Plus liczy na więcej. Natomiast z punktu widzenia ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego obecny rozpad nie jest korzystny, ponieważ świadczy o tym, że coś nie działa w zakresie politycznej strategii, komunikacji i przede wszystkim poskromienia ego, aspiracji. Powstanie Rozwoju Plus uszczupla elektorat PiS. Gdyby nie rozłam, miałoby ono w sondażach 28 proc. poparcia, z szansą na lepszy rezultat. W wyniku wewnętrznych konfliktów i powstania konkurencji jego baza wyborcza lekko się kurczy o 6–7 punktów procentowych. Jeżeli rozmawiamy o konsekwencjach takiego stanu rzeczy dla wyników przyszłych wyborów, osobiście nie sądzę, że rozłam wiele zmieni. Wyborców konserwatywnych w Polsce jest więcej, około 52–53 proc., i stąd przewaga liczebna prawicy. Sytuację odmieniłaby wspólna lista liberalno-lewicowa, ale jest ona, w moim przekonaniu, praktycznie nierealna.

» Zbigniew Ziobro był – tak jak Mateusz Morawiecki – rozpoznawalny, miał status politycznej gwiazdy, a jednak Solidarna Polska uzyskała niecałe 4 proc. w wyborach do europarlamentu w 2014 roku. Czy taki sam los czeka Rozwój Plus, jeśli ugrupowanie postawi na samodzielny start?

Nie czeka, z następującego powodu: Mateusz Morawiecki nie jest Zbigniewem Ziobrą. Lider Rozwoju Plus ma konkretne osiągnięcia jako premier i w tej roli – w oczach wyborców prawicy – się sprawdził. Ziobro nie miał okazji ani możliwości, by zarządzać krajem, odpowiadał za funkcjonowanie prokuratury i wymiaru sprawiedliwości. Morawiecki jest traktowany bardziej poważnie – jako ktoś, komu można bardziej zaufać, jest światowy, rozmawia jak równy z równym z liderami zagranicznymi. Takiej roli Ziobro nigdy w polityce nie miał. Do 2015 roku były minister sprawiedliwości był postrzegany jako szeryf ścigający przestępczość zorganizowaną. Według mnie kwestia wizerunku i politycznych notowań Morawieckiego w 2026 roku są nieporównywalne z Ziobrą sprzed dekady.

» Wiele z perspektywy współpracy w obozie prawicowym będzie zależeć nie tyle od słów, jakie padną po obu stronach, a konkretnie między Jarosławem Kaczyńskim a Mateuszem Morawieckim. Czy prognozuje Pan, że konflikt między liderami się zaostrzy?

On może eskalować, ale nie z powodu Jarosława Kaczyńskiego. Lider PiS nie podgrzewa konfliktu, unika mocnych sformułowań, a zarzuty pod adresem Mateusza Morawieckiego i jego współpracowników padają najczęściej od czterech–pięciu osób z kierownictwa największej partii opozycyjnej, po czym następuje odpowiedź z otoczenia Morawieckiego. To przecież prezes PiS wyznaczył szefa Rozwoju Plus na premiera i chwalił przez wiele lat jego osiągnięcia. Z pewnością Kaczyński ma dylemat, jak powstrzymać eskalację prania wewnętrznych brudów, co nie służy obu stronom. I sądzę, że im bliżej wyborów, to nastąpi jakaś forma zbliżenia obu formacji. Na pewno powinny one zasiąść do rozmów na temat paktu

o nieagresji, jeśli nie o wspólnej liście. W moim przekonaniu wszystkie opcje są możliwe, włącznie z powtórką z historii Solidarnej Polski, która w 2015 roku wystartowała wspólnie z PiS i Porozumieniem.

» Na przyszłoroczne wybory czeka z niecierpliwością Grzegorz Braun, który liczy na dwucyfrowy wynik. Wyobraża Pan sobie prawicową koalicję z prorosyjską Konfederacją Korony Polskiej, która kwestionuje sens obecności Polski w NATO i strategiczne partnerstwo ze Stanami Zjednoczonymi? Taki układ może podzielić los sojuszu PiS z Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną z 2007 roku.

Nie ulega wątpliwości, że rządy sprawowane w ramach koalicji są bardziej ryzykowne i podatne na wstrząsy niż w gruncie rzeczy monopartyjne – jak PiS w 2015 i 2019 roku. Jednak analogia do sytuacji z Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną jest nieporównywalna z ewentualnym sojuszem z Konfederacją i formacją Grzegorza Brauna. Przede wszystkim cała prawica ma jeden cel, który przyświecał już w wyborach prezydenckich – pokonanie Koalicji Obywatelskiej. Wtedy Rafała Trzaskowskiego, a za rok zamiarem będzie odsunięcie Donalda Tuska od władzy. To wspólny mianownik wszystkich partii. Oczywiście, publicznie wyrażane poglądy przez Brauna na wiele spraw są nie do przyjęcia. Pytanie, czy aby zrealizować podstawowy zamiar, z jakim wyborcy prawicy pójdą do urn, będzie potrafił i chciał powstrzymać swój język. Nadrzędny cel powinien teoretycznie skłaniać do pójścia na kompromis, choć trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. Jest też kolejny dylemat: jak taką egzotyczną koalicję oceniłby elektorat PiS, a więc zdecydowana większość wyborców konserwatywnych. Dla Jarosława Kaczyńskiego mniej ryzykowny byłby układ z jedną Konfederacją. Nie wiemy ponadto, czy Konfederacja Korony Polskiej rzeczywiście zanotuje wynik dwucyfrowy lub zbliżony do 10 proc. Prorosyjskość Brauna nie przebija się aż tak bardzo do świadomości ludzi, jak jego sprzeciw wobec Ukrainy, Unii Europejskiej, deklarowana antysystemowość i niechęć do III RP. Te poglądy podzielają jego wyborcy, do niedawna oddający swój głos na PiS.

» Czy podział na aż cztery liczące się partie na prawicy – choć formację Brauna umieściłbym po tej stronie tylko ze względu na poglądy przeważającej części jej wyborców – służy Donaldowi Tuskowi i daje mu tlen? Co innego, kiedy jest jedna silna partia, skupiająca wyborców prawicy, dysponująca poparciem 38–40 proc.

Z pewnością pojawienie się na scenie politycznej najpierw Konfederacji Sławomira Mentzena, a później drugiej – Grzegorza Brauna – osłabiło w pierwszej kolejności PiS. Partia rządząca do 2023 roku straciła część elektoratu z dwóch powodów: pandemii i inflacji, którą pogłębiła wojna na Ukrainie. Do tego dochodzą obecne niepokoje, podsycane oczywiście przez część prawicy, czy Ukraina po wojnie z Rosją będzie konkurentem gospodarczym dla Polski. Nie zapominajmy jednak o tym, że przed polityczną jesienią Donald Tusk również ma swoje problemy. KO pozostaje liderem sondażowym, ale nie jest w stanie hipotetycznie zawiązać koalicji, gdyby wybory odbyły się w najbliższą niedzielę. Sprzymierzeńcy, jak Polska 2050, Unia Centrum i PSL, praktycznie nie istnieją w wynikach pomiarowych. Tusk dysponuje 28–30 proc. poparcia, ale nie posiada już rezerw, by poszerzać bazę wyborczą. Ewentualna koalicja KO z Lewicą będzie wykorzystywana przez PiS i całą prawicę w kampanii wyborczej, więc na pewno nie jest scenariuszem idealnym dla premiera – oprócz tego, że będzie musiał jakoś podzielić tort na listach wyborczych z Włodzimierzem Czarzastym. Patrząc całościowo, nie tylko prawica ma kłopoty.

» W sondażach po rozłamie między Jarosławem Kaczyńskim a Mateuszem Morawieckim PiS utrzymuje poparcie powyżej 20 proc., natomiast Rozwój Plus osiąga maksymalnie 8 proc. – najczęściej ledwo przekracza próg. Z kolei obecna koalicja nie ma szans na kontynuowanie rządów. Czeka nas po wyborach widmo politycznego pata?

Obstawiam, że największe szanse są na osobny start wszystkich partii w wyborach, z wyjątkiem wspólnej listy Koalicji Obywatelskiej i Lewicy. A i ten układ jest niepewny ze względu na potencjalne niezrozumienie w elektoracie lewicowym i tym, któremu może postkomunista na stanowisku marszałka Sejmu nie przeszkadza, ale co innego bezpośrednia współpraca z liberałami. Przed prezydentem Karolem Nawrockim stanie wizja wyboru jednego z kandydatów na premiera z dwóch przeciwstawnych obozów. Kogo wybierze? Nie wierzę, by nie był to polityk dotychczasowej opozycji. Głowa państwa wyraźnie wskazuje, że obecna ekipa rządząca się nie sprawdza, pogłębia dług publiczny, hamuje inwestycje, nie przedkłada pod obrady Sejmu propozycji ustaw przygotowanych przez Pałac Prezydencki. Dalej zdecyduje arytmetyka sejmowa. Każda strona będzie chciała przeciągnąć na swoją korzyść brakujące ogniwa do uzyskania większości po wyborach parlamentarnych.

» Pakt senacki pod patronatem prezydenta Karola Nawrockiego jest prostszy do realizacji? Wiadomo, że strona liberalno-lewicowa akurat w wyborach do izby wyższej wystartuje zjednoczona i będzie faworytem, jeśli nie dojdzie do szerokiego sojuszu na prawicy.

To jest możliwy scenariusz, trochę na wzór szerokiego porozumienia z 2015 i 2019 roku po stronie prawicy. Rzeczywiście rola Karola Nawrockiego może okazać się niezwykle ważna w tym procesie. Jedno jest pewne: bez jakiejkolwiek formy współdziałania, choćby nieprzeszkadzania sobie w jednomandatowych okręgach do Senatu, nie uda się odbić izby wyższej parlamentu. A Senat z prezydentem mają jednak określoną siłę rażenia na wypadek utrzymania władzy przez Tuska.

» Afera szpitalna, rozkradanie środków po powodzi, chwilę później cała Polska żyła raportem za blisko 200 tys. złotych o promocji Polski, napisanym przez sztuczną inteligencję, i dymisją pełnomocniczki rządu Barbary Mróz-Gorgoń. Poparcie dla Koalicji Obywatelskiej lekko spada w sondażach, ale nie na tyle, by zmienił się lider w badaniach. Partia Donalda Tuska jest teflonowa. Czy większe kłopoty to tylko kwestia czasu w roku wyborczym?

Nie mam wątpliwości, że problemy będą się piętrzyć przed rządem, zresztą bardzo źle ocenianym przez większość respondentów w badaniach. Ale aferalność władzy nie przekładała się na notowania partii rządzącej, może z wyjątkiem komisji śledczej ds. Rywina czy Orlenu, ale wówczas postępował proces gnicia Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Teraz z czymś takim nie mamy do czynienia, podobnie jak za czasów Zjednoczonej Prawicy. Przypomnę aferę hazardową z 2009 roku – wydawało się, że zatopi ona pierwszy rząd Tuska, tymczasem niedługo po niej notowania Platformy Obywatelskiej wzrosły i ta pewnie wygrała wybory parlamentarne w 2011 roku. Szczególnie niebezpieczna dla KO jest sprawa szpitali – politycznych układów w placówkach, pokojów dla VIP-ów, leczenia poza kolejnością, długów w ochronie zdrowia, odsuwanych w czasie zabiegów dla ciężko chorych pacjentów, likwidacja oddziałów. Tak, to koszmarna perspektywa z punktu widzenia rządzących, bo oddziałuje bezpośrednio na postrzeganie wśród Polaków, jak i ich zdrowie, codzienne życie. ■

Jakub Maciejewski



Rewolucja Sokratesa

Historię ludzkiego myślenia można podzielić na tę przed Sokratesem i na tę po nim. Za życia nic nie napisał, był postrzegany jako dziwak, prowadził się biednie, a wręcz nędznie. Na koniec machnął ręką na cały świat, umarł i stał się dla tego świata wielkim wzorem.



FOT. WIKIPEDIA

W Polsce ostatnich lat wydano dwie biografie Sokratesa, w których omawia się także jego filozofię. Autorem pierwszej jest prof. Ryszard Legutko, drugiej – Krzysztof Łapiński. Ten drugi zresztą dość ostentacyjnie pomija ustalenia i badania tego pierwszego, czego trudno nie uznać za polityczne uprzedzenie – Legutko wszak był czynnym politykiem Prawa i Sprawiedliwości. Tymczasem książka Legutki jest dalece bardziej wnikliwa i oparta na analizie tekstów oryginalnych, z uwzględnieniem specyfiki starożytnej greki, która nie jest przetłumaczalna w stopniu jeden do jednego na język polski i tamtejsze nazewnictwo ma swój wielowymiarowy, pogłębiony wymiar. U obu autorów jest też nieco inna ocena skali zasług Sokratesa. Łapiński pisze, że w zakresie filozofii „Sokrates wpisał się raczej w ogólny wzorzec, niż wprowadził coś radykalnie nowego". Autor opisuje więc ówczesne greckie społeczeństwo, pełne rozważań filozofów przyrody z jednej strony i sofistów – nauczycieli dialektyki, sztuki wymowy – z drugiej. Na tym tle Sokrates miał po prostu w dziejach ludzkiej myśli postąpić krok naprzód, a w większym stopniu nowatorstwem była zgodność jego myśli z czynami. Dziś byśmy powiedzieli za św. Janem Pawłem II, że Sokrates „dał świadectwo" wartościom, które głosił, zgadzając się na niesprawiedliwą karę śmierci i prowadząc swoją obronę uczciwie, bez sztuczek i kłamstw, które mogły go uratować. Jak pisał Ksenofont: „Zależało mu bardziej na dotrzymaniu przysięgi niż na przypodobaniu się ludowi wbrew temu, co słuszne, i na osobistym bezpieczeństwie wobec pogróżek owych osobistości".

» Epoka słowa

Zatem Sokrates był zaangażowanym obywatelem Aten, niekiedy pełniącym drugorzędne

funkcje publiczne, biorącym udział w bitwach tamtego okresu, ale był przede wszystkim nauczycielem, który – rzecz wyjątkowa – nie brał pieniędzy za swoje nauczanie. W tamtych czasach po świecie Hellady wędrowali wybitni mówcy, gromadzący wokół siebie młodych adeptów, uczących się od nich sztuki krasomówstwa. Słowo mówione było wtedy ważniejsze niż kiedykolwiek – w ustrojach monarchicznych podnosiło autorytet króla, w ustrojach arystokratycznych pozwalało zbijać argumenty przeciwników podczas kluczowych narad, a w demokracjach pozyskiwało lud do konkretnych decyzji. Słowo zmieniało bieg historii. Gdy na placu w Atenach stanęło naprzeciw siebie dwóch mężów – Temistokles i Arystydes – spierali się o wykorzystanie niedawno odkrytych złóż srebra. Arystydes chciał wzbogacić mieszkańców, rozwinąć w Atenach, co już było dobre. Temistokles chciał Ateny zmienić i przeznaczyć surowiec na flotę, która miała stworzyć imperium. Jak płomienna musiała być mowa Temistoklesa, skoro ludzie woleli nie brać pieniędzy od razu, lecz inwestować w daleką, burzliwą i niepewną przyszłość!

Takiego daru wymowy nauczali wędrowni sofiści, którzy nie bardzo przejmowali się tym, co jest w ich debatach prawdziwe, a co nie. Wcześniejsi filozofowie zajmowali się bardziej przyrodą – z czego pochodzą ziemia, człowiek, niebo, czym są ogień i powietrze. Sofiści zajmowali się ludzką naturą, ale w sposób nieco powierzchowny, bardziej w formie gier słownych. I oto naprzeciw nim stanął Sokrates, który uważał, że nie chodzi o zwycięstwa w potyczkach słownych, lecz o dochodzenie do prawdy i do cnót, takich jak sprawiedliwość czy męstwo. Oto rewolucja.

» Narzędzia nowej akuszerki

Przy tym wszystkim Sokrates nie zarzucił sztuki mówienia – stawał do pojedynków z sofistami, obnażając ich niespójności i drobne kłamstewka. Ale nie to było jego celem. Sokrates chciał w ludziach zaszczepiać dobro poprzez piękne i szlachetne słowa (kaloi logoi), którymi należało dbać o duszę. Wczytując się w pojęcie Sokratesa o duszy (jego myśl zapisali jego uczniowie i świadkowie jego życia, nie on sam), można by dziś przypisać je – używając języka współczesnego – świadomej wolnej woli i poczuciu sumienia. Ryszard Legutko przygląda się Sokratesowi z każdej strony – formy, treści, narzędzi przekazu. W jego monumentalnej pracy na temat filozofa często przewija się motyw „paradoksu Sokratesa" czy też różnych napięć w życiu wielkiego myśliciela. Głosił sprawiedliwość, ale sam przyznawał, że nie osiągnął ideału

Sokrates używał ironii, by zapobiec własnej pysze, co miał uchwycić później uczeń jego ucznia – Arystoteles.

sprawiedliwości, był mądry, ale pokorny, posiadał wielki autorytet, ale podczas dyskusji stawiał się w roli głupca, mówił o poważnych sprawach, ale nie stronił od ironii. „Był umysłem dominującym i mimo przybierania maski prostaczka doskonale kontrolował przebieg wymiany zdań oraz jej plan" – pisze Legutko. Musiał nieraz wystawiać swoich interlokutorów na śmieszność, skoro tak bezlitośnie stosował ironię: „Składały się na nią nierzadki żartobliwy ton, niepewność, dystans, zawieszanie sądów, a niekiedy pozorne lub rzeczywiste wycofywanie się z nich, częsta niejasność stanowiska samego Sokratesa, trudne do rozwikłania sprzeczności, mieszanina drwiny i powagi". Sokrates używał ironii, by zapobiec własnej pysze, co miał uchwycić później uczeń jego ucznia – Arystoteles. „Ironiści używający słów umniejszających wydają się wykazywać szlachetniejszy charakter. Ich słowa, jak się uważa, nie wynikają z pragnienia korzyści, lecz z chęci niepopadania w nadętość. Tego, czego szczególnie unikają, to właśnie przypisania im takich cech. I tak właśnie czynił Sokrates".

Ironia była niejako narzędziem pobocznym, ale myśliciel miał zupełnie inną koncepcję nauczania niż pozostali mówcy. Jako syn akuszerki sam uznawał siebie za akuszera, ale towarzyszącego porodowi nie dzieci, a myśli i cnót. Majeutyka była więc sztuką położniczą, „doglądaniem dusz w trakcie połogu". Miała też rolę swatki i Sokrates też swatał myśl z... nielubianymi przez siebie sofistami. Tu już był trochę brutalniejszy. Jak twierdzi Legutko, nauczyciel uznawał, że niektórzy mądrości nie zdobędą, nie posiadają wiedzy wrodzonej, która może się ujawnić przez anamnezę. „Wiedza powstaje z przypominania treści, jakimi od urodzenia dysponuje ludzka dusza. Jest to tak zwana teoria anamnezy" – pisze Legutko, ale przez swatanie niektórych ludzi z sofistami możemy dojść do wniosku, że niektórzy są po prostu głupi z urodzenia – oni muszą poprzestać co najwyżej na retorycznych sztuczkach. Poprzez odpowiadanie na spokojne pytania Sokratesa rozmówca miał odkrywać w sobie spójność wartości i konkretne cnoty, miał stawać się lepszym i bardziej świadomym człowiekiem. Człowiek odkrywający prawdę będzie wspinał się po drabinie wiedzy jak po szczeblach mądrych hipotez, a te kiepskie będą zawodzić. Wiedza sama w sobie ma służyć uszlachetnianiu duszy, i tutaj koncepcja tej niematerialnej części człowieka jest doprawdy bardzo nowatorska. Choć pewne ślady istnienia duszy odnajdujemy w Starym Testamencie (dopiero po Sokratesie Nowy Testament opowiedział o tym więcej), to jednak w świecie bez Boga objawionego, w świecie prosperity greckich poleis i helleńskiego dobrobytu, gdzie ludzie zastanawiali się albo nad przyrodą, albo nad skutecznością swoich działań, aspekt moralny był do tej pory zawężony do politeistycznej religii, która, cóż, była zawodna. Bogowie greccy nie bardzo martwili się o sprawiedliwość, raczej wymagali kultu, zewnętrznych objawów posłuszeństwa, a nie szlachetnego postępowania. I oto zjawia się Sokrates, który twierdzi, że (za Legutką) „należy dbać o duszę, że rozum jest najszlachetniejszą władzą w człowieku, że prawda, dobro i cnota są najgodniejszymi celami, że niesprawiedliwości nie wolno nigdy popełniać i że życie sprawiedliwe warte jest największej ofiary". Sokrates przekonywał ludzi, by kultywowali cnoty i szukali w sobie siły moralnej – niezależnej od praw, nacisków i opinii osób trzecich. Z perspektywy chrześcijan

XXI wieku możemy łatwo osądzić, że czysto rozumowa koncepcja moralności mogłaby nie wytrzymać próby czasu i że jest jej potrzebna siła zewnętrzna i nadprzyrodzona – Bóg. Ale w V wieku przed Chrystusem moralność sprowadzała się do słuchania prawa państwowego i zwyczajów religijnych, więc filozof proponował dalece więcej. „Niesprawiedliwość jest chorobą duszy" – twierdził Ateńczyk, który tym samym podkreślał, że czynienie zła szkodzi nie tylko ofierze, lecz także sprawcy. Do tego dotarła już psychologia XX wieku czy też przed tym ostrzegał Jezus, ale – znowu – Sokrates uczynił to wcześniej, doszedłszy do tego drogą rozumową, a nie pod natchnieniem Boga.

» Paradoks Sokratesa

Jeśli więc myśliciel w 399 roku został podstępnie skazany na śmierć, a podczas obrony nie skorzystał z sofistycznych sztuczek, którymi z pewnością obaliłby argumenty oskarżenia, to odrzuceniem niższej moralności swoich przeciwników pokazał prawdziwość swoich wartości. Tutaj filozofia Sokratesa zasługuje nie tylko na uwagę, lecz także na przypieczętowanie jej własnym życiem.

A jednak są i takie świadectwa życia Ateńczyka, które zdają się kwestionować i jego skuteczność, i słuszność jego zasad. Przecież ten wyjątkowy nauczyciel nie wychował żadnego godnego następcy, a część z jego uczniów wręcz zasłynęła z ruiny, jaką zafundowała swojemu miastu. Alcybiades był politycznym awanturnikiem, który sprowadził na Ateny militarną katastrofę na Sycylii, która w wojnie peloponeskiej złamała potencjał miasta i doprowadziła do klęski w walce ze Spartą. Innym słynnym uczniem był Kritias, późniejszy despotyczny oligarcha, który wprowadzał w Atenach krwawy terror. Choć Ksenofont broni Sokratesa i stwierdza, że tacy uczniowie jak Alcybiades i Kritias przychodzili na naukę z cynizmu, chcąc posiąść narzędzia do zrobienia wielkiej kariery, to nadal nie zdejmuje z ich mistrza odpowiedzialności za fiasko wychowawcze.

Innym przykładem paradoksu myśliciela był sceptycyzm co do natury ludzkiej, która woli wybrać wygodę, proste emocje i utwierdzanie się we własnej opinii, a nie mozolne zdobywanie wiedzy i rozpoznawanie jej skomplikowanej struktury. Sokrates uważał, że spośród ustrojów w największym stopniu umacniających te negatywne ludzkie tendencje na pierwszym miejscu jest demokracja – a jednak tę demokrację wspierał, pełniąc funkcje publiczne oraz nauczając w nadziei, że pchnie ludzi ku rozwojowi i sprawiedliwości. Legutko broni tu Sokratesa, stwierdzając, że ten paradoks nie świadczy o błędzie, lecz o pewnym napięciu poznawczym i podejmowaniu się tragicznego zadania konfrontacji duszy z zepsutym światem. W takiej właśnie filozofii zaczytywał się Pan Cogito, gdy pisał „Bądź wierny. Idź", przewidując doczesne fiasko tej drogi.

» Świat, który go stworzył

Oprócz doniosłych pism Platona, Ksenofonta czy Arystotelesa, Sokratesa upamiętniają także szyderstwa Arystofanesa w komedii „Chmury". To tam jego dziwactwa widać najbardziej, włącznie z jakimś nietypowym nawykiem siedzenia w koszu zawieszonym pod sufitem własnego domu. Miał Sokrates nie dbać o higienę ciała i na znak tego nosić specjalny, krótki płaszcz, zwany tribonem, przez który widać było różne mankamenty Ateńczyka. Wyróżniał się tym, przykuwał uwagę, podkreślał bezwartościowość świata materialnego

i pozwalał temu kontrastować z najwyższymi cnotami. W okresie złotego wieku demokracji ateńskiej i funkcjonowania ateńskiego imperium, które było legendarnie bogate i wyniosłe, postawa Sokratesa była umyślnym zabiegiem stanięcia na przekór ówczesnym trendom. V stulecie przed narodzeniem Chrystusa jest więc nie tylko czasem narodzin prawdziwej filozofii, lecz także rozkwitem sztuki, kultury i polityki. W pomniejszych państwach-miastach filozofowie przyrody badali niebo i gwiazdy, wychodząc poza odwieczny schemat łaski poszczególnych bogów; sofiści szlifowali słowo do perfekcji, tak Gorgiasz stał się mistrzem retoryki, Kallikles kimś na wzór późniejszego o dwa tysiące lat Machiavellego; Solon i Klejstenes budowali bezprecedensowy ustrój zwany demokracją; Pitagoras tworzył podstawy naukowej matematyki – to świat sukcesów, cały ekosystem myślowo-polityczny. Jeśli więc widzimy geniusz Sokratesa, to nie w oderwaniu od realiów, które tworzyli ludzie wybitni. Sokrates funkcjonował w Atenach pod przywództwem wybitnego męża stanu i mówcy Peryklesa, oglądał rzeźby słynnego Fidiasza, uczęszczał do wielkiego Partenonu, postawionego przez Iktinosa i Kallikratesa. Geniusz nie rodzi się znikąd, ale jest też wypadkową tysiąca odkryć mądrości, które właściwa osoba potrafi przepracować i z których umie wysnuć własne wnioski. Jeśli Sokrates był jedynie nieco inteligentniejszy od mistrzów myśli i słowa jego czasów, to tyle wystarczyło, by stać się wieszczem światowej filozofii i stworzyć podwaliny nowego myślenia o człowieku. Tak jak Platon i Arystoteles czerpali ze słynnego mistrza, tak przecież i Sokrates uczył się, czytał i wkrótce kontestował dorobek innych nauczycieli, ale najpierw musiał mieć co kontrować.

Trudno po prostu oprzeć się wrażeniu, że geniusz filozofii jest odbiciem kondycji cywilizacji, że rzadko kiedy (a może w ogóle?) rodzi się znikąd, na intelektualnej pustyni i w duchowej studni. Podobnie Awicenna wyrósł na dorobku szczytowej epoki islamu, który zagarnął dziedzictwo intelektualne dawnej Grecji, Rzymu i części Bizancjum, a św. Tomasz z Akwinu wyrósł na scholastyce poprzednich pokoleń. Całe pokolenia myślicieli i uczonych tworzą więc żyzną glebę, na której mogą wyrosnąć genialne umysły, nasycone dziełami swojej epoki. Starożytna Grecja dała więc nam fundament nadal niezastąpiony – myślimy przecież Sokratesem, porzuciwszy okadzanie domów na cześć wysłanników bogów. Myślimy przecież Sokratesem, który nawet tego nie spisał dla następnych pokoleń – jak wielką więc rewolucję uczynił, że jego myśl przetrwała już 2500 lat. ■

JEŚLI SOKRATES BYŁ JEDYNIE NIECO INTELIGENTNIEJSZY OD MISTRZÓW MYŚLI I SŁOWA JEGO CZASÓW, TO TYLE WYSTARCZYŁO, BY STAĆ SIĘ WIESZCZEM ŚWIATOWEJ FILOZOFII I STWORZYĆ PODWALINY NOWEGO MYŚLENIA O CZŁOWIEKU.



Ewa Polak-Pałkiewicz



Postmodernizm kradnie język

Odkąd ludzkość jest ludzkością, język był narzędziem nazywania rzeczywistości, czyli tego, co jest. Nowy język – pojęć ambiwalentnych, wewnętrznie sprzecznych, które stopniowo zastępują nasz prawdziwy język – jest produktem inżynierii społecznej. Celem ma być zmiana w postrzeganiu i ocenie świata, który nas otacza, oraz zmiana samego człowieka.

Mechanizm eliminowania bądź przeinaczania podstawowych prawd i pojęć nie stał się dotąd przedmiotem szerokich i wnikliwych badań. Obowiązująca moda intelektualna jest dziś modą na postmodernizm, stąd beztroska w tej dziedzinie: coraz większy nieład także w języku oficjalnym, dowolność i impet w nadawaniu nowych znaczeń tradycyjnym pojęciom.

Gdy słowa stają się „przestrzenią interpretacji", ludziom odbiera się poczucie przynależności do trwałych i niezmiennych prawd. Rzeczywistość zamienia się w chaos. Wraz z wprowadzaniem zmian w języku rozpoczęła się w całym świecie transformacja wszystkich instytucji i sposobu funkcjonowania państw w kierunku globalnym. Wpływa to na wszystkie dziedziny życia społecznego, antropologię, ekonomię, politykę, etykę, edukację.

Tę współczesną chorobę, wyhodowaną na zmodernizowanym przez Nową Lewicę marksizmie, bada od wielu lat Marguerite A. Peeters, wychowanka środowiska powstałego z inspiracji francuskiej mistyczki Marthe Robin. Jej analizy wyjaśniają, dlaczego wkłada się tak wiele wysiłku, by podstawowe pojęcia, takie jak rodzina, mąż, żona, życie, śmierć, a także prawo, sprawiedliwość, Bóg, prawda, moralność, sumienie, przestały znaczyć to, co znaczyły zawsze, i zaczęły oznaczać… cokolwiek. Oraz by w ogóle nie pojawiały się w tzw. debacie publicznej. M.A. Peeters przestrzega, że porzucenie języka dobrze zdefiniowanych pojęć na rzecz dwuznacznych i niejasnych sformułowań pozwala na rozliczne nadinterpretacje i zawsze owocuje rozchwianiem norm oraz budzi pokusę nadużywania prawa.

» Prawo, czyli nazywanie rzeczy po imieniu

Prezydent Andrzej Duda podczas przemówienia w ONZ (we wrześniu 2017 roku), wymieniając „pojęcia piękne, ważne, aczkolwiek nader kruche, o które musimy dbać, które musimy bez ustanku pielęgnować", mówił o związku między pojęciem pokoju i prawa. Dawno już nikt na tym forum nie przypominał, czym jest prawo, jakie jest jego znaczenie w świecie coraz bardziej rozchwianych norm, który godzi się na dwuznaczności i odwracanie pojęć. W Polsce był to czas konfliktu wokół Trybunału Konstytucyjnego, który zakończył się pomyślnie, nowym sędziom TK wybranym przez Sejm pozwolono wejść do gabinetów i dano dostęp do dokumentów, a szef Trybunału milcząco pogodził się z przegraną ugrupowania, które wyniosło go do tej funkcji. Prawo i Sprawiedliwość wygrało wtedy nie tylko rundę polityczną, lecz także batalię o jednoznaczność pojęć, która jest w prawie kwestią podstawową. Gdy pozwalamy panoszyć się błędowi, używamy terminów o dwuznacznym charakterze czy nadajemy nowe znaczenie słowom mającym dotąd znaczenie odmienne, „zastawianie sideł na intelektualnego pyszałka i na prostaczka jest równie łatwe" (Félix Sardá y Salvany).

Minęło dziewięć lat od tamtych wydarzeń i okazało się, że obrona litery i ducha prawa stanowi poważny problem w Polsce. Prawo nie jest chmurą oderwanych od życia definicji, unoszącą się nad głowami ludzi i strukturami państwa, lecz podstawą działania państwa. Bez prawa – zrozumiałego, jasnego, logicznego, sprawiedliwego – nie istnieje państwo. Jeśli poeta upominał się, po latach okupacji niemieckiej i sowieckiej: „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość", to nie odnosił się do jakiejś abstrakcji, ale mówił o realnym dobru cywilizacyjnym. Jego brak odczuwany był zawsze w Polsce jako zapaść cywilizacyjna, groźba niewoli.

To na wieść o tym, że Sejm Wielki uchwalił w Warszawie Konstytucję 3 maja, która prawa obywatelskie w Rzeczypospolitej rozszerzała na

ILUSTRACJA MARIUSZ TKOLIŃSKI/AI

inne stany, poza szlachtę i duchowieństwo, Katarzyna II podjęła decyzję o rozbiorach Polski, wciągając w to Prusy i Austrię. Decyzja polskiego Sejmu tworzyła wówczas niespotykaną nigdzie w Europie sytuację – równość wszystkich mieszkańców kraju wobec prawa. Był to prawdziwy przełom moralno-cywilizacyjny, który zapowiadał epokę ładu społecznego opartego na Dekalogu; Polska miała do odegrania w tej dziedzinie rolę lidera w świecie zachodnim. To był ten piorun, który raził carycę i zelektryzował przewrotną myśl „tej, która trzymała na smyczy filozofów". Poczuła, że imperium carów jest zagrożone, że się chwieje cała jego potęga. Zagraża mu wykwit polskiej kultury prawniczej – prawo uchwalone przez suwerenny parlament wolnych obywateli Rzeczypospolitej. I ona, władczyni Wszechrosji, stanęła przed perspektywą utraty władzy, której imię brzmi: samodzierżawie.

» Uwolnić ludzi od władzy!

Obserwując ekspansję ideologii postmodernizmu, Marguerite A. Peeters odnotowała zjawisko deprecjonowania wszelkich norm prawnych – i w rezultacie gwałtowne niszczenie od wewnątrz państw Zachodu – co kwalifikowała jako „odrzucanie władzy przez przejęcie władzy". Pisze o jego źródłach:

„Postmodernizm jest reakcją przeciwko wszelkim formom narzucania władzy (męskiej, zachodniej, większości, instytucjonalnej, moralnej, hierarchicznej, religijnej […], ekonomicznej…) W rzeczywistości tworzy on nową formę narzucania, którego dokonują »uciskane mniejszości«". Ale może oznaczać także opozycję polityczną, która dostaje zielone światło dla działań siłowych. „Etyka postmodernistyczna uważa wszelką władzę za twór zasadniczo arbitralny. Z tej perspektywy narzucanie komuś jednego punktu widzenia jest traktowane jako przejaw kolonizacji, od której należy ludzi uwolnić, nawet siłą. […] Gdy sprawiedliwość i rozum nie wyznaczają już normy, nie ma innego rozwiązania jak użycie siły, aby zakończyć konflikt". W rezultacie pojawia się niezdolność do posługiwania się w praktyce politycznej kategoriami takimi jak racja stanu państwa, logika arystotelesowska, sprawiedliwość czy zwykły zdrowy rozsądek. Ich miejsce zajmują twory umysłów coraz bardziej dzikich, niefrasobliwych i swawolnych.

Zatem jak Kali zagarniać całą władzę, choćby najbardziej drastycznymi środkami, to jest to słuszne, dobre i sprawiedliwe. Jak Kalemu odebrać władzę – demokratycznie, w majestacie prawa – to jest agresja, ucisk i totalitaryzm. Tego rodzaju argumentacją posługują się dziś także autorytety prawnicze z profesorskimi tytułami. M.A. Peeters zwraca uwagę na potęgę sloganów tworzonych przez specjalistów od socjotechniki, które odnoszą się do pozornych, akceptowanych przez ulicę „oczywistości". Na przykład: „Społeczeństwo obywatelskie patrzy na ciebie!". Ten slogan wymyśliły ekofeministki, aby „pilnować rządów" i wywierać na nie naciski, w celu wymuszenia realizacji rzekomych zobowiązań, które są żądaniami radykalnych fundacji, stowarzyszeń, grup nacisku. Słowa te sugerują, że organizacje pozarządowe są strażnikiem etyki w państwie – to „ci dobrzy"; rządy i sektor biznesu mają tendencję do niewywiązywania się ze swoich obowiązków – to „ci źli".

Tymczasem takie pojęcia jak racja stanu państwa, czyli zasada nadrzędna istnienia i suwerenności państwa, czy prawo nie mogą być niczym zastąpione; nic nie można do nich ani doczepić, ani niczego im ująć. Prawo jest najcenniejszym instrumentem w ręku państwa, gwarantującym ład społeczny, dlatego nie może stać się mgławicą. Jego zapisy nie mogą nie wiadomo co znaczyć, nie można ich całkowicie dowolnie interpretować – choć dopuszczalna

interpretacja prawa to sztuka, którą każdy prawnik powinien umieć się posługiwać czy tworzyć od nowa, łamiąc reguły logicznego myślenia i sprawiedliwości, albo modyfikować, ignorując ustawodawstwo wyższego rzędu.

» Wiadomości, rozkazy i hasła

Przemysław Dakowicz w jednym z tekstów z cyklu „Afazja polska" przywołał moment, gdy pod koniec października 1939 roku Niemcy rozplakatowali w całym Krakowie proklamację gubernatora generalnego Hansa Franka. Na plakatach „mowa jest… o »przywróceniu porządku«, o zakończeniu »epizodu historycznego«, za który odpowiedzialność ponosić muszą zarówno »zaślepiona klika rządowa byłego kraju polskiego, jak też obłudni podżegacze wojenni z Anglii«". Polska zostaje nazwana „»tworem państwowym, który się więcej nie odnowi«". W tym celu „głośniki umieszczone w centralnych punktach miast »w określonych porach nadawać będą wiadomości, rozkazy i hasła dla Polaków«".

Zawieszone w metrze, autobusach, pociągach, na stacjach benzynowych, w barach szybkiej obsługi i poczekalniach wielkie ekrany, na których co pół godziny pojawiają się nowe wiadomości montowane w TVP czy TVN, podane w odpowiednio gładkiej formie, przy pomocy starannie dobranych słów, które polityków PiS i ich zwolenników, czyli kilka milionów Polaków, sytuują w kategorii „podludzi" – czy nie przypominają tamtej sytuacji sprzed 87 lat?

Wielu ludzi nie rozumie już znaczenia bardzo wielu słów. Dlatego część społeczeństwa tak łatwo przyjmuje dziś spreparowane wiadomości, rozkazy i hasła. Precyzowanie znaczeń jest prawdziwym wyzwaniem dla polityków, gdy odbywa się w Polsce psucie prawa, próba wykorzystania go przeciw społeczeństwu. A kod prawniczy to nie zestaw numerów paragrafów i nazw kodeksów, to sztuka i zarazem język nazywania bytów. Żeby można było coś osądzić, trzeba to najpierw adekwatnie nazwać. Pomyłki w tym względzie wywołane są nie tylko błędną interpretacją prawa i nie zamykają się w obrębie akademicko pojmowanej teorii. Są czymś bardziej fundamentalnym – brakiem odniesienia do podstawowych bytów, nieuznawania ich. Skoro nie uznaje się jako podmiotu prawa partii konkurencyjnej, to oznacza, że przedstawiciele KO i PSL próbują wyjąć spod prawa innych Polaków, zastosować wobec nich inne reguły niż te, które konstytucja przewiduje dla wszystkich. Prawo przestaje być powszechne. A to oznacza, że ktoś ma podstawowe trudności z uznaniem bytowości innych ludzi. Przypisuje się ich istnieniu inne, mniejsze znaczenie niż istnieniu własnemu.

Ideologia zawsze zawiesza reguły myślenia i zasady działania. Na tym polega neomarksizm wcielony w ideę państwową i jego współczesna odmiana – postmodernizm.

Dzisiejszy spór o roli prezydenta RP, Trybunału Konstytucyjnego dotyczy nie tylko polityki, lecz także znaczenia słów, a zatem uznania bytów. Mężna postawa obrońców prawa w naszym kraju – wielu sędziów, prokuratorów, adwokatów, prezesa Trybunału Konstytucyjnego, wykładowców prawa na uczelniach – nie tylko zapewnia sprawiedliwość w konkretnych ludzkich przypadkach, lecz także nie pozwala, byśmy jako Polacy utracili rozumienie podstawowych dla naszego życia i bytu państwa pojęć. Pozwala mieć nadzieję, że Polska, ten „twór państwowy, który się więcej nie odnowi", jak chcieli Niemcy i Sowieci, wyjdzie obronną ręką z pułapek, zastawionych przez ludzi, którzy udają, że reprezentują nas dziś w parlamencie i rządzie.

» Eksperci, czyli rzecznicy mniejszości

Dlaczego możliwe stały się dziś nadużycia w rodzaju próby nadawania nowego znaczenia

prawniczej terminologii? Dlatego że pewne słowa i pojęcia, oczywiste w naszej kulturze, na przykład racja stanu, nadrzędny interes państwa, sprawiedliwość, prawo naturalne, a także Dekalog, zniknęły z obiegu, zostały zatarte w świadomości. Od dawna nie przywołuje się ich w mediach czy w „opiniach ekspertów". Poprawno-polityczne zaklęcia, takie jak „pluralizm", „prawo wyboru", „kultura pokoju", „różne formy rodziny", „płeć kulturowa", które jeszcze niedawno określano by jako bezsensowne i bełkotliwe, mają dziś swoje priorytetowe miejsce w tzw. debacie publicznej. Mętne, dwuznaczne pojęcia zyskały prawo bytu na forum międzynarodowym. „Dyskusja", „debata", „dialog" zastępują obronę suwerenności; „pluralizm opinii", „różne opcje światopoglądowe" – rację stanu.

Coraz częściej używa się także tradycyjnych terminów w odmiennym, a wręcz przeciwstawnym znaczeniu. Nadrzędną zasadą jest to, by nic nie było jednoznaczne. Klasycznym laboratorium tego typu działań są dyskusje z politykami prowadzone w studiach telewizyjnych. To, co określało się jeszcze niedawno jako „ducha" polskiego prawa – nikt nie podważał prawomocności tego określenia, powszechnie rozumianego – próbuje się dziś naginać do prawa międzynarodowego, pełnego nowomowy i dwuznacznych sformułowań, które odcyfrowywać można dopiero, dobierając właściwy ideologiczny klucz. Jeden z klasycznych przykładów postmodernizmu w obszarze polityki to dyskryminacja większości. „Zakaz dyskryminacji (włączenie mniejszości) został narzucony do tego stopnia, że większość jest de facto wyłączona, nie jest już poważnie brana pod uwagę w podejmowaniu decyzji. Rządzą nami eksperci będący rzecznikami mniejszości". M.A. Peeters nie wskazuje jednak w swoich analizach na istnienie spisków, nie obwinia jakiejś grupy ludzi. Podkreśla, że winna jest przede wszystkim apostazja. Odwrócenie się człowieka od Boga.

» A źródło wciąż bije...

Czy nie trzeba dziś przypomnieć, jakie jest źródło prawa? Skąd pochodzi prawo naturalne, na którym opiera się podstawowe ustawodawstwo w naszej cywilizacji? Jaki ład odzwierciedlają prawa w naszym obszarze cywilizacyjnym? Czy pamiętamy jeszcze słowa wyryte na kamieniu: „Jam jest…", „Będziesz miłował…", „Pamiętaj…", „Czcij…"? A także te, które są uroczystymi zakazami i zaczynają się od słowa „Nie…"?

Jednoznaczność norm i nakaz ich przestrzegania nie pochodzą od człowieka, od żadnej ludzkiej władzy. A to one dały podwalinę pod największą cywilizację świata. Ustanowiły niezmienne, nieprzekraczalne, wiecznie obowiązujące prawa. Kamienne tablice to te, na których oprzeć się powinien każdy kodeks. Prawo moralne nie sprowadza się do ograniczeń, ale ujawnia w człowieku to, co pozwala mu być w pełni człowiekiem. Te nakazy i zakazy są dla niego zbawienne; dyktuje je miłość Ojca.

„Psychologia mówi, że ojcowska miłość zwraca uwagę przede wszystkim na świat prawa, ładu, dyscypliny i obowiązku" – mówił niedawno na Jasnej Górze biskup Wiesław Alojzy Mering. „Ojciec wskazuje dzieciom drogę prowadzącą przez życie i przez świat, dlatego ta ojcowska miłość jest miłością uwarunkowaną. Jej zasada brzmi – kocham cię, ponieważ spełniasz moje oczekiwania, ponieważ wypełniasz swoje obowiązki. (…) W naturze miłości ojcowskiej tkwi zatem fakt, że posłuszeństwo staje się główną zaletą, a nieposłuszeństwo głównym grzechem przeciwko ojcu… Postąpiłeś źle – musisz ponieść konsekwencje złego czynu, a jeśli mam cię dalej kochać, musisz zmienić swoje postępowanie". Włocławski biskup senior dodawał, że wiara Polaków jest wiarą w Boga, który jest Ojcem.

Czy to zbyt trudna lekcja dla społeczeństwa dosłownie przeżartego liberalizmem i odurzonego ideologią niefrasobliwego przekonania, że wszystko jest wszystkim lub czymkolwiek? A przecież świat bez przykazań, bez zawsze obowiązujących zasad, niezmiennych praw, które są częścią nieodwołalnej prawdy, po prostu traci rację bytu. I rozsypie się kiedyś jak ziarna grochu na drodze. Bo to nie my wymyśliliśmy i ustanowiliśmy te prawa i zasady, wymyślił je Ten, który stworzył świat.

Politycy, którzy przyznają się do chrześcijaństwa, wnoszą do polityki sumienie, prawość, życie zgodne z Dekalogiem. Ale jeśli zabraknie słów, którymi mogą wyrazić te przekonania, przywołać te wartości, przestrzec przed ich ignorowaniem i zwalczaniem? Co wtedy? Gdy pomyli się życie ze śmiercią, rodzinę z jej zaprzeczeniem, kłamstwo z prawdą, bo zabraknie kryteriów, by je rozróżnić, zabraknie definicji, jednoznacznych stwierdzeń? „Żadna władza, żaden rząd, żaden parlament nie mają prawa prowadzić takiego prawa, które prowadzi ku śmierci" – przypominał biskup Wiesław A. Mering. A jednak dzieje się to naszych oczach, dzieje się to w naszym kraju.

Prawo moralne nie istnieje samo dla siebie. Jest dane człowiekowi w konkretnym celu. Niebagatelnym. Podstawowym. Polityka, która przestaje być „działaniem na rzecz sprawiedliwości" – do czego wzywał Benedykt XVI – jest tylko zabezpieczaniem interesów kliki.

W Polsce nie ma szerokiego przyzwolenia społecznego na łamanie i nadużywanie prawa, bo wciąż, mimo wielu wybiegów, prób, podstępów, nie ma przyzwolenie na nadużywanie podstawowych słów i zniekształcanie ich treści. Bóg znaczy wciąż Trójca Święta (a nie kosmiczny Chrystus – emanacja zbiorowej ludzkości albo synteza różnych bożków). „Ojciec" znaczy wciąż ojciec, „matka" matka. „Małżeństwo" nie jest „związkiem partnerskim", „rodzina" nie jest „wielokulturową wspólnotą", w której celebruje się „różnorodność płci" i „płeć kulturową". Prawo moralne akceptowane jest i przestrzegane przez większość Polaków. Dlatego pilnym naszym zadaniem, zadaniem przede wszystkim polskich polityków, jest „przywrócić ludzkość do rzeczywistości", jak postulowała M.A, Peeters. Nasza cywilizacja, choć nigdy nie zagwarantuje idealnego ustroju, przeżywa wstrząsy i kryzysy, to respektowana w swoich zasadach daje ochronę ludziom, którzy żyją uczciwie, nie trudnią się zawodowo kłamstwem, nie próbują zbijać interesów na zdradzie i oszustwie. Nie kierują się zemstą. Nie chcą zamieniać innych na niewolników.

Światem zunifikowanym jest łatwo rządzić. Można udawać, że „społeczność międzynarodowa" gasi różne konflikty – ale tak naprawdę nie odnosi ona żadnych sukcesów. Oprócz jednego – paraliżuje wysiłki na rzecz wspólnego dobra. Dziś różnego rodzaju eksperci, sekretariaty, konferencje, organizacje bez porównania silniej oddziałują na światowy konsensus niż same narody czy rządy państw, które de facto przestały być podmiotami polityki. Wolny wybór – jedyna wartość, którą uznaje się w poprawno-politycznym świecie – pozwala człowiekowi wykorzenionemu uciec od jakichkolwiek zobowiązań, uciec od bliskich, od ojczyzny, od innych ludzi.

By uchronić ten świat od autodestrukcji, trzeba powrócić do tradycyjnych pojęć i prawd oraz do odpowiedzialności za ich respektowanie. Jednym z najpilniejszych zadań Polaków – polityków, nauczycieli, dziennikarzy, rodziców – staje się zatem także pomoc w zrozumieniu sensu dekonstrukcyjnych zabiegów na języku. Bowiem prawdziwą wojną, która toczy się na naszym globie, jest wojna duchowa. Jesteśmy świadkami i zarazem podmiotami batalii o przyszłość świata. ■



Małgorzata Matuszak

Kompas bez północy? O tym, dokąd zmierza polska szkoła

Szkoła potrzebuje nie tylko odpowiedzi na pytanie, co potrafi jej absolwent, ważniejsze jest bowiem odpowiedzenie sobie, kim jest człowiek, którego kształci, i czemu ma służyć jego rozwój. To pytanie jest starsze od każdej reformy i właśnie dlatego nie powinno być przez żadną z nich pomijane.

Polska szkoła niewątpliwie potrzebuje zmian. Trudno przecież udawać, że nic się nie dzieje, gdy uczniowie mają coraz większe problemy z koncentracją, czytaniem, samodzielną pracą i wytrwałością, a nauczyciele mierzą się z przeciążeniem, biurokracją i coraz trudniejszymi warunkami pracy. Świat również się zmienia, a technologie, sztuczna inteligencja i zmieniający się rynek pracy stawiają przed edukacją dodatkowe wyzwania. Sama potrzeba zmian nie budzi więc większych wątpliwości. Te jednak zaczynają mnożyć się, kiedy zapoznamy się z wizją nowej reformy polskiego szkolnictwa.

» Nieznana przyszłość, znany człowiek

„Reforma26. Kompas jutra" ma być odpowiedzią na wyzwania przyszłości. Sam kierunek brzmi zachęcająco. Któż bowiem chciałby szkoły nudnej, oderwanej od rzeczywistości i uczącej wyłącznie odtwarzania informacji? A jednak właśnie tutaj rodzą się pytania.

Jednym z podstawowych założeń reformy jest przekonanie, że szkoła musi przygotować ucznia do świata, który zmienia się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, i trudno z tym polemizować. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy z prawdziwego spostrzeżenia wyciągamy zbyt daleko idący wniosek: skoro przyszłość będzie inna, szkoła również powinna przede wszystkim zmienić się pod kątem przyszłości. Tylko jakiej? Nie wiemy, jakie zawody będą istniały za dwadzieścia lat, jak zmieni się rynek pracy, jakie technologie będą wówczas powszechne ani jak AI wpłynie na sposób wykonywania obecnych zawodów. Możemy przewidywać, ale przewidywanie przyszłości ma to do siebie, że często okazuje się przewidywaniem teraźniejszości przedłużonej w przyszłość. Może więc szkoła powinna być mniej zależna od tego, jaki będzie świat, a bardziej od tego, jaki jest człowiek?

Technologie się zmieniają. Człowiek nadal jednak musi nauczyć się mówić, czytać, rozumować, odróżniać prawdę od fałszu, podejmować decyzje, współpracować, panować nad własnymi impulsami i brać odpowiedzialność za swoje czyny. Nadal musi umieć znosić trud i porażkę. Nadal potrzebuje pamięci, wyobraźni, wiedzy i zdolności do samodzielnego sądu. Im bardziej zmienny jest świat, tym ważniejsze wydają się rzeczy, które się nie zmieniają.

Nie oznacza to oczywiście, że szkoła ma ignorować przyszłość. Przeciwnie, powinna uczyć korzystania z nowych technologii, pracy z informacją, krytycznego myślenia czy współpracy, tyle że są to narzędzia, a nie odpowiedzi na pytanie o cel edukacji. I tu pojawia się ważne pytanie do „Kompasu jutra": czy reforma dostatecznie wyraźnie odróżnia to, co w edukacji powinno być trwałe, od tego, co rzeczywiście wymaga dostosowania do nowych czasów? Każdy kompas potrzebuje bowiem punktu odniesienia, samo wskazywanie przyszłości nie jest zaś jeszcze kierunkiem.

» Wiedzieć, żeby umieć

W oficjalnym języku reformy często pojawiają się słowa: kompetencje, sprawczość, praktyczne wykorzystanie wiedzy, interdyscyplinarność, praca projektowa, doświadczenie. MEN podkreśla jednocześnie, że nowa szkoła

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI AI

ma dawać uczniom „solidną, aktualną i pogłębioną wiedzę".

Warto zatrzymać się przy relacji między wiedzą a kompetencją. Nie są to przecież dwa konkurencyjne cele edukacji, lecz dwa elementy tego samego procesu. Niebezpieczeństwo pojawia się wtedy, gdy kompetencje zaczynają być przeciwstawiane wiedzy i zaczynają ją zastępować. Łatwo można wówczas stworzyć fałszywą opozycję: stara szkoła miała uczyć zapamiętywania, nowa ma uczyć praktycznego wykorzystywania wiedzy – innymi słowy dawniej uczeń miał wiedzieć, dzisiaj ma umieć działać. Tymczasem nie można sensownie działać w dziedzinie, której się nie rozumie, ani krytycznie posługiwać się wiedzą, której się nie posiada.

Kompetencja bez wiedzy jest zatem często tylko pozorem kompetencji. Uczeń może znać narzędzia wyszukiwania informacji, ale jeśli nie ma własnego zasobu wiedzy, nie będzie potrafił odróżnić informacji ważnej od błędnej. Może sprawnie pracować projektowo, ale jeśli nie zna podstawowych pojęć, jego aktywność pozostanie powierzchowna. Może być „sprawczy", a jednak nie wiedzieć, co właściwie warto zrobić i dlaczego. Dlatego problemem nie jest to, że szkoła chce kształcić kompetencje, ale przekonanie, że można je kształcić zamiast wiedzy. Wiedza nie jest bowiem przeciwieństwem kompetencji, lecz ich warunkiem.

Podobnie jest z doświadczeniem, które samo w sobie nie jest jeszcze poznaniem. Dziecko może przeprowadzić doświadczenie, obserwować jego przebieg i zapisać wynik, ale żeby naprawdę coś z niego zrozumieć, musi opanować odpowiednie pojęcia, umieć odróżnić obserwacje od interpretacji i wyciągnąć poprawny wniosek. W przeciwnym razie działanie może stać się celem samym w sobie, a przecież doświadczenie, eksperyment czy projekt mają sens o tyle, o ile prowadzą do poznania i zrozumienia. Uczeń może przecież coś robić, a mimo to nie rozumieć, czego się nauczył.

» Dobrostan zamiast rozwoju

„Dobrostan" stał się pojęciem kluczowym w dokumentach współczesnej polskiej szkoły. Trudno sprzeciwiać się temu, że dziecko powinno czuć się w szkole bezpiecznie, czy kwestionować potrzebę troski o jego zdrowie psychiczne i relacje społeczne. Problem zaczyna się wtedy, gdy zostaje utożsamiony z możliwie daleko posuniętym ograniczaniem dyskomfortu. A szkoła jest przecież miejscem, w którym człowiek powinien nauczyć się także znosić rzeczy trudne. Nauka wszak wymaga wysiłku, podobnie też czytanie wymagającej książki. Zapamiętywanie wymaga powtórzeń, matematyka wielokrotnych prób, a pisanie poprawiania własnych błędów. Samodzielność wymaga czasem pozostania sam na sam z problemem, którego nie umie się jeszcze rozwiązać. Nie każda trudność jest więc krzywdą, nie każda frustracja zagrożeniem i nie każdy dyskomfort trzeba natychmiast usuwać. Można zadać stąd pytanie: czy szkoła ma usuwać wszystkie przeszkody z drogi ucznia, czy raczej pomagać mu w nauce ich pokonywania?

To pytanie ma znaczenie większe niż kwestia prac domowych. To prawda, że nie każde zadanie domowe jest wartościowe, nie każde zatem zasługuje na obronę, i że bezsensowne ćwiczenia zadawane tylko dlatego, bo „tak trzeba", mogą być stratą czasu. Jednak w przypadku niektórych przedmiotów samodzielna praca nie jest dodatkiem do nauki, lecz jej warunkiem.

Ale istnieje coś, co jest od pracy domowej znacznie ważniejsze, a wykształceniu czego odrabianie zdań domowych może służyć: zdolność do samodzielnego wysiłku. Uczeń musi kiedyś nauczyć się pracować wtedy, gdy nikt go nie pilnuje, poprawia i motywuje. Musi nauczyć się robienia czegoś nie dlatego, że jest to przyjemne,

ale z tego powodu, że jest potrzebne. Musi również doświadczyć, że pierwsza próba może się nie udać, ale mimo to warto spróbować ponownie. Dyscyplina nie jest wszak przeciwieństwem wolności, lecz jednym z jej warunków. Człowiek, który nie potrafi zrobić niczego wbrew chwilowej niechęci, nie jest wolny dlatego, że nikt niczego od niego nie wymaga. Jest po prostu bardziej zależny od własnych impulsów.

Dlatego dobrostan nie powinien oznaczać życia bez trudności. Prawdziwy dobrostan może oznaczać także posiadanie siły, wiedzy i wewnętrznych zasobów, które pozwalają trudności te unieść.

» Reforma bez diagnozy

Każda reforma powinna umieć odpowiedzieć na pytanie, co w dotychczasowym systemie nie działa i na jakiej podstawie uznajemy, że proponowana zmiana będzie lepsza. Rozsądna reforma powinna zachowywać ciągłość, czyli najpierw rozpoznać mocne strony istniejącego systemu, a dopiero potem usuwać jego słabości. Nie zaczyna się przecież od pytania: „Jaką szkołę chcemy stworzyć?", lecz od bardziej podstawowego: „Jaką szkołę mamy dzisiaj i co rzeczywiście wymaga w niej zmiany?". Zanim bowiem wyznaczymy kierunek, powinniśmy wiedzieć, z jakiego miejsca wyruszamy. Nawet najlepszy kompas nie pomoże, jeśli nie wiemy, gdzie jesteśmy.

Czy „Kompas jutra" został poprzedzony takim rozpoznaniem? Trudno oprzeć się wrażeniu, że nie. Punktem wyjścia reformy wydaje się raczej określona wizja szkoły przyszłości, do której następnie próbuje się dopasować istniejący system. To odwrócenie właściwej kolejności. Oficjalne materiały przedstawiają reformę jako kompleksową zmianą programową, której punktem odniesienia jest „Profil absolwenta i absolwentki". IBE opisuje ten profil jako kierunek dla zmian na kolejnych etapach edukacji, a MEN wskazuje go jako dokument, na którym opierane są nowe podstawy programowe. Sam pomysł określenia oczekiwanych efektów kształcenia nie jest niczym złym, kiedy jednak zaczynamy traktować człowieka jak projekt, który można opisać wyłącznie za pomocą zestawu kompetencji, pojawia się problem. Człowiek bowiem posiada kompetencje, ale nie jest ich sumą. Może przecież doskonale posługiwać się językiem, sprawnie przekonywać innych, a jednocześnie wykorzystywać te zdolności do kłamstwa. Może znakomicie pracować w grupie i nie mieć własnego zdania czy być kreatywny, a zarazem nieodpowiedzialny. Może osiągać wysokie wyniki w nauce i nie wiedzieć, po co właściwie się uczy.

Dlatego szkoła potrzebuje nie tylko odpowiedzi na pytanie, co potrafi jej absolwent, ważniejsze jest bowiem odpowiedzenie sobie, kim jest człowiek, którego kształci, i czemu ma służyć jego rozwój. To pytanie jest starsze od każdej reformy i właśnie dlatego nie powinno być przez żadną z nich pomijane.

» Kompas potrzebuje północy

Reforma polskiej szkoły jest potrzebna, ale żadna zmiana nie powinna zaczynać się od zachwytu nad nowością. Żadna nie powinna też być oderwana od rzeczywistości tego, co chce reformować. „Kompas jutra" jest zaś oderwany nie tylko od rzeczywistości polskiej szkoły, lecz – przede wszystkim – od rzeczywistych potrzeb młodego człowieka, które nie zmieniają się tak szybko jak technologie, rynek pracy czy język edukacyjnych reform. Młody człowiek nadal potrzebuje wiedzy, wysiłku, granic, relacji, odpowiedzialności i czasu na dojrzewanie. Potrzebuje nie tylko tego, by coś umieć, lecz także wiedzieć, po co i jak z tego korzystać. Potrzebuje wreszcie nie tylko kompasu, który pokaże mu kierunek, lecz północy, która pozwoli mu rozpoznać, dokąd naprawdę warto zmierzać. ■



Nie chcemy samobójstw? Ratujmy więzi, twórzmy sieci wsparcia

dr HALSZKA WITKOWSKA – wiceprezes Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, suicydolog, konsultant kryzysowy, prezes Fundacji „Życie warte jest rozmowy". Wprowadzała Pierwszy w Polsce Krajowy Program Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym realizowany przez Ministerstwo Zdrowia. Ma na swoim koncie szereg publikacji naukowych z zakresu suicydologii, a także liczne wystąpienia na konferencjach oraz w mediach.

Stworzyłam serwis pomocowy pod nazwą „Życie warte jest rozmowy" (www.zwjr.pl). Osoby, które się z nami kontaktują, często piszą do naszych specjalistów: „Moje życie jest nic nie warte, naprawdę nie musicie mi odpisywać" – z dr. HALSZKĄ WITKOWSKĄ rozmawia KRZYSZTOF WOŁODŹKO.

» Na swoje życie targają się dzieci niekochane? Czy to stereotyp?

Nie da się postawić tak mocnej tezy. Znam przypadki rodzin, w których dziecko otrzymywało troskę i wsparcie, rodzice o nie walczyli, w kryzysie sięgali po pomoc psychologa, ale i tak dochodziło do najgorszego. Na sprawę trzeba spojrzeć szerzej, w przypadku samobójstwa nie można mówić tylko o jednym powodzie. Co prawda pionier polskiej suicydologii, prof. Brunon Hołyst, używał tezy, że ludzie odbierają sobie życie z braku miłości, ale prof. Adam Czabański już dodawał: „albo z braku odczuwania miłości". To bardzo ważne uzupełnienie! Syndrom presuicydalny wiąże się ze zmianą perspektywy – przynosi narastające poczucie beznadziei.

» Czym jest syndrom presuicydalny?

Austriacki psychiatra Erwin Ringel w latach 70. XX wieku przebadał ponad 700 osób po próbach samobójczych. Zwrócił uwagę, że przed podjęciem próby doświadczyły one podobnego stanu emocjonalnego. Opisał cztery rodzaje zawężeń: sytuacyjne, dynamiczne, relacji międzyludzkich i świata wartości. Ostatnie z zawężeń odnosi się do sytuacji, w której osoba w kryzysie uznaje wszystko w swoim życiu za beznadziejne, widzi tylko złe rzeczy, cierpi z powodu ogromnego poczucia spadku swojej wartości. Na to nakłada się zawężenie sytuacyjne: ktoś taki nie widzi możliwości wyjścia z tego stanu. Problemy się piętrzą, brakuje perspektywy przynoszącej nadzieję – a śmierć samobójcza wydaje się

jedynym rozwiązaniem. Na to nachodzi bardzo ważne w kontekście naszej rozmowy zawężenie relacji międzyludzkich.

» Czyli?

Osoba w kryzysie zaczyna się odcinać od bliskich. Może się wydawać, że przestało jej zależeć. Pogłębione wywiady z osobami w kryzysie pokazują jednak, że nie zrywają one kontaktów dlatego, że nie kochają swoich bliskich – wręcz przeciwnie: uważają, że stały się obciążeniem dla swojej rodziny i przyjaciół.

Naukowo zajmuję się analizą listów pożegnalnych osób, które odebrały sobie życie. Listy są naprawdę różnorodne, ale najczęściej powtarza się w nich jedno słowo.

» Jakie?

„Przepraszam". Za nim idzie: „Wybaczcie mi" – i dalej: „Beze mnie będzie wam lepiej". U osób, które popełniły samobójstwo, przeważała perspektywa, że są zbyt wielkim ciężarem dla bliskich. Czują, że popełniły tyle błędów w swoim życiu, że komuś będzie bez nich lepiej.

» To dotyczy tak dzieci, jak i dorosłych?

Tak. Dzieci piszą, że były beznadziejnymi synami, córkami, braćmi, siostrami, że przyniosły najbliższym wstyd, cierpienie i ból. Profesor Justyna Ziółkowska w swojej książce opisała rozmowy z osobami po próbach samobójczych prowadzone na oddziałach toksykologii. Pojawia się tam ważny motyw. Jej rozmówcy przed podjęciem próby samobójczej byli w pełni przekonani, że jeśli umrą, ich bliskim będzie w życiu lepiej. Dopiero później zadawali sobie pytanie: „Jak mogłem/mogłam im to zrobić?".

Stworzyłam serwis pomocowy pod nazwą „Życie warte jest rozmowy" (www.zwjr.pl). Osoby, które się z nami kontaktują, często piszą do naszych specjalistów: „Moje życie jest nic nie warte, naprawdę nie musicie mi odpisywać".

» Ale Wy odpowiadacie. Gorzej, gdy dziecko lub dorosły pozostanie bez pomocy.

Bardzo istotnym czynnikiem ryzyka jest zaniedbanie emocjonalne. Wskazują na to również badania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, która m.in. odbiera telefony od dzieci w kryzysie samobójczym. W domach dzieci z tego rodzaju problemami nie ma przestrzeni, by mówić: „kocham cię", „jesteś ważny/ważna", brakuje bliskości w najważniejszych relacjach. Nie możemy jednak powiedzieć, że rodzice nie kochają swojego dziecka. Czasem dorośli sami są ponad miarę obciążeni swoim życiem…

» Zmagają się z własnymi problemami, są zapracowani, wiecznie nieobecni?

To są tysiące rzeczy. Wiele takich doświadczeń opisałam w książce „Niewysłuchani. O śmierci samobójczej i tych, którzy pozostali". Wysłuchiwałam m.in. rodziców w żałobie po samobójczej śmierci dziecka. To naprawdę trudne rozmowy, cierpienie ojców i matek jest niewyobrażalne. Część rodziców nie zauważyła kryzysu – ich poczucie winy jest straszliwe. Trzeba pamiętać o tym, że osoby w kryzysie potrafią ukrywać swój stan psychiczny przed najbliższymi. Przyznają w wiadomościach do naszego serwisu: „Nie chcę mówić mamie o swoich myślach samobójczych, bo ona i tak ma dość problemów". Każdy przypadek jest indywidualny i intymny, nie możemy wydawać pochopnych sądów.

Do podjęcia próby samobójczej dochodzi, gdy zaburzony jest balans między czynnikami chroniącymi a czynnikami ryzyka. Może być przecież tak, że dziecko lub dorosły wprawdzie ma myśli samobójcze, ale dysponuje tyloma czynnikami chroniącymi, że nie targnie się na swoje życie.

» Czym są czynniki chroniące?

Rodzina czy szerzej: wspólnota z innymi ludźmi, pasja życiowa, zaangażowanie społeczne,

FOT. KAROL PACIOREK

zdolność do mówienia o swoich problemach, przeżyciach i doświadczeniach.

» Nastolatki potrafią bardzo ekspresyjnie wykrzyczeć swoją złość na świat: „Ja się na świat nie prosiłem", „Nie chcę już żyć". Dorośli traktują to nierzadko jako szantaż emocjonalny.

Wystrzegałabym się takiego podejścia! Zachęcałabym do zmiany perspektywy: zastanowienia się, co się dzieje w życiu dziecka, które tak mówi. Dlaczego musi ono sięgać po aż takie słowa, żeby skomunikować się z dorosłymi? Wielokrotnie słyszałam od osób w kryzysie: „Podejmuję próbę samobójczą, bo chciałbym, żeby bliscy zrozumieli, jak bardzo życie mnie boli". Skoro dorosłym brak języka, by opowiedzieć o swoim cierpieniu, to tym bardziej brak go dzieciom. Czasem jest to dojmujące doświadczenie. Potwierdzają to terapeuci: dzieci nie potrafią wyrażać myśli i emocji. Nie dotyczy to tylko – jak się to mówi – rodzin patologicznych. To są także tzw. dobre i bardzo dobre domy, w których świat dziecka i świat dorosłych totalnie się rozjechały.

» Często usłyszymy w odpowiedzi, że dzieci mają dziś wszystko, co zechcą, a rodzice całą uwagę skupiają na ich przyszłości.

Zapytajmy zatem, jakiego rodzaju jest to zainteresowanie. Chcemy, żeby dziecko skończyło dobrą szkołę, odnosiło same sukcesy, wyróżniało się. I żeby nie narzekało na brak zajęć – ma koszykówkę, jazdę konną, lekcje trzech języków. Ale to nie oznacza, że dziecko nie wie, co to smutek i pustka. Albo czy nie wolałoby, żeby zainteresowanie rodziców wyrażało się wspólnymi posiłkami, spokojnymi rozmowami, spędzanym razem czasem.

Dzisiaj wiele mówimy o zagrożeniu związanym z technologiami, mediami społecznościowymi, wszechobecnością sieci. Rzadziej dyskutujemy o tym, czy matka i ojciec są w stanie stworzyć dzieciom w domu przestrzeń do wspólnego budowania relacji. I to taką, w której punktem odniesienia nie jest rodzic z jednej strony wiecznie oburzony, że „dziecko siedzi w internecie", z drugiej – sam nieustannie wgapiony w telefon, kompulsywnie reagujący na dźwięk powiadomień. To samo dotyczy zresztą szkoły. Możemy ograniczyć dzieciom dostęp do smartfonów, ale czy nie powinno to obowiązywać także nauczycieli? Dzieci i nastolatki doskonale wyczuwają hipokryzję i podwójne standardy dorosłych. Co więcej, są coraz bardziej sfrustrowane rozziewem między własnymi możliwościami a wzorcami i wymaganiami narzucanymi przez kulturę. Deprywacja potrzeb to rosnący problem dla dzieci i młodzieży.

» O czym Pani myśli?

Wie pan, jaki jest wymarzony zawód współczesnych dzieci?

» Influencer.

To prawda! Ale pan się uśmiechnął, bo to dla pana niepoważne marzenie.

» Niegdyś chcieliśmy być gwiazdami kina, rocka, sportu.

I szły za tym jakieś kompetencje. Z naszej perspektywy youtuber czy influencer to ktoś, kto potrafi skupiać uwagę mas. Podchodzimy zatem niepoważnie do marzeń dzieci i nastolatków. Oceniamy je z naszej perspektywy. Gdy rozmawiam na ten temat na konferencjach z nauczycielami, dyrektorami szkół, rodzicami, oni się uśmiechają – podobnie jak pan. Po pierwsze, nie rozumiemy tego, co kryje się za takimi dziecięcymi marzeniami. Po drugie, nasze protekcjonalne podejście to dowód na wyrwę pokoleniową. Nie mamy wspólnego języka z najmłodszym pokoleniem, nie rozumiemy głębi zmian, jakie zaszły w świecie młodych ludzi za sprawą wszechogarniającego środowiska technologicznego.

» Wyszła Pani od deprywacji potrzeb.

W Internecie kryją się nie tylko idole młodych ludzi. Są tam także ich marzenia. Dzieci widzą w sieci coś, co same chciałyby mieć, albo kogoś, kim chciałyby być – ale przeżywają katusze, bo w świecie premiującym natychmiastowe gratyfikacje nie mają szansy do tego dotrzeć. Dzieci, z którymi rozmawiam, chciałyby być sławne i znane, zbierać potężne zasięgi i liczby lajków, ale nie wiedzą, jak to zrobić. Zazdroszczą każdemu, kto znalazł się po drugiej stronie lustra – stał się gwiazdą subskrypcji i odsłon TikToka, Youtube'a, Instagrama.

» A może to nie jest najważniejsze?

Tylko że o tym trzeba umieć rozmawiać. I wierzyć w to, co się mówi. Możemy oczywiście powiedzieć dziecku, że budowanie świata wartości nie powinno opierać się na lajkach lub idącymi za wielkimi zasięgami pieniądzach. Ale czy sami w to wierzymy?

» W debacie o przyczynach samobójstw dzieci i młodzieży w Polsce czynniki społeczne łączą się z zagrożeniami wynikającymi z nowych technologii. Cywilizacyjny postęp z jednej strony jest dobrodziejstwem i kulturową atrakcją, z drugiej – sięga jeszcze głębiej do naszego życia. Umiemy sobie z tym radzić jako społeczeństwo?

Nie umiemy. Bo na własnej skórze w dzieciństwie nie doświadczyliśmy świata, w którym jedno dziecko nagrywa drugie we wstydliwej dla niego chwili. I transmituje to przez internet. Niepowodzenia, śmieszności, upokorzenia zwykłych dzieciaków – to już nie są ich sprawy intymne, to jest klikbajt, do którego każdy ma dostęp.

» Czyli zakaz smartfonów w szkołach?

Jeśli ograniczymy się do zakazów, nie znajdziemy rozwiązania. Nie zwyciężymy z presją technologii, ograniczając się do punktowych obostrzeń. Ratunkiem jest powrót do pogłębionych relacji międzyludzkich: wzmacniania więzi, w tym rozmów między bliskimi – nie tylko gdy jest miło, ale też w sytuacjach kryzysowych. Dziecko w domu musi mieć realną alternatywę dla internetowego uniwersum, czyli bliskich, zainteresowanych nim ludzi.

» W jednym z wywiadów mówiła Pani: „Każdego roku w Polsce około tysiąc seniorów odbiera sobie życie, a my nie chcemy o tym mówić". Samobójstwa osób starszych to temat tabu?

Czasem przychodzi mi do głowy myśl: „Jaki to jest świat, że tak dużo młodych osób podejmuje próby samobójcze, a tysiąc osób rocznie powyżej 65. roku życia odbiera sobie życie?". To są dane Komendy Głównej Policji. Seniorzy to jedyna w Polsce grupa społeczna, w której jest więcej samobójstw niż prób samobójczych.

Tak – to jest temat tabu, bo z tą zatrważającą sytuacją wiążą się: bieda, trudne warunki socjalne, chroniczny ból, brak wsparcia. To są często ludzie samotni, na marginesie systemu wsparcia, których wszystkim wygodniej jest nie widzieć. Samotna, biedna, brzydka starość jest szalenie niemedialna, ale się dzieje. A przecież policyjne statystyki nie obejmują przypadków odmowy leków, głodzenia się – czyli samobójstw na raty.

» A dlaczego to jest temat tabu? Co to o nas mówi jako społeczeństwie?

Dwa lata temu miałam duży wywiad o samobójstwach wśród seniorów dla „Gazety Wyborczej". Wie pan, czego dotyczyło 98 proc. komentarzy pod rozmową?

» Czego?

Pytano, dlaczego nie ma w Polsce eutanazji!

» Po co rozwiązywać problemy społeczne, jeśli możemy legalnie pozbyć się ich źródła.

Jeśli pan mnie pyta, jakim staliśmy się społeczeństwem, odpowiadam: „Właśnie takim". Lekarstwem na wyzwania starości ma być śmierć. Eutanazja przedstawiana jest jako rozwiązanie w białych rękawiczkach. Nikt nie pyta, czy tak jest rzeczywiście. I czy sami chcielibyśmy, żeby w sytuacji samotności, biedy i cierpienia na starość proponowano nam śmierć.

» **To o czym powinniśmy rozmawiać?**

O wsparciu relacyjnym. Znika pytanie o starość jako przestrzeń odpowiedzialności i opieki, skoro ludziom wciąż czytającym gazety starość kojarzy się z eutanazją.

Oczywiście, to też rozmowa o tym, jak działa państwo. Ne da się w Polsce powiedzieć, że państwo opiekuje się seniorami i seniorkami. To prezentuje się nieźle tylko w wąskim zakresie pewnych dobrze wyglądających medialnie ułatwień, ale jeśli przyjrzymy się bliżej sprawom ekonomiczno-mieszkaniowym, zobaczymy starość w głębokim kryzysie. On się będzie pogłębiał, bo przybywa jednoosobowych gospodarstw domowych. Statystycznie do największej liczby samobójstw dochodzi na wsiach i w małych miastach. W listach pożegnalnych osób starszych najczęściej czytamy: „Nie chcę wam robić problemów", „Mam dosyć tego bólu, nikt nie rozumie, jak bardzo mnie boli". Najczęściej takie osoby mieszkają same. Niestety, nie budujemy małych wspólnot jako sieci wsparcia. Ktoś powie, że to frazes, ale naprawdę mocno wierzę w budowanie małych wspólnot w blokach, na osiedlach, w małych wioskach. Bo okazuje się niekiedy, że jest cała kolejka chętnych, by wspierać głodne dzieci w Afryce, ale żeby zrobić i przynieść zakupy starej sąsiadce – to już jest problem.

» **To faktycznie brzmi mocno.**

Ale to są sprawy elementarne. Potrzebujemy odbudowy międzypokoleniowych więzi, rzeczy łączących młodych i starych. W przypadku dzieci to szkoła buduje szersze relacje. A co w przypadku seniorów?

» **Chodzą do kościoła i na pocztę.**

I do przychodni lekarskich!

» **Wiele lat temu słyszeliśmy Joannę Muchę, wówczas z Platformy Obywatelskiej, która mówiła, że z seniorami u lekarza są tylko kłopoty, bo chodzą tam z nudów i zabierają innym miejsce.**

Gdybyśmy trochę zmienili podejście, zobaczylibyśmy, że lekarz pierwszego kontaktu mógłby wykryć pierwsze oznaki depresji lub kryzysu samobójczego u seniorki lub seniora. I ten lekarz mógłby zachęcić seniora do kontaktu z psychologiem, do aktywności fizycznej i społecznej, mógłby zainteresować się jego sytuacją socjalną. Tyle że my tkwimy w silosowym myśleniu: każdy zajmuje się swoją bardzo wąską dziedziną.

W przypadku dzieci też to widać: nie raz i nie drugi słyszałam nauczyciela, który mówił, że nie interesują go problemy ucznia, bo ma go po prostu przygotować do egzaminów. A od lekarza słyszymy, że ma przypisać tabletki na przeziębienie. W obecnym systemie gubimy ludzi.

» **A przy okazji: seniorzy na wsi mają jeszcze dalej do lekarza niż starzy ludzie w mieście. A ja często słyszę: „No jak to, przecież na wsi każdy mieszka w wielopokoleniowej rodzinie i łatwo zyska pomoc". Tylko że to już dawno nie jest prawda.**

Żeby udać, że problemu nie ma, ignorujemy to, w czym wszyscy tkwimy po uszy: średnie pokolenie dawno wyjechało za pracą do Niemiec lub do Anglii. A jeśli jest w kraju, to w miastach odległych o dziesiątki i setki kilometrów od rodzinnych domów. Tyle że naprawdę możemy pracować z tym, co mamy. Szkolenia dla lekarzy pierwszego kontaktu dotyczące objawów kryzysów samobójczych wśród seniorów powinny być czymś oczywistym.

» Tyle że bardzo często systemowi „nie opłaca się" inwestować w zdrowie fizyczne pacjentów seniorów. To co dopiero mówić o zdrowiu psychicznym!

Nie wiem jak pan, ale ja nie chcę żyć w świecie, w którym samobójstwo lub eutanazja przedstawiane są jako jedyna alternatywa dla ludzi ekonomicznie uznanych za zbędnych. Suicydologia mówi, że nie da się nikogo przymusić do życia. Ale my jako ludzie, jako społeczeństwo powinniśmy robić wszystko, co w naszej mocy, by wesprzeć cierpiącego człowieka i przywrócić mu chęć do życia. Niestety, coraz chętniej zdejmujemy z siebie jako społeczeństwo obowiązek pomocy najsłabszym. A przecież wielu ludzi, młodszych i starszych, którzy przeszli przez kryzys samobójczy, którzy mają za sobą próbę samobójczą, na nowo odnalazło się w życiu, gdy znalazło pomoc. Proszę uwierzyć, to nie są wielkie sprawy, czasem wystarczyła zwykła rozmowa, elementarne wsparcie, pomoc w wyzbyciu się poczucia zbędności i osamotnienia.

» W cytowanym wyżej wywiadzie mówiła Pani również, że „najliczniejszą grupą [wśród samobójców – red.] są mężczyźni między 40. a 60. rokiem życia". Trudno zatem nie zapytać o to, kto jest słabą płcią. Albo o to, z jakimi wyzwaniami nie radzą sobie faceci wchodzący powoli w smugę cienia.

Samobójstwa mężczyzn w wieku produkcyjnym to wciąż temat wstydliwy. Jeśli spojrzymy na profil osób odbierających sobie życie między 40. a 60. rokiem, zobaczymy osobę z małej miejscowości, po rozwodzie, z chorobą alkoholową. Takiemu człowiekowi trudno uzyskać wsparcie, bo stereotypy i nawyki społeczne działają przeciw niemu. Mężczyznom wciąż trudniej jest przyznać, że sobie z czymś nie radzą, a to od nich wymaga się, by dźwigali na barkach problemy rodzinne. Wiem, że w wielkich miastach coraz więcej mówi się o dzielnych ojcach na urlopach ojcowskich. Ale chciałabym, żebyśmy pamiętali nie tylko o Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Żebyśmy zobaczyli życie w małych miastach, gdzie z jednej strony mężczyzna musi spełniać określone role społeczne, a z drugiej – zarabia tyle, ile zarabia. Zadłużony czy bezrobotny, z coraz większymi problemami, nie pójdzie do psychologa, nie pożali się kolegom przy piwie, nie wypłacze się żonie. Zagryzie zęby, a gdy to nie pomoże, napisze list pożegnalny i się zabije.

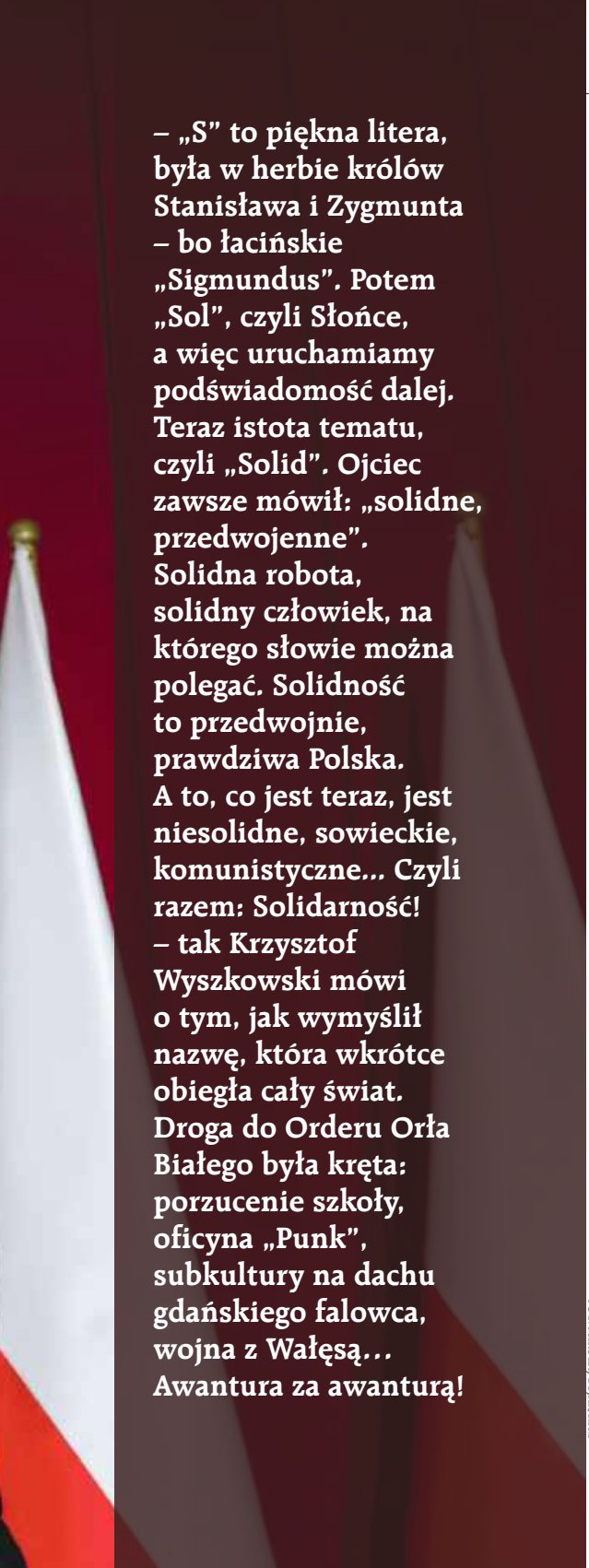
» W 2021 roku zaczął działać Krajowy Program Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym. Ale gdy rozmawialiśmy kilka miesięcy temu, system wsparcia osób w kryzysach samobójczych sam znajdował się w kłopotach. Jak to wygląda dzisiaj?

Zacznę od tego, że do dziś nie mamy w Polsce Krajowego Centrum Zdrowia Psychicznego – kluczowej jednostki koordynującej działania z zakresu wsparcia zdrowia psychicznego. Jednak do stycznia tego roku system działał naprawdę efektywnie. Ministerstwo Zdrowia obiecywało nam kontynuację krajowego programu zapobiegania zachowaniom samobójczym na takich samych zasadach jak dotychczas. Zmieniono jednak wszystko. Przede wszystkim nie przedłużono umów ekspertom, którzy przez ostatnie lata pracowali w ramach KPZZS, zatrudniono za to osoby z zadłużonego na potęgę Instytutu Psychiatrii i Neurologii, które na nic nie mają czasu. Do dzisiaj nie wznowiono rozpędzonych wcześniej szkoleń dla grup zawodowych pracujących z osobami w kryzysach samobójczych. Dziennikarka dużej redakcji mówiła mi niedawno, że jeden z nowych ekspertów w ramach odpowiedzi na pytania przysłał jej formułki wygenerowane przez chata AI. Jeśli tak postrzegamy dzisiaj ekspercką pracę przy zapobieganiu samobójstwom – to chyba samo się komentuje. ■

Piotr Lisiewicz



Niesamowita historia Wyszkowskiego. Jako 15-latek rzucił szkołę, był rockandrollowcem i wymyślił nazwę Solidarność



– „S" to piękna litera, była w herbie królów Stanisława i Zygmunta – bo łacińskie „Sigmundus". Potem „Sol", czyli Słońce, a więc uruchamiamy podświadomość dalej. Teraz istota tematu, czyli „Solid". Ojciec zawsze mówił: „solidne, przedwojenne". Solidna robota, solidny człowiek, na którego słowie można polegać. Solidność to przedwojnie, prawdziwa Polska. A to, co jest teraz, jest niesolidne, sowieckie, komunistyczne... Czyli razem: Solidarność! – tak Krzysztof Wyszkowski mówi o tym, jak wymyślił nazwę, która wkrótce obiegła cały świat. Droga do Orderu Orła Białego była kręta: porzucenie szkoły, oficyna „Punk", subkultury na dachu gdańskiego falowca, wojna z Wałęsą... Awantura za awanturą!

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

Wielu patrzy dziś na Krzysztofa Wyszkowskiego, odznaczonego przez prezydenta, jak na postać ze spiżu. Uniknąć starał się tego prezydent Karol Nawrocki, który nazwał go, przyznając mu najwyższe polskie odznaczenie, „wojownikiem, który bardzo szybko dobiera bardzo cięty i ostry oręż swojego słowa". No więc zamiast budować pomnik (na te przyjdzie czas!), napiszmy, jak było naprawdę, bo tylko prawda jest ciekawa!

» Wyszkowski bandażuje dziewczynom biusty

Od czego zaczął się bunt Krzysztofa Wyszkowskiego? Może od awantury zrobionej nauczycielce, która w II klasie olsztyńskiej podstawówki biła dzieci linijką? – Ta pani biła nas po wewnętrznej stronie dłoni. Mogłem wytrzymać, gdy bito mnie, wtedy nie czułem krzywdy. Ale gdy nauczycielka wzięła koleżankę i był ten widok linijki spadającej na delikatną skórę wewnątrz dłoni, to było powyżej mojej wytrzymałości i wrzasnąłem: „Tego nie wolno robić!" – wspomina dzisiaj.

Był klasowym prymusem, pani od matematyki powierzała mu poprawianie kartkówek. Siedział za biurkiem nauczyciela, poprawiał prace i wystawiał oceny. Ale gdy w VII klasie dowiedział się, że w ramach nauki historii będzie „wychowanie obywatelskie", w czasie którego przyswoić ma wiedzę o Sejmie, Radzie Państwa i roli PZPR, oświadczył stanowczo: „Ja się tego uczyć nie będę". Na mocy kompromisu zawartego z dyrektorką siedział w czasie owych lekcji na korytarzu. „Tylko nie wychodź ze szkoły i nie rozrabiaj!" – usłyszał.

Komiczne skutki miała odmowa uczestnictwa w strzelaniu na lekcjach przysposobienia obronnego (PO) w proteście przeciwko chamstwu „trepa" z komunistycznego wojska. W efekcie Wyszkowski został przeniesiony do

grupy… dziewczyn. – Dopóki uczyliśmy się teorii, wszystko było w porządku. Ale przyszedł czas na bandażowanie klatki piersiowej. Dziewczyny zaczęły piszczeć. W efekcie znowu wylądowałem na korytarzu – wspomina Wyszkowski.

W I klasie liceum, jako 15-latek, uznał, że szkoły ma dość i zrezygnował z nauki. Zatrudnił się jako goniec, bo robotnikiem mógł zostać dopiero po 16. roku życia. – To była wielka radość, wyzwolenie. Chciałem być wolnym człowiekiem – wspomina. Wolność kosztowała: pracował jako operator spychacza, konwojent, ajent stacji benzynowej. A literaturę i książki filozoficzne pochłaniał w dużo lepszej szkole: pod kierunkiem olsztyńskich bibliotekarek, z przedwojennym, wileńskim wykształceniem.

» Dlaczego Wyszkowski przez 71 lat kłamał w sprawie daty urodzenia?

Te anegdoty są prawdziwe, ale to nie był początek buntu małego Krzysia. Ten zaczął się jeszcze wcześniej. Gdy był przedszkolakiem, odwiedzał ojca, żołnierza Kedywu AK, w stalinowskim więzieniu. W sąsiednich celach mordowano ludzi. To także dlatego tak nienawidził komuny, że nie mógł być w szkole narzucającej bolszewicki światopogląd.

Pierwszym wybrykiem chuligańskim Krzysztofa były… jego narodziny. Rodzice sfałszowali bowiem datę jego urodzenia. Ukrywał to przez… 71 lat i ujawnił prawdę dopiero w 2018 roku w „Wywiadzie z chuliganem" w Republice. – Nie wiem, czy nie mogę być za to pociągnięty do odpowiedzialności. Mam w dokumentach fałszywą i datę, i miejsce urodzenia. Urodziłem się 10 sierpnia 1947 roku w Ostrowi Mazowieckiej, a mam wpisane Mrągowo i 19 listopada tego roku.

Jakie były przyczyny fałszerstwa? Przez ponad trzy miesiące fakt jego narodzin matka ukrywała przed władzą. Bo uciekała przed komunistami, nosząc go pod sercem. – 10 sierpnia, w Ostrowi Mazowieckiej, w domku mojego dziadka, przy Słonecznej 8, na pierwszym piętrze, urodziłem się. Ale musieliśmy zameldować tam moją siostrę, która wprowadziła się tam, gdy mama była w ciąży. No więc trzeba było odczekać jakąś prawdopodobną odległość czasu do moich narodzin – mówi Wyszkowski.

» „Na dwór wychodziliśmy zimą oddzielnie, bo nie starczało ubranek"

Jak wspominał dzieciństwo? – To była okropna nędza. Było nas troje rodzeństwa i walczyliśmy o kawałek starego chleba, który mama przypiekała na wodzie na patelni. Mieszkaliśmy w piwnicy porośniętej grzybem, spaliśmy na łóżku piętrowym. Ja na górze, pod sufitem, nad nosem mając piękny, kolorowy grzyb. Na dwór wychodziliśmy zimą oddzielnie, po kolei, bo nie starczało ubranek dla wszystkich trojga od razu.

Działo się tak, bo rodzinę „faszysty" z AK zesłano do dzielnicy czerwonej nomenklatury. – W dużych poniemieckich willach mieszkali tam funkcjonariusze. Nas umieszczono w piwnicy i dzieci funkcjonariuszy nie chciały się z nami bawić – opowiada. Ojciec siedział, a potem wysłano go do niewolniczej pracy w kopalni i kamieniołomie, a także przy formowaniu betonowych belek służących do budowy Pałacu Kultury im. Stalina. W czasie budowy zginęło 16 robotników. Co Krzysztof Wyszkowski myśli dziś o zburzeniu znienawidzonego Pałacu Kultury? – Bardzo bym tego chciał. Gdy ojciec wyszedł z więzienia, zawiózł mnie na pływalnię do Pałacu Kultury i pokazywał kawałki marmurów, które osobiście musiał piłować w kamieniołomie.

» Razem z legendą od Niemena i Czerwonych Gitar

Wyszkowski, po uwolnieniu się od szkoły, starał się organizować bunt młodzieży przeciwko komunie. Przyjaźnił się ze starszym, nieżyjącym już, Franciszkiem Walickim, nazywanym ojcem polskiego rock'n'rolla, autorem tekstów piosenek Czesława Niemena czy Czerwonych Gitar. Jak trafił do punków? – Uważałem, że trzeba przeciwstawiać komunizmowi jakieś szersze środowiska. Te, które, chcąc nie chcąc, przez sam styl życia podejmowały spór, jeżeli nie walkę z komunizmem – mówił. Sam nie będąc punkiem, opiekował się grupą uczniów liceum w Gdańsku, która utworzyła takie ulotne pisemko „Zjadacz radia". – Genialny tytuł. Pisali o tym, jak młody człowiek, mówiąc brutalnie, rzyga tą konformistyczną rzeczywistością. Dawałem im narzędzia do druku – wspomina Wyszkowski. Punki urządziły sobie siedzibę koło dachu jednego z „falowców" gdańskich. To była budka nad windą, pomieszczenie mechanika. Pewnego wieczoru grali tam muzykę. – I nagle patrzą, a przez okienko wystaje lufa kałasznikowa. Okazało się, że otoczył ich cały oddział milicjantów z bronią w ręku. Sądzili oni, że punki to jest jakiś oddział angielski, który dokonał tu desantu na dach „falowca". To brzmi dziś śmiesznie, ale pokazuje, jak władza bała się jakiejkolwiek inności – opowiada Wyszkowski.

Wyszkowski był też pierwszym podziemnym wydawcą książek Witolda Gombrowicza. Organizował kanał przerzutu książek z Zachodu, m.in. z Instytutu Literackiego w Paryżu. Przemycaną nielegalnie literaturę otrzymywał dzięki przyjaźni z Tadeuszem Kadenacym, wnukiem siostry Józefa Piłsudskiego.

» 40 osób, które wstrząsnęły światem. „Czegoś takiego na świecie nie było"

W 1977 roku, gdy Wyszkowski został współpracownikiem KSS KOR, zaczęła się dla niego poważna opozycja. W kwietniu 1978 roku został współzałożycielem i autorem deklaracji założycielskiej Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. „Celem Wolnych Związków Zawodowych jest organizacja obrony interesów ekonomicznych, prawnych i humanitarnych pracowników… Wzywamy wszystkich do solidarności w walce o lepszą przyszłość" – czytamy w deklaracji. Po latach Andrzej Bulc, jeden z założycieli WZZ, wspominał: – Nieduża grupa… w granicach czterdziestu osób, potrafiła zorganizować coś niesamowitego… strajk na skalę światową. Czegoś takiego na świecie jeszcze nie było.

Jak doszło do tego, że to Wyszkowski wymyślił nazwę Solidarność? – Wszystko z Józefa Piłsudskiego! Cała moja wiedza pochodziła z jego „Dzieł zebranych", no i literatury, dla której myśl Piłsudskiego była wektorem wyznaczającym kierunek myślenia – opowiada. Zaprocentowała edukacja ucznia olsztyńskich bibliotekarek z Wilna i pierwszego czytelnika emigracyjnych, zakazanych przez władzę książek.

» Nazwa „Solidarność", czyli wszystko przez Piłsudskiego

Dla Wyszkowskiego jasne było, że to, co muszą zrobić, to powtórka z Piłsudskiego, który 100 lat wcześniej poszedł do robotników z ideą niepodległości Polski, walcząc o ich względy z… Leninem, teraz patronem gdańskiej stoczni. Śledził słowo po słowie, jakiej retoryki używał „Ziuk": – Wprost przenieść tamtych nazw się nie dało. Z PPS-u to były wszystkie te „Naprzody", „Jutrzenki", „Świty". To już nie był ten język, nie te

czasy. Myślałem o „Więzi". Ale wychodziła już „Więź" Mazowieckiego, ten miesięcznik katolicki. A poza tym słowo „więź" nie ma barwy, nie ma dźwięku, to jest słowo drętwe, bierne – wspomina Wyszkowski.

Jak wpadł na słowo „Solidarność"? – Poszedłem do biblioteki i szukałem. Była Partia Robotnicza Solidarność z 1893 roku. Solidarność… to mnie zainspirowało, ktoś miał niezły pomysł. Ale komuniści też używali tego słowa, jako internacjonalistycznego, ogłaszali na przykład solidarność z narodem wietnamskim, atakowanym przez imperializm amerykański. To było słowo i przykurzone, i przybrudzone, ale w niedawnych interpretacjach komunistów nie było odnoszone do relacji międzyludzkich. Myślę sobie – to nie tak źle.

» Bomba podłożona pod komunizm. „Panie, dawaj pan, przecież to genialne!"

W deklaracji nazwa się więc nie znalazła, a większość liderów WZZ ustaliła później, że pismo ma nazywać się „Robotnik Wybrzeża". Ale potem przyszedł Sierpień '80: – Wydajemy pisemko strajkowe… Mariusz Wilk mówi „Strajkowy Biuletyn Informacyjny". Ja dodaję: „Strajkowy Biuletyn Informacyjny Solidarność". Oni na to: „No, dobre, dobre…". Nie było telefonu do Warszawy i jakoś przeszło – opowiada Wyszkowski.

Nazwa okazała się bombą, skandowane przez tłumy słowo „Solidarność" rozchodziło się lotem błyskawicy. Natychmiast powstała też graficzna wersja nazwy związku, napisana „solidarycą". – Przychodzi Jurek Janiszewski i mówi: „Proszę Pana, my tutaj napisaliśmy tę nazwę, taka forma, może wam się to przyda – wspomina Wyszkowski. Rzut oka wystarczył mu, by zrozumieć: „– Panie, dawaj pan, przecież to genialne. – A my możemy to nawet na koszulkach dać. – Kiedy? – Jutro". Nie poczekali do jutra. Kolega przyszedł za kilka godzin i przyniósł mu tę koszulkę. – Wciągnąłem ją na siebie jako pierwszy, jeszcze z tym dopiskiem „Gdańsk, Sierpień 80" – wspomina dzisiejszy kawaler Orderu Orła Białego.

Uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku. W 1981 roku został sekretarzem redakcji „Tygodnika Solidarność". Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany w Strzebielinku. W marcu 1982 roku uczestniczył w siedmiodniowej głodówce w proteście przeciw stosowaniu przemocy wobec współinternowanego. Ze względu na stan zdrowia trafił do Szpitala Rejonowego w Wejherowie, a stamtąd uciekł 8 sierpnia 1982 roku. Przez prawie rok, do 22 lipca 1983 roku, ukrywał się, ale wkrótce na władzy wymuszono amnestię i trafił na wolność.

W czasie Okrągłego Stołu Wyszkowski przyglądał mu się jako obserwator z ramienia solidarnościowego Studia Video Gdańsk. To, co się działo, skrytykował w artykule „Spod Stołu" w paryskiej „Kulturze". Odmówił podjęcia pracy w „Tygodniku Solidarność", którego naczelnym został Tadeusz Mazowiecki, ale gdy ten został premierem, a kolejnym szefem tygodnika był Jarosław Kaczyński, objął funkcję kierownika działu politycznego.

» Rozbijanie z Niemcami państwa polskiego

Bliżej Kaczyńskiego niż Mazowieckiego wydawało się być wówczas środowisko gdańskich liberałów, skupione wokół Jana Krzysztofa Bieleckiego i Donalda Tuska, stojących na czele Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Ponieważ nazwiska te nic ludziom nie mówiły, starali się oni przyciągnąć do siebie ludzi z autorytetem, jak Wyszkowski. Tak trafił on do KLD. Kiedy włączyła mu się lampka ostrzegawcza, że Tusk reprezentuje interesy

Niemiec? – Zaniepokoiło mnie, gdy KLD zaczęło mówić o podziale Europy na regiony. O tym samym mówił pewien polityk z Meklemburgii, agent Stasi. One miały sięgać 100 kilometrów w głąb Niemiec i 200 kilometrów w głąb Polski. I tak od góry do dołu, od Szczecina do Turoszowa. To wyglądało na rozbijanie państwa polskiego.

Opowiada, jak wyglądały złodziejstwa gdańskich liberałów: – Donald jeździł do ministerstw i załatwiał koncesje, a także stanowiska syndyków, którzy uwłaszczali się na przedsiębiorstwach.

» „Jak ktoś wspomni o koalicji z SLD, to dam w mordę!"

Zdaniem Wyszkowskiego Tusk „został rodzajem wielkorządcy na Polskę północną", co według niego sprawiło, że „mógł ten majątek rozdawać". Jak doszło do rozstania Wyszkowskiego ze środowiskiem Tuska? – Byłem na imprezie w prywatnym mieszkaniu. I oni w pewnym momencie przestali mówić o kręceniu lodów, a zaczęli mówić wprost, że będą kraść, używali tego słowa przy swoich żonach. Nie wytrzymałem i wyszedłem z pokoju. Oni zamilkli na chwilę. W przedpokoju trafiłem na Donalda, niósł tacę z kieliszkami. Zacząłem mu mówić, że gdzie oni zaszli…. On zaczął mnie uspokajać, mówiąc, że to jego wina.

Ostatecznie rozstanie nastąpiło w gmachu Sejmu: – W końcu 1991 roku było spotkanie KLD w Sejmie, podczas którego Andrzej Machalski powiedział, że najlepszym koalicjantem dla nas byłoby SLD. Donald stwierdził, że faktycznie gdy chodzi o program gospodarczy, do SLD nam najbliżej. Wtedy ja powiedziałem, że jak ktoś jeszcze raz wspomni o koalicji z SLD, to dam mu w mordę. Andrzej Arendarski, który siedział naprzeciwko mnie, strasznie się obruszył.

» O Wałęsie: „Największa kanalia, jaką w życiu spotkałem"

W III RP o Wyszkowskim głośno było za sprawą jego wojny z Lechem Wałęsą. – Wałęsa jest ważny dla wszystkich byłych agentów SB. Dlaczego? Ponieważ on cały czas niezłomnie broni tego, czego nauczono go na szkoleniach jako donosiciela: „nie przyznawaj się". On jest konsekwentny, jak widać, jest wiernym uczniem i miał dobrych nauczycieli… Jeśli Wałęsa zacząłby „sypać", to mógłby ich wszystkich wysłać do więzienia, dlatego oni wszyscy go wspierają i dopingują, aby się nie przyznawał – mówił Wyszkowski.

Co sądził o uznawanym za ikonę „Bolku"? – Teczki „Bolka" to materiał przerażający. Wałęsa, muszę to powiedzieć, to geniusz zbrodni. Potworny oszust – stwierdzał Wyszkowski. – Zaczął od współpracy jako TW, ale później wszedł chyba na wyższy poziom – prowokatora politycznego. Gdy dołączył do nas jeszcze w WZZ, chciał robić zamachy terrorystyczne, od razu wzbudzał podejrzenia – dodał, przypominając: – Opiekowałem się nim, gościłem go w swoim domu. Nie mogę uwierzyć w to, co zrobił ten człowiek.

Order Orła Białego dla Krzysztofa Wyszkowskiego mówi wiele o tym, co ustaliło w sprawie tego sporu państwo polskie. Kto był po dobrej stronie mocy, a kto był małym zdrajcą. I mocno łączy się to odznaczenie Wyszkowskiego ze sprowadzeniem do Polski przez prezydenta prochów innego antykomunistycznego awanturnika, pisarza Sergiusza Piaseckiego. Tak – walka z komuną i postkomuną była dobrem, a rozmywanie winy ludzi służących komunizmowi jest złem. Piasecki i Wyszkowski mieli rację. Szczególnie dla młodych ludzi popierających dziś w 73 proc. prezydenta Nawrockiego powinna być to ważna opowieść. ■



Dariusz Jarosiński

Naród nie do uzdrowienia?

Gdy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej rozpoczęły się masowe mordy UPA na ludności polskiej, biskup Grzegorz Chomyszyn nie milczał, jak zdecydowana większość kapłanów greckokatolickich i prawosławnych, a ostro i jednoznacznie potępił te zbrodnie. Prosił o opamiętanie, a w oficjalnych wystąpieniach rzucił klątwę „na każdego, kto w nienawiści i zaślepieniu przelewa czyjąś krew”.

25 lat temu, w czerwcu 2001 roku, papież Jan Paweł II pielgrzymował na Ukrainę pod hasłem „Chrystus – Drogą, Prawdą i Życiem". W czasie duszpasterskiej wizyty we Lwowie Ojciec Święty w uznaniu heroiczności cnót wyniósł do godności błogosławionego greckokatolickiego kapłana, biskupa stanisławowskiego Grzegorza Komyszyna, który zakończył życie w 1945 roku jako męczennik zamordowany przez NKWD w kijowskim więzieniu. Decyzja papieża Jana Pawła II o beatyfikacji stanisławowskiego hierarchy wywołała w społeczeństwie zachodniej Ukrainy kontrowersje. Chomyszyn, syn ukraińskiego chłopa i Polki, który w sposób bezkompromisowy potępiał od lat 20. ubiegłego wieku ukraiński nacjonalizm integralny, antypolonizm, do dziś budzi w zachodniej Ukrainie ambiwalentne uczucia, a jego dziedzictwo uznawane jest za niewygodne.

Unicki biskup stanisławowski nie bez racji nazywany jest przez polskich badaczy „prorokiem z Ukrainy". „Proroczo ukazywał drogę, jaką ma pójść Ukraina. Tłumaczył, że jeśli pójdziemy drogą nacjonalizmu – Ukrainy nie będzie. Będzie wojna, przelew krwi, zdrady, nieszczęście" – mówił o nim ks. prof. Józef Marecki, historyk. Nie dowiemy się, jak wielu rodaków udało mu się zawrócić ze źle obranej drogi i jak wielu dzięki niemu może w ogóle na nią nigdy nie weszło, wszak nie wszyscy Ukraińcy ulegli zbrodniczej ideologii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów-Ukraińskiej Powstańczej Armii, sprzeciwiając się mordowaniu polskich sąsiadów i ostrzegając ich przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Wielu z nich zapłaciło za to życiem.

Biskup w swoich listach pasterskich i pismach, m.in. w „Problemie ukraińskim" z 1933 roku, nazywał nacjonalizm ukraiński m.in. „obłędnym", „pogańskim", „zatrutym". Przestrzegał, że zastępuje on miłość do Boga i bliźniego ślepą nienawiścią oraz szowinizmem.

» Cywilizacja łacińska czy turańska?

Grzegorz Chomyszyn pochodził z okolic Czortkowa na Tarnopolszczyźnie, studiował na Uniwersytecie Lwowskim oraz w wiedeńskim Instytucie Augustineum, gdzie uzyskał doktorat z teologii. W latach 1902–1904 był rektorem seminarium duchownego we Lwowie, w 1904 roku został wyświęcony na unickiego biskupa diecezji stanisławowskiej. Podczas wojny polsko-ukraińskiej, w latach 1918–1919 opowiedział się po stronie swych rodaków, poparł utworzenie Ukraińskiej Republiki Ludowej, choć nie był bezkrytyczny wobec ich działań. Winę za klęskę ukraińskich aspiracji niepodległościowych upatrywał w nieudolności oraz nieustępliwości ukraińskich polityków, odżegnujących się od jakiegokolwiek kompromisu z Polakami. Twierdził, że z powodu radykalizmu, jaki cechował działaczy ukraińskich, społeczność międzynarodowa uznała, iż Ukraińcy nie nadają się do budowy własnej państwowości. Uważał za szkodliwy historyczny antypolonizm, uznawanie Polaków jedynie za odwiecznych wrogów i gnębicieli.

Kiedy jego diecezja znalazła się w granicach odrodzonej II Rzeczypospolitej, wielokrotnie wzywał swoich wiernych do lojalności wobec państwa polskiego, zarazem popierając legalne działania w obronie religijnej i narodowej tożsamości. Jego zdaniem naród ukraiński powinien budować swoją przyszłość na drodze legalnej i ewolucyjnej, a nie poprzez krwawy terror i dywersję. Widział szansę dla Ukraińców w porozumieniu i lojalności wobec państwa polskiego, w czym upatrywał także tarczę przed bezbożnym bolszewizmem.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej biskup Chomyszyn kontynuował

FOT. ARCH. POKOLOROWANE ZA POMOCĄ AI

rozpoczęte już wcześniej dzieło latynizacji Cerkwi greckokatolickiej, polegające na stopniowym wprowadzaniu do wschodniego rytu i życia religijnego zachodnich (łacińskich) praktyk i tradycji, aby podkreślić jedność z Rzymem oraz zapobiec wpływom moskalofilstwa i prawosławia. Główne założenia i działania biskupa obejmowały: wprowadzenie ścisłego celibatu dla księży greckokatolickich w swojej diecezji (wbrew wschodniemu zwyczajowi), przejście z tradycyjnego kalendarza juliańskiego na kalendarz gregoriański, krzewienie rzymskokatolickich form pobożności, takich jak adoracja Najświętszego Sakramentu czy nabożeństwa do Najświętszego Serca Pana Jezusa, usuwanie naleciałości i modyfikacji uznawanych za „ruskie" i zastępowanie ich wzorcami zachodnimi (m.in. zmiana sposobu odprawiania mszy świętych czy przyjmowania Komunii). Hierarcha uważał te reformy za niezbędne dla ochrony unitów przed asymilacją z Rosyjskim Kościołem Prawosławnym i odrzucał dawne wpływy wschodnie jako „bizantynizm".

Droga, którą wskazywał narodowi ukraińskiemu, to droga zbliżenia do Zachodu i budowania narodu nie na nienawiści, a na relacji kulturowej. Chomyszyn był wielkim orędownikiem cywilizacji łacińskiej na Ukrainie. Ostrzegał przed bizantynizmem, mówił, że z niego wyrosły rosyjski autorytaryzm i bolszewizm. Tłumaczył, że skoro jesteśmy Kościołem katolickim, to musimy nim być jak najbardziej, we wszystkim, w czym można, również w kalendarzu i celibacie, złączeni z Kościołem powszechnym. Nie bać się dorobku kościelnej tradycji łacińskiej, która w wielu sytuacjach miała wymiar powszechny. W swojej diecezji wprowadził kalendarz gregoriański i bezżeństwo kapłanów, ostro spierał się o to z metropolitą lwowskim i halickim arcybiskupem Andrzejem Szeptyckim, który był rzecznikiem idei zjednoczenia prawosławia z grekokatolicyzmem.

» Najstraszniejsza nowoczesna herezja

Biskup Chomyszyn już od lat 20. XX wieku uważał integralny nacjonalizm ukraiński, będący skrajnym szowinizmem, którego twórcą był Dmytro Doncow, wielbiciel Adolfa Hitlera, za ideologię zbrodniczą, destrukcyjną i sprzeczną z chrześcijaństwem. W latach 20. XX wieku Doncow jako pierwszy przetłumaczył na język ukraiński fragmenty manifestu politycznego Hitlera „Mein Kampf". Ani nacjonalizm ukraiński, ani nazizm (narodowy socjalizm) nie miały nic wspólnego z ideą narodową, były wręcz zaprzeczeniem idei narodowej. Ideologowie ukraińscy głosili radykalny nacjonalizm etniczny, zbieżny z rasizmem i faszyzmem, dążyli do stworzenia państwa czystego etnicznie.

Hierarcha unicki bezkompromisowo potępiał terrorystyczne zamachy dokonywane w Polsce przez OUN-UPA i OWU (Ukraińską Organizację Wojskową) w okresie międzywojennym. Działalność terrorystyczna OUN, oprócz eliminacji polskich urzędników i polityków, obejmowała także masowe akcje sabotażowe (m.in. niszczenie mienia i podpalenia majątków ziemskich w Małopolsce Wschodniej). Polskie władze nie mogły nie reagować na akty terroru i przeprowadzały akcje represyjne wobec ludności ukraińskiej.

Biskup popierał Ukraińską Katolicką Partię Ludową (UKNP), a żeby przeciwdziałać radykalizmowi, założył Ukraińską Chrześcijańską Organizację i wydawał pismo „Nowa Zorja" („Nowa Zorza") promujące chrześcijańską etykę w życiu publicznym. Współpracował z konserwatystami polskimi, m.in. z Janem Bobrzyńskim, publicystą i wydawcą pisma „Nasza Przyszłość". Bobrzyński, syn przywódcy obozu politycznego stańczyków, traktował

poglądy biskupa Chomyszyna jako ważny fundament pod dialog i porozumienie z umiarkowanymi kołami ukraińskimi. W 1933 roku zamieścił na łamach „Naszej Przyszłości" tłumaczenie jednego z najważniejszych tekstów unickiego hierarchy – „Problem ukraiński". W podtytule czytamy, iż tekst ten został napisany „dla duchowieństwa i świeckiej inteligencji narodu ukraińskiego". W pierwszej części pracy, zatytułowanej „O destruktywnym działaniu mylnie pojętego nacjonalizmu", autor podkreślał, że nie ma nic przeciwko nacjonalizmowi respektującemu wartości chrześcijańskie, jednak potępia szerzący się wśród Ukraińców nacjonalizm integralny, będący zaprzeczeniem wartości chrześcijańskich. Nacjonalizm ukraiński nazywał „obłędnym", „pogańskim" i „zatrutym".

Gorzkie i mocne słowa płynęły z głębokiej troski kapłana o naród ukraiński, którego był gorącym patriotą: „Prawdziwej, świętej i szlachetnej miłości swego narodu przeciwstawia się nacjonalizm, wymysł czasów ostatnich, który uważa naród za najwyższego suwerena, detronizuje absolutny autorytet Boga, przeczy niezłomnym zasadom objawionej wiary nadprzyrodzonej, stawiając w ich miejsce swoje, przez ludzi wymyślone, mylne hasła, uważa je za dogmaty i niszczy nie tylko miłość Boga, ale i bliźnich, bo wprowadza gorączkę szowinizmu i nienawiści w stosunku do tych wszystkich, którzy nie podporządkowują się temu nacjonalizmowi. Nacjonalizm ten należy uważać za największą aberrację umysłu ludzkiego, za coś gorszego od pogaństwa. Jest on najstraszniejszą nowoczesną herezją". „Naród, któremu nikt nie odkrywa, albo nikt nie ma odwagi odkryć błędnej jego drogi, lub naród, który nie chce przyjąć zdrowej rady, albo tak dalece jest już schorowany, że nie może przyjąć zdrowej rady i skutecznego lekarstwa – jest narodem nie do uzdrowienia".

» Klątwa Biskupa

Biskup niezwykle krytycznie odniósł się do ogłoszonego przez OUN 30 czerwca 1941 roku „aktu odnowienia państwa ukraińskiego". Przestrzegał rodaków przed uleganiem nazistowskiej ideologii III Rzeszy. Gdy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej rozpoczęły się masowe mordy etniczne UPA na ludności polskiej, Chomyszyn ostro i jednoznacznie potępił te zbrodnie. W oficjalnych wystąpieniach rzucił klątwę „na każdego, kto w nienawiści i zaślepieniu przelewa czyjąś krew". Jako jeden z nielicznych hierarchów cerkiewnych nie używał ogólników, lecz otwarcie nazywał te działania sadyzmem, zbrodnią i „pograniczem zwierzęcości". Jego zdecydowany sprzeciw wobec czystek etnicznych i działalności UPA powodował, że był on uważany przez członków tej organizacji za wroga i zdrajcę, stał się obiektem agresywnej propagandy i ataków personalnych, otrzymywał groźby śmierci. Nie poddawał się. Nie tędy droga – powtarzał wiernym z uporem – trzeba iść za nauką Kościoła i stawiać Pana Boga na pierwszym miejscu.

Postawa biskupa Chomyszyna była odosobniona wśród ówczesnego duchowieństwa greckokatolickiego i prawosławnego. Biskup lwowski Josyf Slipyj sprawował opiekę duszpasterską nad ukraińskimi formacjami zbrojnymi. W kwietniu 1943 roku Slipyj odprawił uroczyste nabożeństwo w Archikatedrze św. Jura we Lwowie z okazji powołania 14. Dywizji Grenadierów SS (znanej jako Dywizja SS „Galizien"). Obecność kapelanów w Dywizji SS „Galizien" była zjawiskiem wyjątkowym w skali całej III Rzeszy. Niemieckie formacje SS z założenia miały charakter antychrześcijański i nie posiadały struktur duszpasterskich. Metropolita Andrzej Szeptycki wyznaczył do służby w dywizji 12 greckokatolickich kapelanów. Kapelani nosili

niemieckie mundury, odprawiali msze polowe, spowiadali żołnierzy przed bitwami oraz prowadzili pogrzeby. Dywizja SS Galizien dopuściła się zbrodni wojennych na ludności cywilnej, głównie polskiej i żydowskiej. Największą z nich była masakra w Hucie Pieniackiej (28 lutego 1944 roku), gdzie zamordowano ponad 850 Polaków.

W UPA duszpasterstwo nie miało charakteru scentralizowanego odgórnie, lecz opierało się na strukturach terytorialnych i indywidualnych decyzjach księży. W strukturach UPA funkcjonowali oficjalni kapelani przypisani do poszczególnych kureni (batalionów) lub sotni (kompanii). Byli to zarówno duchowni greckokatoliccy, jak i prawosławni (zwłaszcza na Wołyniu). Część radykalnych księży nawoływała do walki i święciła narzędzia zbrodni.

W kwietniu 1945 roku Chomyszyn został aresztowany przez NKWD w Stanisławowie w ramach zorganizowanej akcji likwidacji Kościoła greckokatolickiego. Przewieziono go do ciężkiego więzienia łukianowskiego w Kijowie. Poddany brutalnym, wielomiesięcznym przesłuchaniom i torturom, nie zaparł się wiary katolickiej. Zmarł z wycieńczenia w grudniu 1945 roku w szpitalu więziennym w wieku 78 lat.

» Dwa Królestwa

Po upadku Związku Sowieckiego odnaleziono w archiwum rękopis wspomnień biskupa Chomyszyna „Dwa Królestwa". Ponad 500-stronicowy dokument powstał potajemnie w latach 1942–1943, jest to piąta, ocalała część zapisków biskupa (pozostałe przepadły). Rękopis przetrwał cudem, odnaleziono go w stanie częściowo nadpalonym w ogniu. Manuskrypt został przygotowany do druku dzięki staraniom polskiego historyka prof. Włodzimierza Osadczego z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz księdza greckokatolickiego Ihora Pełechatego z Iwano-Frankiwska (Stanisławowa). Książka ukazała się w oryginale ukraińskim w 2016 roku przy wsparciu Centrum Ucrainicum KUL, w języku polskim została wydana w 2017 roku.

Książka „Dwa Królestwa" w ciągu kilku dni zniknęła z półek ukraińskich księgarń, ludzie stali w kolejkach, by ją kupić. Wspomnienia biskupa Chomyszyna wywołały jednak wielkie oburzenie hierarchów grekokatolickich. Mieli oni ograniczone możliwości w przeciwdziałaniu książce, bo Chomyszyn jest męczennikiem i błogosławionym Kościoła, więc ograniczyli się do wycofania książki z części bibliotek kościelnych i z kilku świeckich oraz zakazania jej kolportażu. Pojawiły się plotki, że to fałszywka wydana przez Polaków, twierdzono, że polskie służby specjalne zainwestowały duże środki, aby wydać książkę. Państwowe media ukraińskie nazwały książkę „fejkiem rosyjskiej propagandy", która ma służyć do skłócenia Ukraińców i Polaków.

Ksiądz Ihor Perechatyj, który przygotowywał książkę „Dwa Królestwa" do druku, przez 26 lat był redaktorem naczelnym pisma diecezjalnego „Nowa Zoria", założonego przez błogosławionego biskupa Chomyszyna ,i dyrektorem wydawnictwa diecezjalnego. Po ukazaniu się książki biskup Wołodymyr Wijtyszyn zabronił mu uczestnictwa w promocji publikacji, a potem został odwołany z pełnionych stanowisk. Wszczęto wobec niego kościelny proces sądowy za wydanie wspomnień błogosławionego biskupa.

Premiera i prezentacja książki „Dwa Królestwa" w oryginale ukraińskim odbyła się we wrześniu 2016 roku we Lwowie pod patronatem metropolity lwowskiego arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego. W czasie promocji doszło do skandalicznych zachowań. Tak o tym opowiadał uczestnik promocji, prof. Włodzimierz Osadczy: „Na promocji książki

[…] pojawiła się grupa osób, które nigdy wcześniej nie pojawiały się na naszych konferencjach. Ubrani w tradycyjne ukraińskie haftowane koszule zachowywali się skandalicznie, przerywali spotkanie, krzyczeli »hańba«. Nigdy wcześniej takie zachowania nie miały miejsca na auli biskupiej podczas naszych konferencji. Krzyczeli, że wspomnienia nie są autentyczne. Obrzucali obelgami obecnego na sali ks. bp. Mariana Buczka, który napisał wprowadzenie do pamiętników, że jako »polski biskup« wtrąca się w sprawy Kościoła »ukraińskiego«. Uważam, że to były osoby nasłane, żeby nas sprowokować i podgrzać niezdrowe emocje wokół książki".

Książka „Dwa Królestwa" okazała się niewygodna dla hołdującej banderyzmowi hierarchii greckokatolickiej na Ukrainie. W ocalałych wspomnieniach biskupa możemy znaleźć krytykę ukraińskiego nacjonalizmu: „Ta herezja nacjonalizmu opętała także nasz naród i stała się prawie bałwochwalstwem. »Naród ponad wszystko«, łaskę robimy Bogu, gdy postawimy imię Boże na drugim miejscu: »Naród i Bóg«. Postawiliśmy prawdę naszą ponad prawdę Bożą, czyli jak mówi Paweł Apostoł: »Zamieniliśmy prawdę na kłamstwo« (Rz 1,25). Liczy się dla nas sumienie narodowe. W imię tegoż sumienia proklamuje się zasada, że wszystkie środki, nawet nieetyczne, są dozwolone, gdy chodzi o dobro narodu i budowę państwa. Kościół ma służyć polityce, wiara i religia ma stanąć do jej usług. Kto myśli inaczej, kto się temu sprzeciwia, uchodzi za wroga narodu".

Hierarchowie greckokatoliccy nie mogą wybaczyć biskupowi Chomyszynowi krytycznych wypowiedzi pod adresem duchowego przywódcy Kościoła greckokatolickiego, Andrzeja Szeptyckiego, który przez Ukraińców z zachodu jest traktowany jak święty. Rzeczywiście metropolita miał wiele zasług, ale musimy pamiętać też o jego moralnym wsparciu Hitlera, kolaboracji z III Rzeszą, braku reakcji na ludobójstwo Polaków. O tym m.in. pisał biskup stanisławowski: „Metropolita to wszystko zaniedbał i dlatego zamiast trzeźwej i rozważnej polityki [wśród Ukraińców] rozpoczął się kurs akcji terrorystycznych podziemnych bojówek naszej młodzieży organizowany na własną rękę przez różnych niepowołanych wodzów. Metropolita nie tylko nie spełnił swego obowiązku, ale zajął bierne stanowisko wobec bojówek terrorystycznych, a może raczej pośrednio sprzyjał im, w każdym bądź razie aprobował milczeniem […] Rozumny i kochający swe dzieci ojciec nie tylko troszczy się o ich dobro, ale także gdy jest potrzeba napomina je i karci, a nawet karze. Przysłowie mówi »Kochaj dziecko jak duszę i trzęś nim jak gruszką«. Metropolita, który rościł sobie prawo do bycia ojcem narodu, nie spełnił tego obowiązku. Milcząc patrzył on biernie przez palce na wszystkie nasze uchybienia, a nawet pośrednio wspierał. Przez to urósł on na wielkiego patriotę, lecz wyrządził krzywdy nam więcej niż jakiś otwarty wróg, ponieważ nie troszczył się on o dobro narodu ukraińskiego, zależało mu na własnej wielkości, a nie na wielkości narodu ukraińskiego".

***

W 1958 roku z inicjatywy ukraińskich hierarchów greckokatolickich został otwarty przez Watykan proces beatyfikacyjny metropolity Andrzeja Szeptyckiego, jednak do dzisiaj się nie zakończył. Proces był w przeszłości wstrzymywany, m.in. na skutek zastrzeżeń zgłaszanych przez kardynała Stefana Wyszyńskiego. W 2015 roku papież Franciszek zatwierdził dekret o heroiczności cnót metropolity Szeptyckiego, do beatyfikacji niezbędne są jeszcze dowody na cuda dokonane za jego wstawiennictwem. ■

Odbyta prawie 200 lat temu podróż do Ziemi Świętej, przez Włochy, Grecję i Egipt, stanowiła jeden z przełomowych momentów w duchowej biografii Juliusza Słowackiego, romantycznego wieszcza, poety wygnańca i tułacza. Zmieniając się w żądnego wrażeń podróżnika, a zarazem spragnionego duchowych doznań pielgrzyma, chłonął nieznany sobie świat i mocą swej wyobraźni powoływał do istnienia dzieła wyrastające z podróżniczych doświadczeń i głębokiej tęsknoty za ojczyzną.

Agnieszka Kowalczyk

Z JULIUSZEM SŁOWACKIM NIE TYLKO W ZIEMI ŚWIĘTEJ

W lutym 1836 roku Słowacki opuścił Szwajcarię, zabierając ze sobą wspomnienia trzytygodniowej wyprawy w wysokie Alpy, podczas której z młodziutką Marią Wodzińską i jej rodziną wędrował szlakiem napoleońskim do klasztoru św. Bernarda, by pokonać potem przełęcz św. Gotarda i dostać się do Jeziora Czterech Kantonów. Alpy szwajcarskie olśniły poetę do tego stopnia, że to właśnie na szczycie Mont Blanc usytuował bohatera swego dramatu – Kordiana, który otulony mgławicą chmur, zawieszony między niebem a ziemią, przeżywał swą wielką przemianę wewnętrzną, stając się patriotą gotowym do czynu.

» Przez Rzym na Bliski Wschód

Alpejskie krajobrazy ustąpiły niedługo miejsca widokom Rzymu, gdzie czekali na poetę jego bliscy – brat matki Teofil Januszewski wraz z żoną Hersylią. W Wiecznym Mieście, które miał okazję oglądać z wysokości kopuły Bazyliki św. Piotra, obracał się w towarzystwie Polaków, wśród których byli: słynny architekt Piotr Aigner, znany malarz batalista January Suchodolski, wzięty portrecista Ksawery Jan Kaniewski czy twórca „Nie-Boskiej komedii" Zygmunt Krasiński, w którym Juliusz odkrył serdecznego przyjaciela i życzliwego czytelnika swych dzieł. Urzekały go obrazy wielkich mistrzów włoskich, a zwłaszcza Rafaela, którego „Koronacja Marii" z liliami wyrastającymi z grobu i wizyjna „Transfiguracja" z wniebowstąpieniem Chrystusa wywarły na nim największe wrażenie. Nie mógł oderwać oczu od rafaelowych fresków w stancach i sufitach lóż watykańskich. Dzieła te wiodły go w sferę rzeczywistości duchowej, inspirowały do mistycznej i historiozoficznej refleksji. Był ponadto na szczycie Wezuwiusza, oglądał Neapol, Pompeje i Herkulanum, spędził miesiąc „z samym sobą i Szekspirem" w pięknym Sorrento, gdzie córka gospodarza grywała mu serenady.

Latem 1836 roku zupełnie niespodziewanie otworzyła się przed nim perspektywa wielkiej wyprawy. Oto Zenon Brzozowski, bogaty ziemianin z Podola, wychowanek Liceum Krzemienieckiego, oraz bracia Aleksander i Stefan Hołyńscy z Ukrainy zaproponowali poecie udział we wspólnej podróży na Wschód przez Grecję, Egipt, Palestynę i Liban. Ten zaś, otwarłszy Biblię na przypadkowym wersecie, który brzmiał: „Kościoły azjatyckie pozdrawiają was", nie miał już żadnych wątpliwości, by wyruszyć w nieznane szlakiem romantycznych wojażerów – Lamartine'a i Chateaubrianda.

» Wolny duch wyzwolonej Grecji

Słowacki i jego towarzysze popłynęli parostatkiem do wyspy Korfu, a stamtąd ku brzegom Grecji, poznając podczas morskiej podróży barda walczącej o wolność Hellady – Dionisiosa Solomosa, twórcę „Hymnu do wolności", który później, w 1864 roku, stał się greckim hymnem narodowym. Poemat ten zrodzony dwa lata po wybuchu powstania greckiego (1821) ukazuje walkę narodowowyzwoleńczą Greków i apeluje o pomoc do europejskich mocarstw. Zyskał on rozgłos w Europie i przyczynił się do popularyzacji ruchu filhelleńskiego. Słowacki miał ponoć wzorować się na nim, pisząc swą powstańczą „Odę do wolności", stworzoną po wybuchu listopadowego zrywu.

W Patros natomiast Juliusz odszukał skromny, gliniany domek należący do Konstantego Kanarisa – jednego z bohaterów wojny o wyzwolenie Grecji, z którym prawdopodobnie spotkał się osobiście. Gdy w 1821 roku wybuchło powstanie ludności

FOT. MUZEUM LITERATURY

greckiej przeciwko władzy osmańskiej, Kanaris zasłynął brawurowymi akcjami z wykorzystaniem branderów zapalających okręty floty tureckiej. Jego postać Słowacki wprowadził do swojej powieści poetyckiej „Lambro", w której to dwukrotnie podpływa do tureckich statków, by je podpalić, a te idą z dymem wraz z nieprzyjacielskim korpusem żołnierzy. Sam zaś tytułowy bohater utworu wzorowany był na autentycznej postaci Lambra Cabzaniego – przywódcy powstania greckiego z lat 1789–1790, a zarazem korsarza siejącego zniszczenie w portach tureckich i nadmorskich prowincjach. Natomiast Lambro Słowackiego, jak opowiada Alina Witkowska, „został korsarzem dla idei zemsty na Turkach, ale jedynym czynem, którego dokonał jako Grek-mściciel, było spalenie tureckiej fregaty. Niewiele to w powodzi pospolitych zbrodni korsarskiego żywota. Toteż Lambra toczy robak wątpliwości i trują go zarazem wyrzuty sumienia, iż nie podzielił losu innych powstańców greckich […]. Byłby wówczas przynajmniej uszlachetniony przez zbiorowy heroizm". Tymczasem zemsta i czynione zło wyniszczyły go wewnętrznie, doprowadziły do zatracenia się w wizjach narkotycznych. Jego przekleństwem stało się to, że ocalał z powstańczego pogromu. Samotnicza walka z wrogiem zniszczyła go moralnie i fizycznie. Życiowa klęska Lambra stała się w ujęciu Słowackiego metaforycznym obrazem straceńczego losu polskiego pokolenia powstańczego i jego wewnętrznych dramatów.

Tradycja greckich walk o wolność przemawiała zatem silnie do Słowackiego, tym bardziej że Grekom, po latach krwawych bojów o wyzwolenie spod władzy Turków, udało się w 1830 roku odzyskać niepodległość, której Słowacki tak bardzo pragnął dla swojego narodu, boleśnie doświadczonego klęską powstania listopadowego.

W dalszą podróż do Aten poeta kierował się konno. Po drodze podziwiał zawieszony wysoko na skale klasztor Megaspilleon z wydrążonymi w kamieniu celami mnichów, opisany później w poemacie „Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu". Szlak romantycznej wyprawy wiódł potem przez Trypolis ku twierdzy Nauplion, a stamtąd przez Argos do Koryntu. Wielkim przeżyciem stało się dla poety zwiedzanie skarbca Atreusza, utożsamianego w tym czasie z grobowcem Agamemnona, wodza wojsk greckich w wojnie trojańskiej. Zanurzony w ciszy, spędził tam całą godzinę, a pod wpływem doznanych wrażeń stworzył potem „Grób Agamemnona". Przywołał w nim wielką przeszłość starożytnej Grecji znaczoną heroizmem walczących pod Termopilami i zestawił ją z sytuacją Polski, wołając: „Polsko! […] pawiem narodów byłaś i papugą,/ A teraz jesteś służebnicą cudzą". Za ten stan rzeczy Słowacki obarczał winą szlachtę mającą swoje przywary, które trzeba było wykorzenić, by uwolnić prawdziwie rycerską, „anielską duszę" narodu na drodze do wolności.

Odwiedziwszy Gaj Akademosa, Słowacki donosił matce z Aten, jak pięknie było, kiedy sam siedział „przy księżycu między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza, u stóp Akropolis ateńskiej. Wiatr przedzierając się przez te kolumny, grał na nich jak na organach".

» Na Nilu i pod piramidami

Na statek do Aleksandrii trzeba było czekać dwa tygodnie, ale to, co zobaczył poeta w Egipcie, dostarczyło mu niezapomnianych wrażeń: „Śliczna podróż! […] Mnóstwo żurawi lecących po błękicie, mnóstwo innych

ptaków wodnych, chmury gołębi unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca w górach. Nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na pisaku […]. Wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny". Płynąc Nilem, dotarł do Kairu i zwiedził starożytne piramidy. Wdrapał się nawet na szczyt najwyższej z nich – Cheopsa, widząc przed sobą ogromne połacie spalonej słońcem ziemi. Przemówiły do niego głosem dawnych wieków wyrastająca z piasków pustyni statua Memnona oraz stojący obok niemniej imponujący posąg – obydwa „olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzące cicho na ogromnym polu, twarzami obrócone na wschód".

Po kilkudniowym pobycie w Kairze Słowacki wraz z Brzozowskim ruszyli dalej na wielbłądach, spędzając afrykańskie noce w namiocie. Poeta, chłonąc ten urzekający swą pierwotnością świat, pisał: „Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hieny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego Beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynie […] – nic z tych rzeczy nie jest obojętnym. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomykiem jak koronki brabanckie".

Sam powoli wczuwał się w rolę człowieka Wschodu. W jednym z listów pisał do matki: „Ubrany w arabskim płaszczu, siedząc na tureckim dywanie, paląc z wschodniej lulki, będę ranne wizyty przyjmował. Mam jeszcze skarpetki perskie z różnokolorowej wełny, bardzo gustowne, które mi za meszty służyć mogą". Czasem wraz z Zenonem musieli pościć, a niekiedy żywić się tylko garstką ryżu. Słowacki nauczył się też znosić wszelkie niewygody – nieraz spał na wilgotnej ziemi pod namiotem albo na wietrze. Pisząc do matki, chwalił się: „Dziesięć dni ciągłej słoty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie". W zabranym ze sobą szkicowniku rysował to, co w szczególny sposób doń przemawiało – melancholijne krajobrazy znad Nilu, którym płynął ponad dwa tysiące kilometrów, wyspę Philae w Nubii, wnętrze świątyni egipskiej Horusa w Edfu czy statuę Memnona o zachodzie słońca.

» „Ojciec zadżumionych"

W drodze między Kairem a Jerozolimą Słowacki musiał odbyć dwunastodniową kwarantannę niedaleko miasteczka El-Arish, na starej granicy Egiptu i Syrii. Zasłyszana tu od doktora Steble opowieść o starcu, który „przez trzy miesiące 9 osób utracił na zarazę", wstrząsnęła poetą do głębi i stała się inspiracją do stworzenia poematu „Ojciec zadżumionych", który powstał najprawdopodobniej we Florencji w 1838 roku. Jest to swoiste studium cierpienia arabskiego Hioba, któremu dżuma wydziera kolejne dzieci i żonę, a on staje wobec śmierci bezsilny. I mimo że wszystkie dzieci dosięga ta sama choroba, to każde z nich umiera inaczej – w męczarniach, w ciszy, podczas snu, w ojcowskim uścisku, w samotności, a za każdym razem nowa fala bólu uderza w rodziców ogarnianych to rozpaczą, to znów nadzieją, że to już ostatnie, po które przyszła śmierć. Nocą dochodziło nieszczęsnego ojca wycie hien nad mogiłami i na wpół obłąkany wsłuchiwał się, „jak nad trupami płaczą trupojady". Po przebytej kwarantannie wolność przestała mieć dla niego jakiekolwiek znaczenie, tak iż wolał pozostawać w „zapowietrzonym namiocie", wśród bólu i wspomnień o tych, co odeszli: „I nie zostało mi nic – oprócz Boga;/ I tam mój cmentarz – a tamtędy droga".

Sam Słowacki, znalazłszy się na pustyni między Egiptem a Palestyną, oglądał górujący nad morzem piasku grobowiec Szecha, w którego lochach składano ciała umarłych na dżumę. W El Arish przebył wraz z towarzyszami okres kwarantanny i spędził Wigilię Bożego Narodzenia. Nocą rozszalała się trzynastogodzinna burza, podczas której, jak wspominał, „deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy".

» W ojczyźnie Chrystusa

Na pustyni Słowacki doświadczył tego samego trzęsienia ziemi, które w Syrii zniszczyło wiele miast. Widział Tyberiadę, gdzie zginęło pięciuset ludzi, a żaden dom nie ocalał. Znosząc trudy pielgrzymowania, dotarł wreszcie do Jerozolimy, by spędzić w niej świętą noc i rzucić się z wielkim płaczem na kamień Pańskiego Grobu. Poeta głęboko przeżywał każdą chwilę w ojczyźnie Chrystusa. Przez miesiąc wędrował po Palestynie, oglądał Górę Oliwną, Betlejem, Morze Martwe, Jordan, Jerycho, Betanię, Kanę Galilejską, Nazaret, Tyberiadę, Damaszek. „Wszystkie te okolice Jerozolimy – wyznawał – napełniają serce jakąś prostotą i świętością [...], miło widzieć wioseczkę Jerycho, niegdyś zrujnowane głosem Trąby wodza boskiego. [...] Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami, na jednej z tych stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów".

W początkach lutego wrócił do Bejrutu i spędził miesiąc w klasztorze Betcheszban w górach Libanu. Mieszkał w skromnej celi, rozmawiał z zakonnikami, uczył się arabskiego od dziewcząt wiejskich przychodzących do źródła czerpać wodę. Tam właśnie powstawał jego „Anhelli", poemat o cierpieniu polskich zesłańców na Sybirze, napisany prozą stylizowaną na biblijną przypowieść. Centralny motyw utworu stanowi wędrówka Szamana i jego ucznia Anhellego przez piekło Sybiru, którego symbolem jest wszechogarniająca biel. W głębszym wymiarze odpowiada „bezkrwawej ofierze Anhellego, który wybrany został przez los na »ofiarę serca«, na cierpienie w pustce, samotności i w końcu bez wiary w odkupicielski sens poświęcenia się duszy niewinnej". Słowacki jednak dostrzega głęboki sens cichego cierpienia Anhellego, które w jego odczuciu nie ustępuje heroizmowi walki czynnej. Toteż jego postaci nadał poeta, zdaniem Stanisława Makowskiego, rysy Chrystusa składającego ofiarę z życia, podnosząc do rangi boskości cierpiącego i samotnie umierającego młodzieńca.

» „Smutno mi, Boże!"

Wyprawa na Wschód zaowocowała powstaniem poematów, listów poetyckich i nastrojowych wierszy, przede wszystkim zaś „Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu", będącej literackim zapisem tej peregrynacji. Słowacki dokonał w poemacie krytyki narodu i emigracji, ale wyraził też wiarę w sens walki o wolność ojczyzny. Na szlaku wędrówki do Ziemi Obiecanej zrodził się jeden z jego najpiękniejszych liryków – „Hymn" („Smutno mi, Boże!") pisany „o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksandrią". Przesycony głębokim smutkiem, odsłania duchową biografię romantycznego pielgrzyma skazanego na wieczną tułaczkę z dala od rodzinnego domu. Widok lecących bocianów, które oglądał na „polskim ugorze", wzmaga poczucie wyobcowania, uświadamia poecie niemożność powrotu do kraju lat dziecinnych. Jego smutek pogłębia myśl, że po śmierci spocznie w obcej ziemi, daleko od tego, co jest mu najbliższe

i najdroższe: „Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,/ Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,/ Widziałem lotne w powietrzu bociany/ Długim szeregiem./ Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,/ Smutno mi, Boże!".

» Florencja

Ostatnim etapem romantycznej podróży Słowackiego była Florencja, gdzie zatrzymał się na półtora roku. Wiele godzin spędzał w bibliotece, czytał Calderona, grał na fortepianie, podziwiał dzieła architektury i malarstwa florenckich mistrzów – uduchowione płótna Rafaela, Madonny Murilla, obrazy Veronesego i Salvatore Rosy. „Przechadzał się nieraz po wielkich salach Uffizi i Pitti, podziwiał stare srebra i drogie kamienie u jubilerów na Ponte Vecchio; barwne kupieckie ulice Florencji były jak gdyby przedłużeniem wspomnień ruchliwego Lewantu" – pisze Paweł Hertz. Przede wszystkim zaś pisał. Obok poematów takich jak „Wacław", „W Szwajcarii", „Ojciec zadżumionych" zrodziły się pod jego piórem dantejsko-inferalne „Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle". Bohaterem tego przesyconego groteską i makabrą utworu jest rubaszny szlachcic, dawny żołnierz napoleoński, który stracił pięciu synów w powstaniu listopadowym. Dantyszek, chcąc poskarżyć się Bogu na sprawców cierpień swojego narodu, najpierw trafia do piekła, by jak Dante przemierzać jego poszczególne kręgi i oglądać skazanych na wieczne męczarnie. Wśród potępionych znaleźli się najwięksi prześladowcy Polski i Polaków – carowie, wodzowie i dworacy rosyjscy, którzy doprowadzili do rozbiorów Rzeczypospolitej. Był też tam Mikołaj I przygnieciony stosem trupów dziecięcych rzucanych niczym kamienie przez matki-Polki, był Piotr I Wielki, upodobniony do Atlasa i stojący w kałuży polskiej krwi, był zbyt wiele obiecujący Polakom Aleksander i wreszcie była caryca Katarzyna II z żerującymi w swym ciele wężami o ludzkich głowach. Wymyślnym torturom poddani zostali poza tym: feldmarszałek rosyjski Suworow – pogromca Kościuszki i sprawca rzezi Pragi; Iwan Paskiewicz, który stłumił powstanie listopadowe; oraz papież Grzegorz XVI, który potępił je w swojej bulli. Wśród skazanych na piekło Polaków znaleźli się natomiast: oficerowie samobójcy i polityczni pieniacze z czasów powstania, pyszni królewięta kresowi, zapalczywi pojedynkowicze, grzeszni kochankowie i zdrajcy ojczyzny, tacy jak Szczęsny Potocki i Zofia Greczynka. „Poema Piasta Dantyszka" zostały poprzedzone „Ofiarowaniem", stanowiącym poetycki hołd złożony bohaterskiej Warszawie podrywającej się do walki w noc listopadową: „U nóg twych kładę, o żałośna wdowo/ Polskiego ludu! O Matko w żałobie/ Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie,/ I tych – co wierzą, że wstaniesz na nowo; [...]/ Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę/ I nóg skrwawionych twoich sięgam głową".

***

Nawet w najdalszych zakątkach światach – w greckim grobowcu Agamemnona, pod Aleksandrią, nad Nilem i pod piramidami, przy grobie Chrystusa na Ziemi Świętej, a nawet w górach Libanu – Słowacki kierował swą myśl ku ojczyźnie, a spod jego pióra wychodziły najpiękniejsze perły polskiej literatury. W swoim zaś poetyckim testamencie, powstałym już w Paryżu na przełomie 1839 i 1840 roku, nakazywał: „Lecz zaklinam – niech żywi nie tracą nadziei/ I przed narodem niosą oświaty kaganiec;/ A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,/ Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...". ■

Piotr Lisiewicz

Rzadko czyta się artykuł, którego autor równo 100 lat temu tak trafnie przewidział dalszy bieg historii. Wiktor Alter, socjalista, działacz żydowskiej partii socjalistycznej Bund, w 1917 roku, po rewolucji lutowej, jako członek Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich był autorem deklaracji opowiadającej się za prawem Polski do pełnej i bezwarunkowej niepodległości. Był przeciwnikiem wstąpienia Bundu do Międzynarodówki Komunistycznej i przeforsował ideę przynależności tej partii do Międzynarodówki Socjalistycznej. Kilkukrotnie wybierany był na radnego Warszawy. Po sowieckiej inwazji, 29 września 1939 roku aresztowało go NKWD. Został skazany na śmierć, karę zamieniono na 10 lat więzienia. Po podpisaniu układu Sikorski–Majski objęła go amnestia. Został zwolniony w wyniku decyzji Berii, by wraz z Henrykiem Ehrlichem objęli funkcje liderów Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Ale gdy obaj znaleźli się na wolności, odmówili jakiejkolwiek współpracy z NKWD i… zajęli się wyjaśnianiem mordu w Katyniu, Charkowie i Miednoje. 4 grudnia 1941 roku został ponownie aresztowany przez NKWD, a w 1943 roku zamordowany. Sowieci ogłosili, że został skazany na śmierć za „szpiegostwo na rzecz Hitlera", co było, rzecz jasna, brednią.

Dlaczego Alter był zdolny do bohaterskiej postawy? Bo jako socjalista wcześniej zrozumiał, czym jest komunizm. I o tym pisał w artykule, który ukazał się równo 100 lat temu. Co ważne: ułatwia on nam dzisiaj diagnozę postkomunizmu, który zachował wszystkie opisane przez Altera cechy.

Wiktor Alter

O komunizmie i komunistach

Komunistom wszystko wolno. A przede wszystkim wolno zmieniać zdanie i opinię... Dla komunistów szkodliwe są tylko te kompromisy, które robią inni. Ich własne są zawsze uświęcone celem, o którym nigdy nie zapominają: zdobycie władzy… Mniejsza o to, jakimi drogami i środkami, i wszystko jedno, jak się rzeczy potem ułożą. Aby prędko i dużo.

Szczerzy komuniści (a o innych nie warto wspominać) posiadają szereg cennych zalet: rewolucyjny temperament, ofiarność i przede wszystkim wstręt do mieszczańskiego filisterstwa, tej treści całego życia burżuazyjnego, przenikającego również zbyt często do ruchu robotniczego.

Ale… indywidualne cechy najlepszych spośród komunistów nie rozstrzygają o wartości komunizmu jako kierunku ruchu robotniczego. Dla oceny kierunku politycznego są przede wszystkim miarodajne polityczne jego przesłanki i polityczne rezultaty.

Współczesny ruch komunistyczny składa się z dwóch nierównomiernych części: Rosji Sowieckiej i partii komunistycznych pozostałych krajów. Rosja, i tylko Rosja, jest mózgiem, skarbnikiem, wzorem i ostoją całego ruchu.

Pozostałe partie komunistyczne żyją wyłącznie odblaskiem Rosji Sowieckiej […]

Najistotniejszą cechą komunizmu jest negowanie wszelkiej „demokracji" we wszelkich jej przejawach. Przede wszystkim w dziedzinie ogólnopolitycznej – zwalczanie powszechnego prawa wyborczego, tj. jednakowego formalnego prawa politycznego wszystkich mieszkańców kraju do kierowania jego życiem politycznym. Zasada wyłączności klasowej czynnych praw politycznych jest dla komunistów nietykalnym dogmatem […]

Następnie: negacja „demokracji" w sensie demokratycznych wolności zebrań, stowarzyszeń, słowa w druku i w mowie dla swych przeciwników. Praktyka komunistów zarówno w Rosji, jak i w tych organizacjach robotniczych wszystkich krajów, które opanowali, jest pod tym względem bardziej wymowna od ich teorii. Bezwzględne tępienie opozycji jest podstawą sztuki rządzenia komunistów […]

Następnie, negacja „demokracji" wewnątrz proletariatu, możności rządzenia się klasy robotniczej według własnego uznania. Prawowity komunista rozumie „dyktaturę proletariatu" tylko w postaci dyktatury partii komunistycznej. Jeśli ogół robotniczy godzi się na władzę komunistów, tym lepiej. W przeciwnym wypadku biada tej większości robotniczej, która ,,nie rozumie swych własnych interesów" […].

Wreszcie negacja „demokracji" wewnątrz własnej partii. Ruch komunistyczny składa się z wielu „powołanych", ale „wybranych" jest tylko kilku. Tych kilku pomazańców Bożych decyduje o wszystkim. Pozostali muszą słuchać. A jeśli nie umieją słuchać z należytą pokorą, są złymi komunistami. Wszelka próba obrony własnego stanowiska grozi utratą wpływów i stanowiska (Trocki, Radek, Brandler, Wałecki i inni). Nawet tacy dwaj luminarze „leninizmu", jak Zinowiew i Kamieniew, zostali zmieszani z błotem i zdegradowani, gdy ośmielili się publicznie stwierdzić, że są w niektórych sprawach odmiennego zdania niż większość Centralnego Komitetu. Wszelkie mocniejsze zamanifestowanie własnej indywidualności ściąga klątwę na głowę śmiałka i stawia go poza nawias ruchu (Seratti, Levi, Bałabanowa, Frossart, Souvarine, Monatte, Robert Williams i wielu innych). Dlatego też w ruchu komunistycznym (poza Rosją) jest tak wielu ludzi, a tak mało jednostek o wybitnej indywidualności.

Należy przyznać, że komunistyczna negacja demokracji jest przemyślana gruntownie i do końca.

Jest to oligarchiczna, absolutystyczna niemal doktryna […]

Drugą cechą komunizmu jest jego niezwykły oportunizm. To brzmi paradoksalnie, ale odpowiada rzeczywistości.

Komunistom wszystko wolno. A przede wszystkim wolno zmieniać zdanie i opinię.

Wolno wczoraj mówić, że nie można pozostawać w związkach zawodowych razem z socjal-ugodą, a dziś dążyć do połączenia tychże związków nawet z chadekami […] Wolno wczoraj piorunować przeciw wszelkiemu nacjonalizmowi, a dziś stać się patentowanym sojusznikiem wojującego nacjonalizmu […] Wolno dalej wczoraj szukać wspólnego „kawałka drogi" z faszystami, dzisiaj wymyślać socjalistom jako zamaskowanym faszystom, jutro proponować socjalistom wspólną walkę przeciwko faszystom, a pojutrze – znowu wykręcić koziołka […]

Dla komunistów szkodliwe są tylko te kompromisy, które robią inni. Ich własne są zawsze uświęcone celem, o którym nigdy nie zapominają: zdobycie władzy. A jeśli się nawet pomylą, to mają dla siebie dość wyrozumiałości, by nie czynić sobie wyrzutów. No, to się nie udało!

To uporczywe zapatrzenie się w jeden cel – zdobycie władzy – stanowi trzecią cechę charakterystyczną komunistów. Mniejsza o to, jakimi drogami i środkami, i wszystko jedno, jak się rzeczy potem ułożą. Aby prędko i dużo. ■

Przedruk za: Wiktor Alter, „Socjalizm walczący", Warszawa 1926.

Józef Pałkiewicz

Moje rzeźby tworzę ze światła, lekkości i przezroczystości

Świat sztuki jest naturalnym polem dla wywrotowych działań: artyści zostają uwikłani w system niejawnych grantów, przyznawanych w zamian za podejmowanie odgórnie narzuconych tematów ideologicznych. Sama doświadczyłam sytuacji, w których rozchodziły się moje drogi z ludźmi, których ceniłam i szanowałam, właśnie dlatego, że weszli w te uwikłania. Mam wrażenie, że w Polsce coraz częściej mamy do czynienia ze „sztuką" zaprogramowaną, która – podobnie jak przekaz medialny – staje się narzędziem oddziaływania na ludzkie umysły i emocje – z LUDWIKĄ OGORZELEC rozmawia JÓZEF PAŁKIEWICZ.

Ludwika Ogorzelec z rzeźbą „Antygrawitacja" z cyklu „Krystalizacja przestrzeni", 2020, CSW Zamek Ujazdowski, fot. Wanda Hansen.



» Gdy słyszymy pojęcie „rzeźba", wyobrażamy sobie od razu artystę z dłutem wgryzającym się w twarde, oporne tworzywo – kamień bądź drewno – Pani podejmuje się jednak wyzwania stworzenia rzeźby przyjmując zupełnie inny punkt wyjścia i obierając coś odmiennego za materię rzeźbiarską…

Pierwsze trzy lata studiów na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu (wówczas, do 1996 roku, Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych) miały charakter przede wszystkim studyjny. Rysowaliśmy i rzeźbiliśmy z modela, analizując jego wewnętrzną konstrukcję: rozkład ciężaru poszczególnych części ciała, proporcje oraz zachodzące między nimi zależności. Nie chodziło o odwzorowanie jego powierzchownego wyglądu, światłocienia czy efektownych detali. Najważniejsze było zrozumienie jego konstrukcji i formy. Mnie interesowało jednak najbardziej zagadnienie mobilności ciała ludzkiego. Dopiero na czwartym roku studiów profesor rzeźby, Leon Podsiadły, zaczął stawiać przed nami zadania związane z przestrzenią. Jedno z nich dotyczyło „równowagi" – oczywiście rozumianej wielorako. Wykorzystując własne ciało, mieliśmy w formie performance'u wyrazić nasze rozumienie tego pojęcia. Zastanawiałam się, jak podejść do tematu, i przypomniałam sobie, że w dzieciństwie chodziłam na szczudłach. Wykonałam więc własne szczudła i zaczęłam spacerować na nich po pracowni, analizując z każdym krokiem sytuację przestrzenno-grawitacyjną, w jakiej znajdowało się moje ciało. Zauważyłam, że musi ono nieustannie przezwyciężać niestabilność i równoważyć rozkład własnego ciężaru. Kolejnym etapem zadania było rzeźbiarskie przełożenie doświadczeń z tego performance'u. Zaczęłam zastanawiać się, jakiego materiału użyć, aby wyrazić te przemyślenia. Od razu wiedziałam, że moje rzeźby powinny być lekkie, wielkoformatowe i jakby tańczące w przestrzeni (w ten sposób wkroczyłam w obszar rzeźby mobilnej – rzeźby, która poza trzema wymiarami przestrzeni obejmuje również czwarty: ruch i czas). Początkowo zastanawiałam się nad użyciem papieru, ale natychmiast pojawiła się wątpliwość. Przecież papier sam w sobie niesie ze sobą wiele znaczeń – zarówno tych związanych z materiałem, z którego powstaje, i procesem jego wytwarzania, jak i, przede wszystkim, z faktem, że przez wieki tysiące artystów wykorzystywały go jako medium swojej twórczości. Tymczasem ja nie chcę sięgać po coś, co jest już wytworem czyjegoś umysłu. Następnie pomyślałam o drewnie, ale chciałam użyć go w sposób, w jaki do tej pory nikt nie wykorzystywał go w rzeźbie. Dlaczego nie sprawić, aby drewno stało się jeszcze lżejsze – tak lekkie, by mogło niemal tańczyć w przestrzeni? Zaczęłam więc używać włókien drewna, uzyskiwanych poprzez jego rozklinowywanie zgodnie z biologiczną, wewnętrzną budową. Te cienkie linie łączyłam następnie ze sobą w różnych układach i porządkach, tworząc lekkie, zagarniające przestrzeń struktury. Od tego akademickiego zadania z 1981 roku przez kolejne dziesięć lat rozwijałam cykl „Przyrządy równoważne".

» Co sprawiło, że zdecydowała się Pani uczynić przestrzeń podstawowym materiałem swojej twórczości rzeźbiarskiej? Czy może Pani pokrótce przedstawić swoją drogę artystyczną od pierwszego doświadczania przestrzeni przez kontakt z teatrem eksperymentalnym po wciąż rozwijany przez Panią cykl „Krystalizacja przestrzeni"?

Na wrocławską ASP dostałam się dopiero za szóstym razem, byłam więc już osobą dojrzałą, bogatą w doświadczenia zdobyte podczas podejmowanych w międzyczasie prac zarobkowych, które w pewien sposób zmierzały do sztuki – zajmowałam się m.in. aranżacją

witryn sklepowych oraz wykonywaniem elementów przestrzennych scenografii w Operze Wrocławskiej. W 1979 roku uczestniczyłam w działaniach parateatralnych zatytułowanych „Drzewo ludzi" w Teatrze Laboratorium. To doświadczenie głęboko mnie naznaczyło i wyznaczyło początek mojej drogi twórczej. Uświadomiłam sobie wówczas istnienie dwóch rzeczywistości: obiektywnej – natury, kosmosu i rządzących nimi mechanizmów – oraz subiektywnej, tworzonej przez kulturę i cywilizację, a więc przez wszystko to, co zostało wymyślone przez człowieka. Mimo że sama wywodzę ze świata subiektywnego, postanowiłam, że moja twórczość będzie jednak wyrastać z rzeczywistości obiektywnej i nie będzie odwoływać się do idei stworzonej przez kogoś innego. Nauka mówi nam, że przestrzeń jest konglomeratem procesów fizycznych i chemicznych, których nie jesteśmy w stanie bezpośrednio zobaczyć, a które jednak istnieją, fascynują nas i nieustannie oddziałują na nasze zmysły oraz emocje. Chcę właśnie eksplorować obszary, których jeszcze nie znam, niekoniecznie zmierzając przy tym do doskonałości czy piękna.

» Czym jest emocja pierwsza człowieka, której chce Pani dotknąć przez swoją twórczość? Jak należy rozumieć to, że odbiorcy Pani dzieł stają się także ich aktywnymi uczestnikami?

Z pojęciem „emocji pierwszej" spotkałam się w Teatrze Laboratorium i sama jej doświadczyłam w trakcie proponowanych tam nam działań parateatralnych. Nie należy ona do obszaru intelektu i wiedzy. Nie wynika z rozpoznawania symboli, odniesień do historii czy kultury ani z satysfakcji płynącej z rozumienia dzieła. Rodzi się bezpośrednio z doświadczenia. Może ją wywołać sam układ pionów, poziomów i ukośnych linii – sytuacja przestrzenna, która zaskakuje i angażuje ciało. W jednej z realizacji, w Edynburgu, umożliwiłam odbiorcom wejście na moją rzeźbę. Nie byli już wyłącznie widzami stojącymi na podłodze – musieli wspinać się po nieregularnej strukturze i odnaleźć się w przestrzeni, która sprawiała wrażenie optycznie niebezpiecznej. Najpierw poruszali się po ciężkiej konstrukcji, by po chwili znaleźć się w delikatnej, niemal koronkowej strukturze. Kontrast tych doświadczeń wprowadzał ich w odmienny stan emocjonalny i pozwalał na chwilę powrócić do „samych siebie". Właśnie po to tworzę takie sytuacje. Chcę wytrącić człowieka z jego stereotypu „bycia codziennego" i dać mu moment, w którym może spotkać się „sam ze sobą", uświadomić sobie własną unikalność i poczuć, że nie jest jedynie trybikiem w społecznej machinie. Poprzez redefinicję zastanej przestrzeni publicznej – w realizacjach site-specific – zatrzymuję człowieka i wprowadzam go w szczególny stan emocjonalny.

CHCĘ WYTRĄCIĆ CZŁOWIEKA Z JEGO STEREOTYPU „BYCIA CODZIENNEGO" I DAĆ MU MOMENT, W KTÓRYM MOŻE SPOTKAĆ SIĘ „SAM ZE SOBĄ", UŚWIADOMIĆ SOBIE WŁASNĄ UNIKALNOŚĆ I POCZUĆ, ŻE NIE JEST JEDYNIE TRYBIKIEM W SPOŁECZNEJ MACHINIE.

Chciałabym, aby percepcja abstrakcyjnej sztuki wizualnej była podobna do odbioru koncertu granego przez wirtuoza na fortepianie. Słuchając jego muzyki, nie szukamy zrozumienia i fabuły opowieści, ale unosimy się na falach entuzjazmu. Po prostu poddajemy się emocjom. Szczególnie wyraźnie było to widoczne w realizacjach prezentowanych w Zamku Ujazdowskim. W niektórych mo-

NAUKA MÓWI NAM, ŻE PRZESTRZEŃ JEST KONGLOMERATEM PROCESÓW FIZYCZNYCH I CHEMICZNYCH, KTÓRYCH NIE JESTEŚMY W STANIE BEZPOŚREDNIO ZOBACZYĆ, A KTÓRE JEDNAK ISTNIEJĄ, FASCYNUJĄ NAS I NIEUSTANNIE ODDZIAŁUJĄ NA NASZE ZMYSŁY ORAZ EMOCJE. CHCĘ EKSPLOROWAĆ OBSZARY, KTÓRYCH JESZCZE NIE ZNAM, NIEKONIECZNIE ZMIERZAJĄC PRZY TYM DO DOSKONAŁOŚCI CZY PIĘKNA.

mentach uczestnicy musieli zmienić swoją zwykłą, pionową pozycję: schylali się, klękali, a czasem poruszali na czworakach. Nowa sytuacja wywoływała zmianę emocjonalną. Człowiek przestawał kontrolować się tak jak na co dzień, stawał się bardziej spontaniczny, a niekiedy powracał pamięcią do doświadczeń z dzieciństwa. Moje rzeźby tworzę ze światła, lekkości i przezroczystości. Chcę, aby dotykały odbiorcy w sposób bezpośredni i pozostawiały w nim pozytywny ślad.

» Jest Pani artystą o międzynarodowym dorobku, jednak nie sprawiło to, że stała się Pani obywatelką świata. Jak rozumie Pani słowa posłannictwa, które zostało Pani powierzone przed laty przed wyjazdem do Francji, o czym zaraz powiemy więcej, by „rozsławiać imię polskiej sztuki"?

Jestem artystą polskim i posiadam wyłącznie polskie obywatelstwo – jestem dumna ze swojego pochodzenia. Miejsce, w którym się urodziłam, oraz historia mojej rodziny w naturalny sposób wpływają na moją twórczość. Polska jest krajem ludzi niezwykle utalentowanych, szczególnie artystów i poetów, choć z przyczyn historycznych i ekonomicznych nasza kultura nie mogła być dostrzegana i doceniana w takim samym stopniu jak dokonania artystów z innych – bogatszych i mniej doświadczonych – państw. Bez wsparcia instytucjonalnego i dostępu do lukratywnych grantów reprezentowałam sztukę polską na poziomie dorównującym artystom z krajów materialnie uprzywilejowanych, a często przewyższającym ich osiągnięcia. Nie widzę więc żadnego powodu, by mówić o naszej niższości wobec innych narodów. Podczas podróży obserwuję inne społeczeństwa i dochodzę do wniosku, że Polacy wyróżniają się wrażliwością na drugiego człowieka oraz solidarnością. Gdy Polska była znacznie biedniejsza, ludzie w zatłoczonych autobusach i podczas wielogodzinnych tras odnosili się do siebie z szacunkiem i zrozumieniem. W bogatej, „rozwiniętej" Francji obserwowałam natomiast sytuacje, w których brakowało tej empatii – nawet kobiety w ciąży były odpychane przez innych pasażerów. Mam też poczucie, że w Polsce silnie zakorzeniona jest kultura szacunku wobec kobiet. Panowie nadal są

dżentelmenami, a kobieta pozostaje w centrum uwagi – otoczona atencją i opieką, niczym diament. W relacjach między kobietami i mężczyznami, wbrew całej tej narracji o wojnie płci, dostrzegam harmonię i wzajemną troskę. Chciałabym tu także wspomnieć o czymś jeszcze. W moim pokoleniu nie stawialiśmy sobie barier. Nie myślałam: „Nie pójdę na studia, bo to nie dla mnie", „To nie mój poziom", „Muszę zostać przy tym, co mam". Zawsze wierzyłam, że mogę dojść tak daleko, jak tylko będę chciała i potrafiła. Wiele osób należących do mojego pokolenia myślało podobnie i rzeczywiście osiągało swoje cele. Wydaje mi się, że jest to postawa, którą Polacy mieli zawsze w sercach. Kiedy przygotowałam pracę dla Zamku Królewskiego, zatytułowałam ją „Sięgać po niemożliwe". Ten tytuł dobrze oddaje moje podejście do życia i pracy twórczej, ale jest również mottem, które odnosi się do postaw Polaków, którzy nawet w najbardziej odbierających nadzieję okolicznościach nie ulegali apatii i zniechęceniu.

» To rozsławianie polskiej kultury zostało Pani przykazane przez Kornela Morawieckiego, przywódcę Solidarności Walczącej, do której dołączyła Pani już podczas studiów. Czy może Pani opowiedzieć o tym konspiracyjnym etapie w swoim życiu? Czym było dla Pani jako artysty, autorki czarnej biżuterii, doświadczenie walki z reżimem komunistycznym?

Stan wojenny zastał nas, studentów, podczas strajku okupacyjnego w budynku Akademii na Placu Polskim we Wrocławiu. Wydany wówczas dekret nakazywał mi opuszczenie Wrocławia i powrót do rodzinnej miejscowości. Ja jednak zbuntowałam się przeciwko ograniczaniu mojej wolności i wróciłam do pracowni, w której prowadziłam wcześniej strajk. W tamtym czasie najbardziej ufałam moim przyjaciołom z Ogniska Plastycznego na Placu Solnym – w przeciwieństwie do studentów Akademii mieli oni znacznie głębsze i dojrzalsze spojrzenie na sytuację polityczną. Zwróciłam się wówczas do jednego z nich – Darka Nowaka, co do którego przeczuwałam, że już zajmuje się konspiracją: „Darek, ja wiem, że wy coś robicie. Ja też chcę!". Jakiś czas później, ponieważ cieszyłam się zaufaniem, dostałam zadanie stworzenia drukarni, gdzie przez dwa lata drukowałam gazetki Solidarności, a po 1982 roku – również prasę Solidarności Walczącej. Moim kolejnym konspiracyjnym zaangażowaniem była prowadzona przez Tomka Kiznego Niezależna Agencja Fotograficzna „Dementi", dokumentująca „zadymy" – akcje protestacyjne na ulicach Wrocławia.

Nadszedł 1983 rok – właśnie przygotowywałam dyplom, kiedy przyszła do mnie profesor rzeźby Alfreda Poznańska z inną nieznaną mi panią i zapytała, czy nie chciałabym włączyć się do pracy na nasłuchu dla Solidarności Walczącej. Mieszkałam wtedy w zaniedbanej części miasta. W bramach często stali pijacy, którzy swoją obecnością zniechęcali patrole SB do zapuszczania się w te rejony. Właśnie dlatego było to dobre miejsce do używania sprzętu. Tak zaczęła się moja praca przy nasłuchu, który prowadziłam od jesieni 1983 do połowy 1985 roku. Przez cały czas musiałam dyżurować przy odbiorniku radiowym, który nazywaliśmy „dzieckiem". Był to japoński skaner z przemytu – jak się okazało – znacznie lepszy niż sprzęt, którym dysponowała esbecja. Pierwszych wskazówek dotyczących jego obsługi udzielił mi Jan Pawłowski, fizyk i akustyk, a zarazem szef naszej komórki nasłuchowej. To on ustawił odbiornik na częstotliwości wykorzystywane

przez Służbę Bezpieczeństwa. Można było czasami usłyszeć również ZOMO i inne służby. Musiałam cały czas siedzieć przy sprzęcie. Kiedy zaczynał szumieć i ktoś się odzywał, szybko zapisywałam godzinę oraz wszystko, co udało mi się usłyszeć. Zwykle były to dwa, trzy słowa, czasem całe zdanie. W ten sposób przez cały dzień powstawał z tego „słupek" informacji. Służba Bezpieczeństwa miała swój własny język i system określeń. Dowodzący akcją był „ordynatorem", samych siebie nazywali „sanitariuszami", „karetka" oznaczała ich samochód, a „pacjentem" był człowiek, którego obserwowali. „Pacjent z połówką" oznaczał osobę obserwowaną z kimś płci przeciwnej – na przykład z żoną albo mężem. „Ćwiartka" oznaczała dziecko. Z czasem zaczęliśmy rozumieć również inne określenia. Pamiętam sytuację, kiedy w nasłuchu ktoś kilkakrotnie powiedział „Tadeuszem", a po pewnym czasie „do Żelaznego". Z połączenia tych informacji wynikało, że obserwowali kogoś, kto szedł ulicą Tadeusza Kościuszki, a następnie skręcił w stronę dworca kolejowego. „Żelazny" oznaczał bowiem dworzec kolejowy – od żelaznych kół. „Gumowy" był dworcem autobusowym. Jan Pawłowski z tych informacji sporządzał zwięzły raport. Na małych karteczkach przekazywano je dalej konspiracyjnymi kanałami. Dzięki temu ludzie mogli dowiedzieć się, czy są obserwowani, i w porę odpowiednio zareagować. Kiedy esbecja wpadała na rewizję w danym lokalu, często okazywało się, że nie ma już tam człowieka, którego szukali. Mieszkanie było zupełnie „wyczyszczone", a on sam wcześniej ostrzeżony.

Podczas tych nasłuchów, mając wolne oczy i ręce, rzeźbiłam czarną biżuterię. Wykorzystywałam do tego czarny dąb – niezwykle twarde, skamieniałe drewno, wydobywane z ziemi lub z wód, w których konserwowało się przez setki lat. Nawiązywała ona do biżuterii noszonej po powstaniu styczniowym przez polskie patriotki, miała jednak symbolikę aktualną na czasy stanu wojennego. Wyrzeźbiłam około 300 małych obiektów: krzyżyków, szkaplerzy, spinek z wyrytymi słowami: „Wolni i Solidarni", „Boże, zbaw Polskę", „Bóg, Honor, Ojczyzna", które następnie profesor Alfreda Poznańska rozprowadzała do naszych współtowarzyszy z konspiracji. Z czasem dowiadywałam się, jak wielką wartość emocjonalną miały dla nich te niewielkie przedmioty.

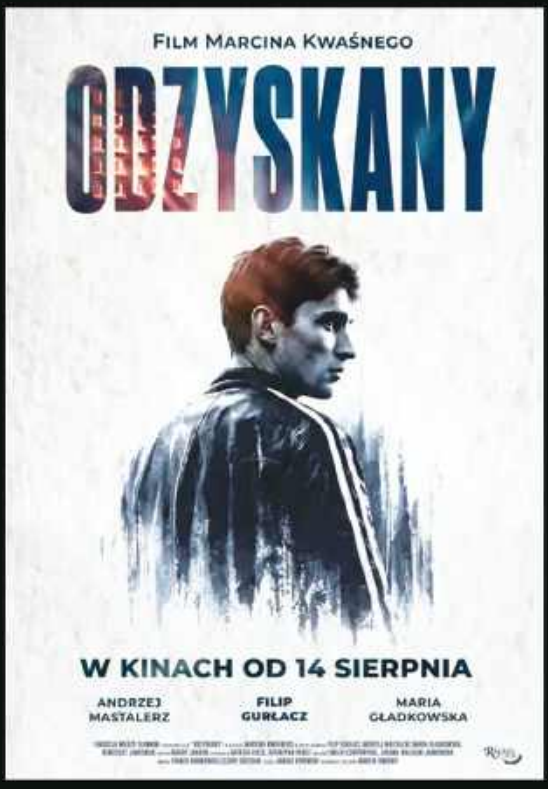
BEZ WSPARCIA INSTYTUCJONALNEGO I DOSTĘPU DO LUKRATYWNYCH GRANTÓW REPREZENTOWAŁAM SZTUKĘ POLSKĄ NA POZIOMIE DORÓWNUJĄCYM ARTYSTOM Z KRAJÓW MATERIALNIE UPRZYWILEJOWANYCH, A CZĘSTO PRZEWYŻSZAJĄCYM ICH OSIĄGNIĘCIA. NIE WIDZĘ WIĘC ŻADNEGO POWODU, BY MÓWIĆ O NASZEJ NIŻSZOŚCI WOBEC INNYCH NARODÓW.

Wracając jednak do działalności nasłuchowej – warto podkreślić, że właśnie dzięki niej nasz szef, Kornel Morawiecki, mógł ukrywać się we Wrocławiu przez siedem lat. W tym czasie spotykał się konspiracyjnie z ponad tysiącem osób, mimo iż zmasowane siły SB

i ZOMO nieustannie próbowały go dopaść. Ostatecznie jednak wpadł w mieszkaniu, które wcześniej zostało już „spalone" – aresztowano tam kogoś i po pewnym czasie wydawało się, że można bezpiecznie do niego wrócić, tymczasem okazało się, że miejsce pozostawało pod obserwacją. W ten sposób Kornel trafił do więzienia na Rakowieckiej. Zwolniono go po roku, ale tylko po to, by następnie wyrzucić z Polski. Jeszcze przed aresztowaniem, w 1985 roku, wysłał mnie do Paryża z misją artystyczną i polityczną, to właśnie wtedy usłyszałam od niego, by „rozsławiać imię polskiej sztuki na świecie". Zostałam mianowana niejawną przedstawicielką Solidarności Walczącej. Misję tę wykonywałam początkowo sama, do 1987 roku, a następnie wspólnie z Ewą Kubasiewicz, która była już jawną przedstawicielką Solidarności Walczącej. Pozostawałyśmy w kontakcie z Jerzym Giedroyciem i wspólnie organizowałyśmy pomoc dla naszych konspirujących przyjaciół.

» Zaznacza Pani swój dystans wobec panujących modnych tematów w dzisiejszym świecie sztuki, koncentruje się Pani na tym, co obiektywne, co wynika z naturalnego ładu i harmonii panujących w przyrodzie, w przeciwieństwie do tego, co jest efektem umysłowej spekulacji, często bardzo wąskiego grona osób nadających kierunek i ton instytucjom kultury. Jakie są Pani najistotniejsze wnioski i refleksje wynikające z doświadczeń z tym żywiołem, który często sprowadza sztukę do ideologii?

Przez wiele lat miałam możliwość obserwowania sztuki światowej. Uderzyło mnie przede wszystkim to, że w wielu krajach Zachodu polityka właściwie nie jest obecna w sztuce. Kiedy jadę do Paryża, trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał wykorzystywać sztukę do realizowania konkretnego celu politycznego. We Francji o polityce nie bardzo wypada mówić, więc nie przenika ona również do sztuki. Mam natomiast wrażenie, że w Polsce przeprowadzono swoisty eksperyment, m.in. przy udziale ludzi takich jak George Soros, który przeznaczał znaczne środki na tworzenie kadr i programów podważających polską tradycję i kulturę. Świat sztuki jest naturalnym polem dla takich wywrotowych działań: artyści zostają uwikłani w system niejawnych grantów, przyznawanych w zamian za podejmowanie odgórnie narzuconych tematów ideologicznych. Sama doświadczyłam sytuacji, w których rozchodziły się moje drogi z ludźmi, których ceniłam i szanowałam, właśnie dlatego, że weszli w te uwikłania. Mam wrażenie, że w Polsce coraz częściej mamy do czynienia ze „sztuką" zaprogramowaną, która – podobnie jak przekaz medialny – staje się narzędziem oddziaływania na ludzkie umysły i emocje. Kiedy po długim pobycie za granicą wróciłam do Polski, miałam nadzieję, że mając 73 lata, wreszcie będę mogła ofiarować rodakom moją sztukę. Tymczasem spotkałam się z oficjalnym, rządowym ostracyzmem. Nie tylko nie mam możliwości pokazywania mojej twórczości, lecz także wielu znajomych z czasów studenckich odwraca się ode mnie. Niektórzy boją się nawet przyznać, że utrzymują ze mną kontakt. Czasem mnie to bawi, ale przede wszystkim jest mi żal – przecież kiedyś razem studiowaliśmy, łączy nas wspólna przeszłość. Nie mówię o ludziach z konspiracji, bo oni się nie zmienili. Mówię o środowisku artystycznym, w którym powstały dziś specyficzne hierarchie ważności. Coraz mniej liczą się jakość, talent i rzeczywista wartość dzieła. A ja bardzo bym chciała, żeby moja sztuka mogła się rozwinąć w Polsce, by wnosiła harmonię do przestrzeni publicznej i życia człowieka. ■



Krzysztof Karnkowski



Słyszeć, widzieć, wierzyć

W połowie sierpnia na ekrany kin w Polsce wszedł pełnometrażowy debiut reżyserski Marcina Kwaśnego, film „Odzyskany". Z kolei miesiąc później swą premierę mieć będzie „Mistyczka" – fabuła Jana Sobierajskiego, opowiadająca historię Alicji Lenczewskiej, tytułowej mistyczki, która w późnym PRL, w Szczecinie rozmawiała z Jezusem Chrystusem. „Odzyskany", choć w inny sposób, również jest mocno osadzony w duchowości katolickiej, a między oboma filmami znajdziemy też inne powiązania.

Aby dobrze opowiedzieć o „Odzyskanym", trzeba najpierw przywołać wcześniejszy, krótkometrażowy film Kwaśnego pt. „Spowiedź". To kilkunastominutowa etiuda nakręcona pięć lat temu. Dzięki mocnej pozycji Marcina Kwaśnego jako aktora, premierze towarzyszyło całkiem sporo medialnego szumu, jak na dzieło o tematyce religijnej, tak samo jest zresztą w przypadku „Odzyskanego". Informacje o obu tytułach pojawiają się również tam, gdzie podobne treści nie są widywane zbyt często. To dobra wiadomość, ponieważ zarówno krótki metraż, jak i pełnoprawna fabuła zdają się spełniać swoją role. Jaka to rola?

» „Pęknięcie" w konfesjonale

„Spowiedź" powstała jako głos artysty w sprawie odchodzenia ludzi od tego, tak ważnego w katolicyzmie, sakramentu. W późniejszych wywiadach Kwaśny wspomina, że docierały do niego świadectwa matek, których synowie po obejrzeniu filmu wyspowiadali się po raz pierwszy od dłuższego czasu. W czym tkwi siła przekonywania tych kilkunastu minut? Choć w tym filmie pojawia się postać Chrystusa, bardzo dosłownie ukazanego jako cierpiącego za grzechy głównego bohatera, mamy do czynienia z filmem mówiącym o wierze i powstałym z wiary, jednak niewpisującym się w proste ramy kina religijnego. To bowiem czasem wpada we własną pułapkę, nie mogąc zrobić tego, co chce zrobić Kwaśny – przekonać nieprzekonanych.

Film zaczyna się sceną ucieczki. Młody chłopak biegnie po torowiskach i ulicach warszawy, goniony przez trzech zbirów. Schronienie znajduje w kościele, gdzie kryje się w konfesjonale i zaczyna markować spowiedź. Scenka odegrana po to, by zmylić pościg, staje się jednak prawdziwym sakramentem, religijną iluminacją. Choć mamy tu wspomniany już obraz cierpiącego Chrystusa, wmontowany w ostro zmontowaną sekwencję wspomnień: imprez, bijatyk i seksu, „pęknięcie" uciekiniera wydaje się być bardzo autentyczne. Gdy zaczyna się spowiadać i otrzymuje obietnicę przebaczenia, jego świat nagle się zmienia – nawet jeśli problemy nie znikają, zmieniają się priorytety. A przy tym grany wiarygodnie przez Filipa Gurłacza Jan jest postacią, w której łatwo siebie zobaczyć, zwłaszcza w pierwszych minutach filmu. Skoro więc nasz wplątany w ciemne sprawy Jan może doznać olśnienia, mogę wyobrazić sobie, że takiej szansy zapragnie dla siebie ktoś z podobnie poobijanych przez życie i pokłóconych z Bogiem i Kościołem widzów. „Spowiedź" nie odpowiada jednak na pytanie o dalsze losy bohatera. Jan wychodzi ze świątyni prosto w światło, lecz rozumieć można to na wiele sposobów i nie wszystkie są wyłącznie pozytywne dla niego jako bohatera. Prześladowcy przecież gdzieś, być może całkiem blisko, wciąż się na niego czają. Nic wiec dziwnego, że padały pytania o kontynuację, którą ostatecznie stał się „Odzyskany".

» Odwrócona opowieść o synu marnotrawnym

Pełny metraż pozwala nie tylko pogłębić postać Jana i lepiej pokazać okoliczności, które pchnęły go w stronę nieakceptowalnych społecznie zachowań i ryzykownych konszachtów, lecz także pokazać nam osoby dotąd jednowymiarowe lub obecne tylko w monologu spowiadanego. Poznajemy więc lepiej żyjącego w zgodzie z głoszonym słowem księdza i chorą, umierającą matkę oraz kluczowego dla tej części historii ojca – bezdomnego alkoholika, który przed laty porzucił rodzinę i odpowiedzialność, by pod pozorem szukania wolności, stoczyć się na dno.

FOT. MAT. PRAS.

Kwaśny dokonuje ciekawego, choć trochę rozczarowującego dla chcącego wiedzieć wszystko widza: stopniowo odsuwa na bok wątki i nie rozplątuje ich, by na pierwszy plan coraz mocniej wydobywać pogłębiającą się więź między synem i ojcem, odwracającą opowieść o synu marnotrawnym. Mamy tu dużo symboliki, ot, choćby bardzo mocna cena, w której w stawie przy pętli Wyścigi Jan uczy swego ojca pływać, co ma w sobie wręcz coś z chrztu. Dodajmy, że w pierwszej części dużo jest scen mocnych, brutalnych i szarpiących nerwy widza, jak sama ucieczka, wejście gangsterów do mieszkania, nocne poszukiwania pijącego znów ojca i koszmarna, realistyczna do granicy turpizmu droga z nieprzytomnym alkoholikiem warszawskim metrem. Stopniowo wszystko się jednak uspokaja, ociepla, wpada w bezpieczniejsze, choć szarpiące emocjami tony. Bo przecież chodziło o wywołanie emocji, zwłaszcza u facetów, i znów chyba się udało, co pokazały przywoływane przez Marcina Kwaśnego reakcje na pierwszych pokazach.

W „Spowiedzi" Jan odzyskuje Boga, w „Odzyskanym" – swojego ziemskiego ojca, choć oczywiście trzeba i tu dopatrzyć się boskiego działania w ludzkim życiu. Religia pełni tu jednak trochę inną rolę niż w debiucie Kwaśnego. Tam zmienia bohatera gwałtownie i spektakularnie, tu po prostu działa w jego życiu, czasem tak niezauważalnie, że zdarza mu się zwątpić. Dostajemy więc kino bardzo wartościowe duchowo, a przy tym utrzymane na wysokim poziomie. I choć sam, będąc fanem kina gatunkowego, wolałbym zapewne, by do końca utrzymać tempo akcji, to pozostaje mi uszanować plan reżysera mówiącego, że nie chodziło mu o fajerwerki.

» Wiara, miłość, wolność

Zdjęcia są bardzo warszawskie, miłość Kwaśnego do stolicy Polski widać zresztą, odkąd z Łukaszem Palkowskim przed laty tworzył oddający hołd warszawskiej Starej Pradze „Rezerwat". Mamy tu też bardzo dobrą obsadę. Filip Gurłacz, aktor na co dzień występujący głównie w kryminalnym serialu „Dzielnica strachu", jest osobą wierzącą i utożsamiającą się ze swoim bohaterem. „Jestem idealistą i wierzę, że sztuka potrafi wpływać na ludzi, zmieniać świat, poruszać, tłumaczyć i inspirować do zmian. To zdarza się bardzo rzadko, ale są projekty utwierdzające mnie w tym przekonaniu. »Odzyskany« jest właśnie jednym z nich. To nie jest projekt, który przyjąłem z powodów pragmatycznych czy zawodowych. Traktuję go jako pewnego rodzaju służbę. Mam głęboką nadzieję i wiarę, że ten film może komuś pomóc, coś wyjaśnić, skłonić do refleksji nad tym, co naprawdę ważne – nad wiarą, miłością i wolnością" – mówił młody aktor w rozmowie z tygodnikiem „Niedziela". Dodajmy

W „Spowiedzi" Jan odzyskuje Boga, w „Odzyskanym" – swojego ziemskiego ojca, choć oczywiście trzeba i tu dopatrzyć się boskiego działania w ludzkim życiu.

do tego, że według słów Kwaśnego, sam Garłacz miał nawrócić się właśnie w konfesjonale. Poza postaciami epizodycznymi obsadę uzupełniają Wojciech Czerwiński (ksiądz w obu filmach) oraz rodzice – Andrzej Mastalerz, jako upadły ojciec, i Maria Gładkowska, tu jako umierająca i wymagająca opieki matka. Oboje bardzo w swych wymagających rolach bardzo wiarygodni.

Film ma spore szanse na powodzenie, a Marcin Kwaśny pokazuje, że po latach koncentracji na karierze aktorskiej i jednorazowej pracy w roli producenta filmu „Wyklęty", coraz lepiej radzi sobie jako reżyser. Będę czekał więc na jego kolejne filmy, mając cichą nadzieję, że i na wspomniane „fajerwerki", które przecież naprawdę dobrze mu wychodzą, nabierze większej ochoty i zrobi to bez straty dla wymowy swych kolejnych dzieł.

» Głos Boga

Z drugim filmem, o którym chcę dziś napisać, „Odzyskanego" łączą nie tylko tematyka i dystrybutor (Rafael Film), lecz także dwa nazwiska w obsadzie. Tu również pojawia się Gładkowska, tym razem jako surowa, PRL-oska kuratorka, zapewne na więcej niż jednym etacie, a epizod w roli lekarza odgrywa tu sam Marcin Kwaśny. „Mistyczka" to polski film fabularny w reżyserii Jana Sobierajskiego, którego premiera kinowa zaplanowana jest na 11 września 2026 roku. Produkcja opowiada o życiu Alicji Lenczewskiej – szczecińskiej nauczycielki i mistyczki, która po nawróceniu w wieku 51 lat przez ponad dwie dekady spisywała swoje rozmowy z Jezusem. W rolach głównych występują Dorota Chotecka-Pazura (jako Alicja Lenczewska), Sławomir Orzechowski (jako jej brat Sławomir) oraz Radosław Pazura (jako Jezus). W filmie poznajemy rodzeństwo jako osoby dobrze ustawione w rzeczywistości PRL i nie negujące jej. Ona jest szanowaną szczecińską nauczycielką, on podróżującym po całym świecie tłumaczem. Oboje są jednak samotni, co bardzo martwi ich matkę, którą opiekują się oboje. Wszystko zmienia się po śmierci matki, gdy oboje doznają religijnego przebudzenia. To w przypadku Alicji staje się czymś więcej. Zaczyna słyszeć przemawiającego do niej Jezusa, a zapiski z tych objawień najpierw zapełniają zeszyty, później ukazują się drukiem, dziś dostępne są również w internecie. Lenczewska ma wsparcie brata i bratowej, która pojawia się po drodze, napotyka jednak na mniej lub bardziej oczywiste przeszkody. Nie wszyscy wierni są skłonni przyjąć jej mistyczne przeżycia, Kościół też jest w tej sprawie podzielony. Co więcej, jej przemiana, uczestnictwo w praktykach religijnych i coraz większe zaangażowanie w sprawy wiary i Kościoła budzą też nieufność władz. Zaczynają się nieprzyjemności w pracy, kreowany przez służby ostracyzm, sugestia przejścia na emeryturę… Bo „Mistyczka" jest też filmem o PRL i jego walce z tą sferą życia, na którą komuniści wciąż nie mogli uzyskać upragnionego wpływu. Tymczasem Alicja Lenczewska jest dla systemu nie do pokonania, ponieważ żyje zgodnie z tym, w co wierzy, i gotowa jest nawet do najwyższego poświęcenia dla Boga i dla innych. Towarzyszymy jej w tej drodze aż do końca.

Warto zwrócić uwagę na wspaniałe zdjęcia Łukasza Skotnickiego. Nasycenie barw, charakterystyczne dla współczesnych opowieści o latach 80., skupione na brązach i błękitach, kojarzy się z najlepszymi produkcjami Netflixa, takimi jak „Dark" czy „Heweliusz". A że ma co pokazywać, bo i kadry, i scenografia nadążają za tą magią kolorów, wygląda to naprawdę dobrze. Niezależnie od całej duchowej, religijnej i historycznej wartości filmu, warto wybrać się do kina również dla tych barw. ■



Marek Kalinowski

Historia z drugiej ręki

Tradycją Muzeum Powstania Warszawskiego są wydawane co roku płyty współczesnych artystów z utworami inspirowanymi tematyką powstańczą. „Łączy nas…" Błażeja Króla to album melodyjny i sprawnie napisany, ale zarazem dowód na to, że nawet najbardziej utalentowany artysta nie udźwignie historii, która nie jest jego.

W wywiadach radiowych Król wspomina, że propozycję nagrania płyty otrzymywał od Muzeum Powstania Warszawskiego kilkukrotnie. I kilkukrotnie też odmawiał, nie czując pewności, czy odnajdzie się akurat w tej opowieści. W pewnym sensie można zrozumieć determinację muzeum. Współpraca z tak kreatywnym i oryginalnym twórcą, który zaczynał od awangardowej elektroniki, by z czasem zdobyć dużą popularność w muzyce rozrywkowej, dawała nadzieję na szczególnie ciekawy efekt. W ramach cyklu wydawniczego ukazało się przecież już wiele dobrych albumów i coraz trudniej wymyślić coś nowego bez powielania udanych pomysłów poprzedników.



Błażej Król, ŁĄCZY NAS…, Muzeum Powstania Warszawskiego

Jeśli dodatkowo ktoś znał znakomitą interpretację „Głosu wewnętrznego" Zbigniewa Herberta w wykonaniu Króla (wydawnictwo Polskiego Radia), utworu bardzo trudnego do przeniesienia na język muzyczny, mógł pomyśleć, że i z tematyką powstańczą bez problemu sobie poradzi.

A jednak intuicja Błażeja Króla raczej słusznie podpowiadała mu, aby z tym projektem akurat dać sobie spokój. Historia Powstania Warszawskiego, wyjątkowość tego wydarzenia są mu po prostu obce i, jak sam przyznaje, historią raczej się nie interesuje. Król patrzy na warszawski dramat wzrokiem gapia, osoby z zewnątrz i trochę idzie na skróty, wymyślając historię, która mogłaby się wydarzyć wszędzie i nigdzie. Tak jak on sam został przypadkowo wciągnięty w powstańczy projekt muzyczny, tak i bohaterowie jego opowieści zostali w historię wplątani przypadkiem. Przerażeni i zaskoczeni, najchętniej uciekliby od niej jak najdalej.

Mocną stroną „Łączy nas…" są bez wątpienia kompozycje. Król ma niesamowity dryg do pisania udanych melodii i nawet w tym projekcie daje temu wyraz. Niezależnie od wymowy albumu, „Gdy tylko zamknę oczy" oraz duety z Andrzejem Piasecznym i Darią ze Śląska to po prostu chwytliwe, pozostające w głowie piosenki. Pół godziny muzyki może jednak pozostawiać niedosyt, tym bardziej że znaczną część stanowią utwory instrumentalne, z którymi łatwiej domknąć ten zauważalnie „kłopotliwy" dla artysty album.

Być może rocznicowy koncert z udziałem Króla i jego gości przyciągnął w tym roku więcej młodych ludzi, być może część z nich zwróciła uwagę na niezwykłe miejsce, a za jakiś czas wróci do muzeum i dowie się o samym powstaniu czegoś więcej. Być może. W tym również upatruję główny sens tej płyty. ■

FOT. MAT. PRAS.

Małgorzata Matuszak

Czym jest... zwyczajność

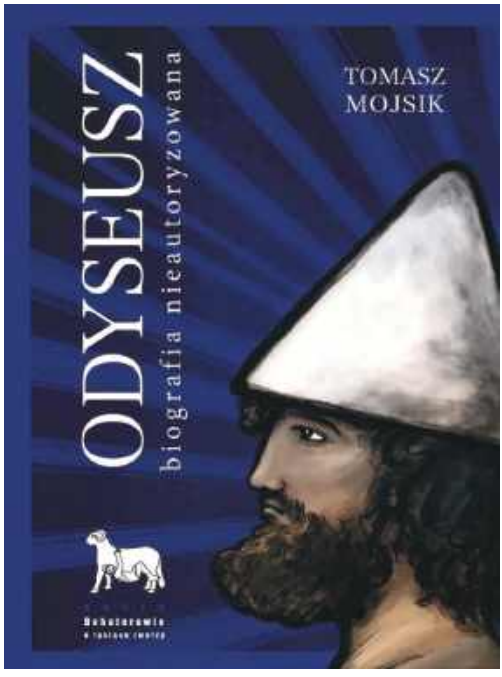
Istnieją słowa, których używamy tak często, że przestajemy zastanawiać się nad ich znaczeniem. Mówiąc o „zwyczajnym dniu", „zwyczajnym życiu", „zwyczajnym człowieku", wiemy, co mamy na myśli. Zwyczajny jest ten dzień, w którym nic szczególnego się nie wydarzyło. Życie jest zwyczajne wtedy, gdy nie obfituje w wielkie zwroty akcji. Zwyczajnym nazywamy człowieka niewyróżniającego się niczym spektakularnym. Zwyczajność wydaje się czymś tak oczywistym, że niemal niewidzialnym. Czy dlatego właśnie tak łatwo od niej uciekamy?

Współczesna kultura nie przepada za tym, co zwyczajne. Zachęca nas do wyjątkowości, do ciągłego przekraczania granic, zdobywania wciąż nowych doświadczeń, poszukiwania intensywności. W tym kontekście „zwyczajne życie" brzmi niemal jak życie, które się nie udało.

A jednak tkwi w tym pewien paradoks. Jeśli wszystko ma być niezwykłe, niezwykłość przestaje być niezwykła, to zaś, co miało być wyjątkiem, staje się normą. Potrzebujemy więc kolejnego doświadczenia, jeszcze silniejszego bodźca, większego wydarzenia, niezwykłość zaczyna bowiem wymagać niezwykłości coraz większej. Tymczasem człowiek nie może żyć bez zwyczajności. I chyba nawet nie powinien.

Być może źródłem problemu jest samo przeciwstawienie zwyczajności i niezwykłości. Niezwykłość przecież potrzebuje zwyczajności. Święto potrzebuje powszedniości, podróż potrzebuje miejsca, do którego można wrócić, a spotkanie po długiej rozłące jest tym bardziej znaczące, że nieobecność odsłoniła wartość czyjejś obecności, wcześniej tak zwyczajnej, że niemal niewidocznej. Zwyczajność jest zatem nie tyle przeciwieństwem niezwykłości, ile jej warunkiem, to na jej tle bowiem coś może stać się wydarzeniem. A może jest także odwrotnie i to niezwykłość pozwala nam czasem zobaczyć zwyczajność? Bywa przecież tak, że dopiero po powrocie zaczynamy patrzeć inaczej na własny dom, dopiero podczas choroby zdrowie przestaje być czymś oczywistym i dopiero po rozstaniu dostrzegamy znaczenie czyjejś obecności. Dopiero wtedy, gdy zwyczajny rytm życia zostanie zaburzony, odkrywamy, ile właściwie znaczył. W tej perspektywie zwyczajny dzień może okazać się czymś niezwykłym, i to nie dlatego, że wydarzyło się w nim coś szczególnego, ale z tego względu, że nic złego się nie wydarzyło.

Problem nie polega może więc na tym, że mamy zbyt mało niezwykłych doświadczeń. Może czasem mamy zbyt mało zdolności do dostrzegania tego, co jest. Życie nie składa się przecież przede wszystkim z chwil, które będziemy wspominać po latach. Rzec można, że życie ma swoją warstwę wydarzeń, ale ma też swoją warstwę trwania. Wydarzenia są tym, co zaznaczamy na osi czasu, a zwyczajność jest samą osią. Dlatego zwyczajność nie oznacza niczego gorszego, mniej wartościowego czy pozbawionego sensu. Ona jest przestrzenią, w której wydarza się większość naszego życia. „Zwyczajny dzień" może więc oznaczać to, że nic niezwykłego w nim się nie wydarzyło, ale może również znaczyć, że wszystko, co ważne, wciąż jest na swoim miejscu. ■



Tomasz Mojsik, „Odyseusz. Biografia nieautoryzowana”, Wydawnictwo Benedyktynów Tyniec, Kraków 2025.

Krzysztof Wołodźko



Odys, Google Maps i wielkie wędrowanie

Komercyjny sukces i kontrowersja wokół „Odysei” Christophera Nolana wywołały znaczną dyskusję wokół jednego z najważniejszych greckich mitów. Dla wielu najistotniejszy był konflikt między klasyczną wersją opowieści a autorską interpretacją współczesnego reżysera. A przecież mity, podobnie jak idee i doktryny religijne, jeśli mają zachować żywotność, nieustannie muszą doświadczać napięcia między ciągłością a zmianą. Opowiada o tym Tomasz Mojsik w książce „Odyseusz. Biografia nieautoryzowana”.

Morze Śródziemne. Kolebka naszej cywilizacji. Egipt i Izrael, Fenicja i Kartagina, Grecja i Rzym. Choć Egipt był przez wieki krajem życiodajnej rzeki Nil, stawiającym opór Ludom Morza, to przecież ptolemejska Aleksandria stała się symbolem intelektualnego spotkania Wschodu i Zachodu, Północy i Południa, Aten i Jerozolimy. Podobnie Izrael: w czasach starobiblijnych skalista ziemia, pełna lęku przed Lewiatanem, symbol potworności morza – jako prowincja Imperium zyskał śródziemnomorski port. To z Cezarei Nadmorskiej Święty Paweł ruszył do Rzymu, by krzewić chrześcijaństwo. Morze – symbol wszechobecnego żywiołu, powszechności ludzkich losów, uniwersalnych wyobrażeń i prawd. Starogrecki epigram nie bez powodu głosił: „Wszelkie morze jest morzem./ Módl się, jeśli chcesz, o pomyślną podróż do domu/ Lecz Aristagoras, który tu spoczywa, stwierdził/ że ocean ma obyczaje oceanu" („Morze i cywilizacja. Morskie dzieje świata", Lincoln Paine, PIW, 2022).

» „Poznał ich zwyczaje, charaktery i myśli"

Z wypartej przez nas prawdy o nieokiełznanych obyczajach morza i innych żywiołów wzięła się również „Odyseja" i jej bohater Odyseusz, który uczył się przez trudy i cierpienia, ale umiał się też radować życiem i w nieposkromiony sposób dochodzić swoich praw. Raimund Schulz na kartach książki „Łowcy przygód w dalekich krainach. Wielkie pionierskie podróże i wiedza antyku o świecie" (PIW, 2020) przypomina, że „cała grecka literatura przekazuje pesymistyczną fundamentalną ideę, że życie ludzkie jest naznaczone cierpieniami i trudami, których nikt nie może uniknąć; morze obok wojny jest najniebezpieczniejszym rewirem, po jakim porusza się człowiek, praźródłem zła i strachu – stąd wielki podziw dla człowieka takiego jak Odyseusz, który cierpienia i trudy przekuwa w cnotę, a swoją niezłomną wolą przeżycia dowodzi talentu, jakim nie mogą pochwalić się nawet bogowie. […] Odyseusz jest »ważącym się na wiele« i zarazem »wiele znoszącym«, jest śmiałym odkrywcą i tym, który jest dotkliwie karany za swoją odwagę odkrywania". Zmaga się z żywiołem pełnym skrajności, więc sam jest człowiekiem największych pasji i największych skrajności – królem i nędzarzem, mężem i kochankiem, tułaczem i wędrowcem; z rozkoszą graniczącą z męką słucha uwodzicielskiego głosu syren, lecz wcześniej każe się skrępować kompanom. Jest też Grekiem, który tworzy historię cywilizacji, poznając kolejne tajemnice kosmosu i losu: „Wiele lat błądził po świecie/ i wiele miast odwiedził, i spotkał setki ludzi,/ I poznał ich zwyczaje, charaktery i myśli" („Odyseja", Homer, przekład Antoniego Libery).

„Odyseusz. Biografia nieuautoryzowana" Tomasza Mojsika ukazuje nam mit o Odysie jako archetypiczną opowieść, której kanoniczna wersja nigdy nie zamarła w ostatecznej wersji. W tym sensie Odys, również jako figura współczesnej kultury masowej, jest bohaterem żywej tradycji cywilizacyjnej. To być może jego najdłuższa podróż: zrodzony z sakralnych, greckich mitów, których głęboko religijna struktura ściśle łączyła się z lokalnymi obyczajami achajskich wspólnot, przeniósł się do świata rzymskiej i bizantyjskiej opowieści (fabula), szacownych poematów i wzgardzonych bajań kolejnych wieków. A że starożytni badacze przyrody i dziejów coraz skrupulatniej odróżniali między tym, co racjonalne, a tym, co baśniowe, uwieczniony przez Homera Odys błąkał się długo po rubieżach historii, komedii, tragedii, tekstów mitografów i dziejopisów. Słowo pisane nie tylko pozwalało skodyfikować opowieści, przynosiło coraz to nowe dociekania: „[…] w starożytności istniało wiele prac

FOT. MAT. PRAS.

dotyczących wojny trojańskiej i epoki heroicznej, ale większość przepadła. Zostały nam tylko tytuły i drobne fragmenty, jak na przykład »Powroty spod Troi« Lizymacha z Aleksandrii czy »Wojna trojańska« w trzech księgach Dionizosa z Samos. […] Dlatego jeśli chcemy poznać Odyseusza, którego znano od czasów rzymskich, przez Bizancjum, renesans i później, należy go opisać, korzystając ze świadectw wszystkich autorów, którzy o nim wspominają – od nieznanego nam bliżej autora »Iliady« i »Odysei« zwanego tradycyjnie Homerem po bizantyńskiego erudytę Jana Tzetzesa".

» Gdzie błąkał się Odys

Mit obrósł mitami – podróże Odyseusza w ciągu kolejnych wieków stały się wspólnym dziedzictwem Greków i Rzymian. Król Itaki służył moralistom za punkt odniesienia, gdy nie szczędzili współczesnym reprymend. Seneka, słynny nauczyciel niesławnego Nerona, w I wieku po narodzeniu Chrystusa pisał: „Pytasz, gdzie błąkał się Ulisses, zamiast postarać się raczej dokazać, byśmy sami przestali wiecznie się błąkać? Nie ma czasu przysłuchiwać się sporom, czy wiatry go rzuciły między Italię i Sycylię, czy też gdzieś poza obręb znanego nam świata, bo przecież nie mógłby w tak ciasnym miejscu błądzić tak długo. Codziennie miotają nami burze duchowe, a lekkomyślność wpędza nas we wszystkie utrapienia Ulissesa". Kilka wieków wcześniej Diogenes z Synopy, filozof – abnegat, który spał w beczce i beształ Aleksandra Wielkiego, że ten zasłania mu słońce – szydził z mędrców i pospólstwa: „starannie badają błądzenia Odyseusza, własnych natomiast błędów nie widzą".

Kim zatem jest Odys? Jego matką miała być Antikleja, wedle jednego z poetów towarzyszka łowów bogini Artemidy. Ojcem – Laertes, prawdopodobnie wnuk Zeusa, przedstawiany jako jeden z uczestników wyprawy Argonautów po złote runo. Niektóre źródła mówią jednak o Syzyfie jako rodzicielu przyszłego króla Itaki. W tej wersji mitu przyszedłby na świat nie na Itace, lecz w Beocji, u podnóża Parnasu. Achajowie wszystkich miast i wysp chętnie wiązali mitycznych herosów ze swoją ziemią i wspólnotą: było to nie tylko nobilitacją, lecz także nadawało sakralną więź z greckim kosmosem osadom, ruczajom, zagajnikom. Rzecz miała charakter żywy i uniwersalny: „Na Itace wskazywano dom Odysa i składano przy nim ofiary, w Cheronei można było obejrzeć berło Agamemnona, które król otrzymał od Zeusa, a w kampańskiej Kapui, w świątyni Artemidy, pokazywano znany z »Iliady« kubek Nestora. W pobliżu Delf wskazywano rozdroże, na którym Edyp spotkał swego ojca, w Tebach zaś miejsce, gdzie Muzy śpiewały bogom na weselu Kadmosa i Harmonii. Świat mityczny istniał nie tylko w opowieściach, ale i towarzyszył Grekom w życiu codziennym, a jego ślady były widoczne w ukształtowaniu terenu i pozostałościach budowli czy zaklęte w przedmiotach".

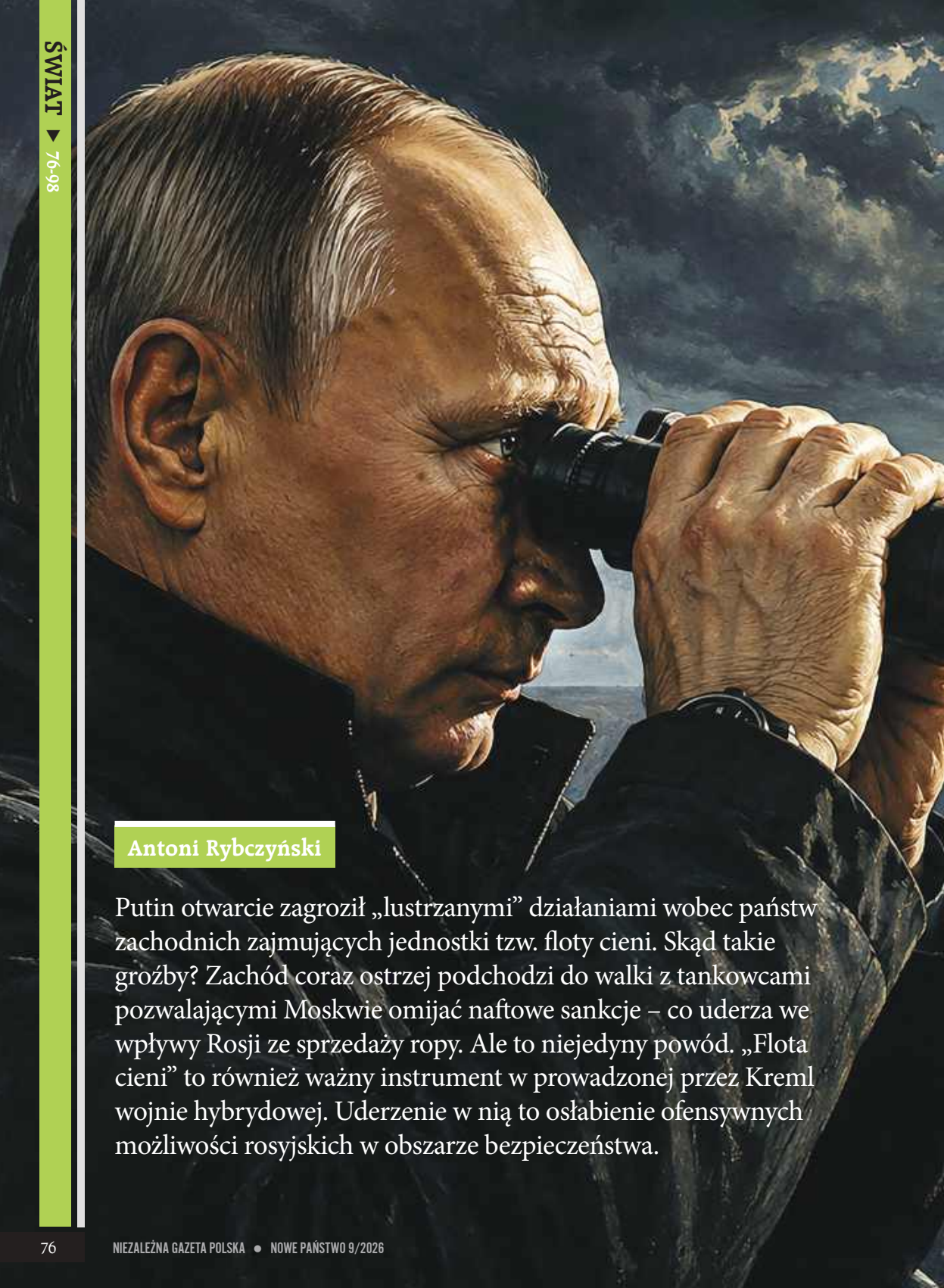
Świat zaludniony przez bogów i herosów to dla Hellenów świat oswojony – peryferyjność i obcość zaczyna się tam, gdzie pojawiają się nieznane obyczaje: w „Odysei" Lotofagowie jedzą tylko rośliny, na czele z narkotycznym lotosem, a Cyklopowie i Lajstrygonowie – ludzkie mięso. Bogowie i ich dzieci mogą pozwolić sobie na więcej niż zwykli śmiertelnicy: Kirke, zanim stanie się kochanką Odysa, zamienia w wieprze jego towarzyszy. Za to zwykli śmiertelnicy płacą życiem za naruszenie interesów bogów: na Trinakiarze, wyspie Heliosa, uczta z owiec należących do boga przypieczętowuje los towarzyszy basileusa. Są i kolejne kobiety, zaborcze i pomocne: Kalipso, Leukotea, Nauzykaa. Są ludy zniszczone, jak Kikonowie (Trakowie), i przyjacielskie, jak podobni i ludziom, i bogom Feakowie. Raz jeszcze przywołam „Łowców przygód…": „Uczynić poznawanie

sednem pełnej przygód tułaczki to wynalazek grecki". Ludzie, którzy długo podróżują, nabywają doświadczenia, wiedzy i mądrości, najcenniejszej waluty w świecie, przez który wędrują. Bezimienni greccy żeglarze i wędrowcy, którzy istnieli albo nie istnieli, wrócili do domu albo nie wrócili, plądrowali obce grody albo nie zdążyli ich splądrować, zakładali nowe miasta albo nie zdążyli ich założyć – wszyscy byli Odysami. Wspaniałości i grozy tamtego świata nikomu z nas nie będzie dane posmakować w świecie Google Maps i e-bookingu, ale nie wiemy, co czeka naszych potomków w świecie, którego możliwe wersje pokazują nam najliczniejsze dystopie.

» Trzy wielkie opowieści drogi

Tomasz Mojsik, historyk i filolog z Uniwersytetu w Białymstoku, skrupulatnie bada przekazy dotyczące i wyglądu Odyseusza, i jego apetytów. Jaką karnację skóry miał heros spod Troi? Czy był rudy, jak chciał jeden z polskich tłumaczy eposu, czy płowowłosy, jak to bywało wśród Achajów? Miał ciemniejszą karnację skóry czy był ogorzały, jak każdy spalony słońcem marynarz i wędrowiec? W „Iliadzie" Odys nie chce iść głodny do boju – dla rzymskich komediopisarzy, uwielbiających pastwić się nad ludzkimi przywarami, był to wystarczający powód, by wyśmiać go jako niepohamowanego żarłoka. Dla rzymskiego ludu i patrycjatu, od trudów podróży w nieznane bardziej kochającego miód z szarańczą, chleb i igrzyska, taki Odyseusz mógł być bardziej ludzki, zrozumiały i swojski. Mąż Penelopy był taki, jakim chcieli go poeci, filozofowie, dziedziny sztuki: „W komedii Odys będzie żarłokiem, tragedia skupi się na jego dramatycznej śmierci z ręki nieznanego mu syna, burleska ujrzy w nim zdobywcę niewieścich serc, epos herosa, a filozofia cierpiącego mędrca". VII wieków przed narodzeniem Chrystusa, w świecie Hellenów – czy szerzej: w świecie wielkich wędrówek przez morza i oceany – było to możliwe. Poszerzający się nieustannie horyzont świata był próbą i dla człowieka, i dla jego cywilizacji. W świecie pragmatycznych, wąskich życiowych ról nawet podróże zbyt często dają jedynie namiastkę i poznawania, i wędrowania: jako jeden z wielu towarów mają minimalizować ryzyko i maksymalizować większy i mniejszy komfort, i przyjemności. Można wręcz zaryzykować roboczą hipotezę, że po epoce wielkich odkryć nasza cywilizacja znalazła się w impasie: kultura masowa wciąż fascynuje się Odysem, ale stał się on nam obcy. Nie jako Grek, lecz jako prawdziwy wędrowiec.

Tomasz Mojsik sugeruje, że nasza cywilizacja zna tylko trzy naprawdę wielkie opowieści drogi. Pierwsza to „Odyseja", druga to historia szlachcica z Manchy Don Kichota, trzecia to podróże Bilbo Bagginsa i Froda. Rzecz wymowna: historia najbliższa naszym czasom jest też w największym stopniu opowieścią fantastyczną, bo Śródziemie to świat wyobrażony. Dwie pierwsze wciąż karmią się naszym geograficznie i historycznie rozpoznawalnym światem. Możliwa jest jeszcze straszliwsza interpretacja: w pierwszej opowieści Odys wraca do domu i przywraca w nim dawny ład i porządek, w drugiej Don Kichot pogrąża się w szaleństwie, w trzeciej bliski ostatecznemu triumf dobra nad złem możliwy jest tylko w świecie fantasy. Być może dlatego „Odyseja" Nolana najprawdziwsza jest tam, gdzie mówi o okrucieństwie, grabieżach i wojnie. Zachwyt i grozę wędrówką przez nieznane byłoby dzisiaj znacznie trudniej pokazać, chyba że przenieść by tę historię do czasów postapokaliptycznych. A powrót bohatera do domu to już tylko happy end, z którego wagi nie zdajemy sobie sprawy. Bo podróżując po coraz dziwniejszym, lecz wciąż bezpiecznym i oswojonym świecie, nie wiemy, jak smakuje taki powrót do domu. ■



Antoni Rybczyński

Putin otwarcie zagroził „lustrzanymi” działaniami wobec państw zachodnich zajmujących jednostki tzw. floty cieni. Skąd takie groźby? Zachód coraz ostrzej podchodzi do walki z tankowcami pozwalającymi Moskwie omijać naftowe sankcje – co uderza we wpływy Rosji ze sprzedaży ropy. Ale to niejedyny powód. „Flota cieni” to również ważny instrument w prowadzonej przez Kreml wojnie hybrydowej. Uderzenie w nią to osłabienie ofensywnych możliwości rosyjskich w obszarze bezpieczeństwa.

Pirat Putin, czyli Rosja boi się o „flotę cieni”



ILUSTRACJA MARIUSZ TAGLIŃSKI/AI

Prezydent Władimir Putin oświadczył, że Rosja zajmie statki należące do krajów europejskich, jeśli te będą próbowały sprzedać ładunek skonfiskowany z jednostek powiązanych z Rosją, podejrzanych o przynależność do tzw. floty cieni Moskwy. „To nic innego jak piractwo i rabunek" – powiedział Putin podczas ćwiczeń rosyjskiej Floty Pacyfiku 12 sierpnia, odnosząc się do planów Europy dotyczących zaostrzenia środków wobec statków podejrzanych o pomaganie Moskwie w omijaniu zachodnich sankcji. „Jeśli zacznie się to wdrażać w praktyce, będziemy zmuszeni odpowiedzieć tym samym" – dodał, zaznaczając, że Moskwa nie ograniczy swojej reakcji do wód, na których zatrzymywane są rosyjskie statki. Nie podał jednak żadnych innych szczegółów. Jak zauważa analityk sektora naftowo-gazowego Borys Aronsztein, nowe sankcje z lipca, zezwalające krajom UE na sprzedaż ropy lub innych ładunków skonfiskowanych ze statków rosyjskiej „floty cieni", uderzą w portfel Kremla. Tylko od początku roku UE i Wielka Brytania zatrzymały pięć takich tankowców. Wojskowi mówią Putinowi, że Rosja dysponuje siłami zdolnymi do zatrzymywania zagranicznych statków.

» Zachód dokręca śrubę „flocie cieni"

Rządy zachodnie zintensyfikowały działania wymierzone we „flotę cieni" – sieć statków o niejasnej strukturze własnościowej lub ubezpieczeniowej, którą Rosja wykorzystuje do utrzymania eksportu ropy pomimo sankcji nałożonych w związku z inwazją na Ukrainę. Oświadczenie Putina pojawiło się po tym, jak w lipcu Unia Europejska przyjęła nowy pakiet sankcji wobec Rosji, obejmujący środki pozwalające państwom członkowskim na sprzedaż ropy lub innych ładunków skonfiskowanych ze statków objętych sankcjami lub zatrzymanych. Według doniesień europejskich mediów ze szwedzkich dokumentów sądowych wynikało, że Sztokholm planował przekazać Kijowowi zajęty rosyjski statek podejrzany o transport zboża z okupowanych przez Rosję części Ukrainy. Kilka dni przed groźbami Putina Senat USA zatwierdził również szeroko zakrojony pakiet sankcji wobec Rosji i Iranu, który dałby prezydentowi Donaldowi Trumpowi dodatkową przewagę w zmuszaniu Moskwy do podjęcia negocjacji z Ukrainą poprzez osłabienie jej gospodarki wojennej. Projekt ustawy – który musi jeszcze zostać zatwierdzony przez Izbę Reprezentantów USA – wymierzony jest m.in. w rosyjską „flotę cieni", w tym statki, właścicieli, operatorów, ubezpieczycieli, porty i innych pośredników zaangażowanych w transport rosyjskiej ropy i towarów objętych sankcjami.

21. pakiet sankcji Unii Europejskiej przewiduje konfiskatę ropy z tankowców nawet bez formalnego orzeczenia sądu, co oznacza, że teraz stanie się to dość prostą sprawą. Jeśli wcześniej tankowiec trzeba było odholować do portu, utrzymywać załogę i sam statek, a także przeprowadzać postępowania sądowe, które mogły, ale nie musiały zakończyć się zezwoleniem na konfiskatę, to obecnie dozwolone jest przepompowywanie ropy z rosyjskiego tankowca na inny statek praktycznie na morzu. W szerszym kontekście ma to obecnie ogromne znaczenie dla Rosji, ponieważ kraj ten zaprzestał sprzedaży produktów ropopochodnych. Cały dochód Rosji pochodzi właśnie z eksportu ropy naftowej. 54 proc. całego eksportu Rosji było transportowane przez „flotę cieni". Jeśli w czerwcu Rosja eksportowała drogą morską ponad 4 mln baryłek dziennie, to 54 proc. to ponad 2 mln baryłek dziennie. Najważniejsze jest jednak nie tyle skonfiskowanie 10–15 statków, co znaczny wzrost kosztów frachtu na pozostałych statkach, a przede wszystkim odmowa

coraz większej liczby armatorów transportowania rosyjskiej ropy objętej sankcjami.

Istnieje jeszcze jeden sposób walki z „flotą cieni", poza bezpośrednim zatrzymywaniem i kontrolowaniem statków. Oprócz właściciela, zarządcy, najemcy, nadawcy i odbiorcy ładunku, w zapewnianiu morskiego handlu surowcami energetycznymi pośrednio uczestniczą również firmy zajmujące się rekrutacją marynarzy. Organy sankcyjne nie zwróciły na nie jeszcze uwagi – a szkoda, bo wiele z nich znajduje się w jurysdykcjach, do których łatwo dotrzeć, a bez zagranicznych firm załogowych rosyjska „flota cieni" będzie miała trudności. Właścicielem statku i jego najemcą może być ktokolwiek, a jego kontrahentami mogą być niemniej „podejrzani" sprzedawcy i nabywcy ropy – natomiast firmy załogowe działają jawnie, zamieszczając ogłoszenia na forach morskich i kanałach Telegramu. To sprawia, że tego typu agencje i firmy są podatne na presję, jaką kraje koalicji mogą wywierać na rynek transportu „szarej strefy".

» Puste groźby „abordażu"

Groźby Władimira Putina to raczej tradycja niż konkretne ostrzeżenie. Putin nie po raz pierwszy grozi Zachodowi „lustrzaną odpowiedzią", ale najprawdopodobniej nie ma on rzeczywistych planów podjęcia działań siłowych przeciwko europejskiej flocie. Udzielenie symetrycznej odpowiedzi krajom Zachodu w przypadku nowych przejęć statków rosyjskiej „floty cieni" będzie trudne. Sama struktura rosyjskiego eksportu ropy naftowej lub skroplonego gazu zakłada przepływ statków „floty cieni", czyli rosyjskich statków pływających pod obcymi banderami, przez wody kontrolowane przez wszystkie kraje, które w Rosji określa się jako wrogie. Niezależnie od tego, czy chodzi o cieśniny Skagerrak i Kattegat na Morzu Bałtyckim, czy też o kanał La Manche, nad którymi kontrolę sprawują floty NATO. Do tego dochodzi flota Stanów Zjednoczonych, która jest obecna praktycznie wszędzie, w tym na Atlantyku, Morzu Śródziemnym i Oceanie Spokojnym. W związku z tym zdarza się, że rosyjskie statki często pływają w strefach odpowiedzialności zachodnich flot.

Natomiast zachodnie statki, przewożące skroplony gaz, w ogóle nie muszą płynąć przez Morze Bałtyckie obok Kronsztadu, gdzie rosyjska flota sprawuje kontrolę. Gdyby władze rosyjskie chciały wyrządzić szkodę krajom europejskim, ich rzeczywistą „symetryczną odpowiedzią" byłby sabotaż w portach z wykorzystaniem dronów lub agentów. A rozmowami o „symetrycznej odpowiedzi" Rosja chce nieco zmylić i przestraszyć zachodnich przywódców.

Z kolei Flota Czarnomorska została niemal całkowicie unieszkodliwiona, a jej okręty, które pozostały na wodzie, zostały zmuszone do wycofania się do Noworosyjska. Wykorzystywana jest nawet baza marynarki wojennej w Abchazji, która znajduje się jeszcze dalej na wschód od Krymu. Rosjanie nie byli w ogóle przygotowani na tak masowe wykorzystanie przez Ukrainę zarówno powietrznych, jak i wodnych bezzałogowych statków oraz różnego rodzaju dronów. Poza tym na Morzu Czarnym, a tym bardziej na Morzu Azowskim, nie ma gdzie się wycofać. W tym sensie akweny te stały się pułapką dla okrętów rosyjskiej marynarki wojennej, a Ukraińcy bardzo skutecznie to wykorzystali.

» Ropa i wojna hybrydowa

Tak zwana flota cieni jest jednym z głównych czynników stabilności rosyjskiego eksportu ropy naftowej. Szacunki dotyczące liczby statków wchodzących w jej skład znacznie się różnią. W 2025 roku, według śledztwa zachodnich dziennikarzy, liczyła ona około 230 tankowców, a łączna liczba statków różnych typów,

według różnych źródeł, może wynosić od 1000 do 1800. Pod pojęciem „floty cieni" rozumie się wszystkie statki, które na różne sposoby naruszają obowiązujące ograniczenia prawa międzynarodowego dotyczące eksportu ropy naftowej. Może to być eksport do krajów „przyjaznych", ale z pominięciem limitu cenowego. Albo przeładunek ropy na otwartym morzu w celu sprzedaży jej jako ropy spoza Rosji w krajach, w których zakup rosyjskiej ropy dostarczanej drogą morską jest zabroniony. Albo eksport realizowany przez firmy objęte sankcjami – lub skierowany do takich podmiotów.

Coraz ostrzejsze działania Zachodu wobec „floty cieni" zagrażają nie tylko dochodom ze sprzedaży ropy, jest tu też ważny wymiar bezpieczeństwa – i tym również można tłumaczyć groźby Putina. Statki te są też bowiem ważnym elementem prowadzonej przez Moskwę wojny hybrydowej i działań wywiadowczych. Federacja Rosyjska wykorzystuje „flotę cieni" do mapowania infrastruktury podwodnej, wcześniejszego umieszczania materiałów wybuchowych w pobliżu obiektów podmorskich oraz regularnych operacji wysyłania dronów w przestrzeń powietrzną państw NATO.

Chociaż jednostki „floty cieni" stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa morskiego we wszystkich sektorach, unikają wykrycia dzięki wysoce skoordynowanym taktykom ukrywania się. Do najbardziej charakterystycznych z tych taktyk maskujących należą: manipulowanie danymi AIS, przeładunki między statkami, częste zmiany bandery i nazwy oraz sfałszowana dokumentacja statków, w tym firmy-krzaki i brak ubezpieczenia. Co istotne, raporty wskazują, że w 2025 roku ponad 70 proc. statków objętych sankcjami zmieniło banderę, co skomplikowało sojusznicze działania w zakresie blokady i przejęcia. Połączenie tych działań, a także nabycie przez Federację Rosyjską nowych tankowców, ograniczyło skuteczność państw sojuszniczych w zwalczaniu statków-cieni. Wykraczając poza niejasności związane z identyfikacją statków, doniesienia z otwartych źródeł wskazują na rozbieżności między zadeklarowanymi listami załogi a osobami zaobserwowanymi na pokładach statków-cieni na wodach północnoeuropejskich. Na przykład w grudniu 2025 roku duńscy piloci zgłosili obecność umundurowanego personelu rosyjskiej marynarki wojennej, którego nie odnotowano w oficjalnych listach załogi. Trzy miesiące wcześniej władze francuskie przeprowadziły kontrolę na pokładzie statku „Boracay" – powiązanego z Rosją i objętego sankcjami, pływającego pod wieloma nazwami i flagami. Władze zauważyły na pokładzie dwóch mężczyzn powiązanych z Grupą Wagnera i Moran Security Group.

„Flota cieni" nie korzysta ze standardowych międzynarodowych mechanizmów ubezpieczenia ładunku, a stan techniczny samych statków pozostawia wiele do życzenia. Z reguły są to bardzo stare i zużyte statki, pływające pod banderami głównie krajów afrykańskich. Firmy obsługujące statki „floty cieni" (będące ich właścicielami, wynajmującymi, zarządzającymi nimi oraz rekrutujące załogi) dość często są zarejestrowane w jurysdykcjach trudnych do zweryfikowania i są całkowicie nieprzejrzyste. Dlatego też nałożenie na nie międzynarodowych sankcji bywa trudne. Na samych statkach, oprócz zawodowych marynarzy, mogą znajdować się agenci oraz najemnicy. Statki te działają w ścisłej współpracy z rosyjskimi służbami wywiadowczymi. Skład załóg znacznie się różni. Niektóre statki podobno obsługiwane są przez dodatkowy personel rosyjski, posiadający udokumentowane kwalifikacje w zakresie bezpieczeństwa lub wojskowości. Obejmuje to osoby powiązane z rosyjskimi prywatnymi firmami wojskowymi, takimi jak Moran Security Group i Grupa Wagnera, a także z GRU. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

» **Belgia–NATO–Chiny**

24 lipca belgijska policja zatrzymała w Mons stażystkę Naczelnego Dowództwa Sojuszniczych Sił w Europie (SHAPE), czyli operacyjnej kwatery głównej NATO. Dzień wcześniej funkcjonariusze przeszukali jej mieszkanie oraz stanowisko pracy w kwaterze. Prokuratura federalna poinformowała o sprawie 25 lipca. Podała, że podejrzana jest obywatelką Kanady chińskiego pochodzenia, i postawiła jej dwa zarzuty: szpiegostwa na rzecz „państwa trzeciego" oraz udziału w organizacji przestępczej. Ani nazwiska podejrzanej, ani nazwy tego państwa Belgowie nie podali.

Podały je media. 30 lipca Reuters napisał, powołując się na źródło w służbach, że chodzi o Chiny. Kanadyjska telewizja publiczna CBC oraz dziennik „The Globe and Mail" ustaliły tożsamość zatrzymanej: Biwei Zhang, rocznik 1993, posługująca się także imieniem Claire. W 2019 roku ukończyła ekonomię na York University w Toronto, a następnie uzyskała tytuł magistra informatyki i inżynierii systemów na Uniwersytecie w Ottawie. Z jej życiorysu zawodowego wynika, że wcześniej pracowała dla Kanadyjskiej Agencji Kosmicznej oraz urzędu statystycznego Statistics Canada. Do działu informatycznego SHAPE trafiła w lipcu 2025 roku. Na staż skierowało ją kanadyjskie ministerstwo spraw zagranicznych, ono też przeprowadziło wobec niej postępowanie sprawdzające. 28 lipca sąd odmówił zwolnienia za kaucją i zastosował miesięczny areszt tymczasowy.

Sprawa jest kłopotliwa dla całego Sojuszu. SHAPE to nie ośrodek analityczny, lecz miejsce, w którym powstają plany operacyjne NATO, a chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego oraz wywiad wojskowy Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej od lat werbują pracowników struktur sojuszniczych.

Rzecz w tym, że chińska agentura w Europie bywa wykrywana, ale rzadko bywa karana. Opisywana przez „Nowe Państwo" jesienią ubiegłego roku sprawa Christophera Casha i Christophera Berry'ego, oskarżonych o szpiegostwo w brytyjskim parlamencie, upadła, ponieważ rząd Partii Pracy nie chciał nazwać Chin państwem wrogim, a bez takiego zeznania oskarżenie traciło podstawę prawną. W Niemczech proces zakończył się wprawdzie wyrokiem, lecz mówi on więcej o skali zaniedbań niż o sukcesie służb. Jian Guo, przez pięć lat asystent europosła Maximiliana Kraha, przekazywał chińskiemu wywiadowi dokumenty Parlamentu Europejskiego i inwigilował chińskich dysydentów

w Niemczech. Sąd w Dreźnie skazał go we wrześniu 2025 roku na cztery lata i dziewięć miesięcy, choć prokuratura żądała siedmiu i pół roku i zarzucała mu pracę dla Pekinu od 2002 roku. Prokurator federalny nazwał tę sprawę najpoważniejszym przypadkiem chińskiego szpiegostwa w Niemczech, nie wyjaśniając, dlaczego przez dwie dekady nikt jej nie zauważył.

Kanada wypada w tym zestawieniu najgorzej. Rejestr agentów wpływu uruchomiła dopiero 4 sierpnia, 10 dni po zatrzymaniu własnej obywatelki w Mons i ponad dwa lata po uchwaleniu ustawy, która go powołała. Komisja śledcza sędzi Marie-Josée Hogue już w 2025 roku uznała Chiny za najaktywniejszego sprawcę ingerencji w kanadyjską demokrację. Anton Boegman, pierwszy komisarz, objął urząd wraz z uruchomieniem rejestru i od razu uprzedził, że nie służy on do wykrywania działań niejawnych. Sprawy z Mons i tak by więc nie objął. Zatrzymanie zawdzięczamy nie ustawie, lecz ochronie SHAPE, która zauważyła, że zachowanie stażystki było podejrzane.

» Japonia

31 lipca w Tokio odbyło się inauguracyjne posiedzenie Narodowego Biura Wywiadu, pierwszej scentralizowanej instytucji wywiadowczej Japonii od 1945 roku. Przewodniczyła mu premier Sanae Takaichi. Nowe biuro zastępuje działające przy rządzie Biuro Wywiadu i Badań, które zatrudniało około 700 osób, lecz nie miało realnych uprawnień wobec resortów. Teraz ministerstwa mają obowiązek przekazywać mu informacje, a biuro ma koordynować pracę około 33 tys/ funkcjonariuszy rozproszonych między policją, dyplomacją i wojskiem. Nadzór sprawuje nowa Narodowa Rada Wywiadu z premierem na czele. Pełną zdolność operacyjną instytucja ma osiągnąć do grudnia.

Takaichi powiedziała, że jest to dopiero pierwszy krok reformy. Drugim ma być ustawa antyszpiegowska, trzecim służba wywiadu zagranicznego na wzór amerykańskiej CIA lub brytyjskiej MI6. Japonia takiej służby nie miała od wojny, a w środowisku wywiadowczym od dawna nazywana jest „rajem dla szpiegów".

Nie jest to reforma oderwana od wojska. Dwa dni wcześniej, 29 lipca, japoński niszczyciel „Chokai" po raz pierwszy wystrzelił na Pacyfiku pocisk manewrujący Tomahawk o zasięgu 1600 kilometrów, zdolny razić cele na terytorium Chin. Tokio zamówiło 400 takich pocisków. Pocisk wart jest jednak tyle, ile dane o celu, a tych Japonia nie potrafi dziś zdobywać samodzielnie. Podczas testu poligon, kontrolę przestrzeni powietrznej i morskiej oraz planowanie zapewnili Amerykanie; Japończycy wykonali samo odpalenie. Nowa służba wywiadu i Tomahawki to jeden projekt: odbudowa zdolności, których Japonia po 1945 roku świadomie nie budowała.

4 sierpnia ukazała się doroczna biała księga obrony. Japonia nazywa w niej działania Chin swoim największym wyzwaniem strategicznym; coraz częstsze wspólne patrole i przeloty chińsko-rosyjskie uznaje za celową demonstrację siły, ostrzega przed możliwością zablokowania Tajwanu siłami chińskiej straży przybrzeżnej i stwierdza, że nie można wykluczyć powtórzenia w Azji Wschodniej scenariusza rosyjskiej agresji na Ukrainę. Pekin zareagował tego samego dnia, oskarżając Tokio o rozdmuchiwanie zagrożenia i o remilitaryzację, a nazajutrz złożył formalny protest.

Chińska reakcja to kolejna odsłona kampanii nacisku, którą Pekin prowadzi wobec Tokio od listopada 2025 roku, gdy Takaichi powiedziała w parlamencie, że chiński atak na Tajwan mógłby oznaczać dla Japonii sytuację zagrażającą przetrwaniu państwa. Pekin odpowiedział zakazem importu japońskich owoców morza, ostrzeżeniami przed podróżami do Japonii, ograniczeniami w dostawach

metali ziem rzadkich, a w lutym listą 40 japońskich firm objętych restrykcjami eksportowymi. Skutek okazał się odwrotny od zamierzonego. W przedterminowych wyborach 8 lutego rządząca Partia Liberalno-Demokratyczna zdobyła 118 dodatkowych mandatów, a Takaichi, którą uważano za przywódcę na jeden sezon, umocniła się na lata. Sankcje zostały, choć niczego już nie wymuszają. Ich zniesienie byłoby dla Pekinu przyznaniem się do porażki.

» **Tajwan**

Pod koniec lipca tajwański Sąd Najwyższy oddalił kasację Lin Hsueh-feng, byłej kandydatki Kuomintangu do rady miasta Chiayi, od wyroku drugiej instancji i utrzymał karę czterech lat więzienia oraz trzyletniej utraty praw publicznych. Od sierpnia 2023 roku Lin organizowała dla sołtysów i przewodniczących dzielnic z tajwańskiego powiatu Chiayi „wycieczki kulturalne" do chińskiej prowincji Zhejiang. Uczestnicy płacili po 16 tys. dolarów tajwańskich, czyli około 500 dolarów amerykańskich, resztę kosztów pokrywała strona chińska. Na bankietach chińscy urzędnicy namawiali gości do głosowania na konkretnego kandydata w wyborach prezydenckich na Tajwanie i powtarzali slogan, że oba brzegi cieśniny to jedna rodzina. Pieniądze pochodziły od kierownika wydziału w oddziale Biura ds. Tajwanu w ChRL.

Obrona przekonywała, że była to zwykła wymiana kulturalna, a Komunistyczna Partia Chin jest wobec Tajwanu podmiotem przyjaznym. Sąd Najwyższy odrzucił tę argumentację i orzekł, że skoro Chiny rutynowo grożą Tajwanowi użyciem siły wojskowej, to zarówno partia, jak i Biuro ds. Tajwanu są „wrogą siłą zewnętrzną" oraz „źródłem infiltracji" w rozumieniu ustawy o przeciwdziałaniu infiltracji z 2019 roku. Znaczenia tego rozstrzygnięcia trudno przecenić. Przez sześć lat obowiązywania ustawy prokuratura postawiła zarzuty 127 osobom, a skazano zaledwie pięć z nich. Sądy raz po raz uznawały, że nie udowodniono, iż zleceniodawca był organem obcego państwa. Teraz ta furtka została zamknięta.

Pięć dni wcześniej, 23 lipca, ten sam sąd zamknął drugą taką sprawę. Ma Chih-wei, była rzecznik oddziału Tajwańskiej Partii Ludowej w Taoyuanie, startowała w styczniu 2024 roku jako kandydatka niezależna do parlamentu. Na kampanię przyjęła od prowadzących ją osób, występujących pod pseudonimami Bing-jie i A-hao 1,05 mln dolarów tajwańskich, czyli 32,5 tys. dolarów amerykańskich, częściowo w gotówce, częściowo w kryptowalucie Tether, która miała pozwolić ominąć bankowe systemy kontroli. W zamian przekazała wizytówki funkcjonariuszy bezpieczeństwa narodowego i spis oficerów łącznikowych między rządem a parlamentem. W jej okręgu w Taoyuanie znajdują się główny port lotniczy wyspy i 6. Korpus Armijny. Sąd pierwszej instancji skazał ją wyłącznie za nielegalne wykorzystanie danych osobowych i wymierzył osiem miesięcy, uznał bowiem, że nie dowiedziono, iż jej mocodawcy reprezentowali wrogie państwo. Sąd apelacyjny zmienił kwalifikację czynu i podniósł karę do dwóch lat i ośmiu miesięcy, a Sąd Najwyższy utrzymał ten wyrok.

Obie sprawy dotyczą wyborów w styczniu 2024 roku, a wyroki zapadły cztery miesiące przed wyborami samorządowymi 28 listopada. Dotowana wycieczka autokarowa i przelew w kryptowalucie to dwa końce jednej operacji wyborczej. Pierwszy kanał kupował lokalnych liderów, którzy prowadzą za sobą wyborców, drugi kupował kandydata, który miał zasiąść w parlamencie. Sąd apelacyjny nazwał to wprost: miejscowy współpracownik wrogiego państwa. ■



opracował **Antoni Rybczyński**

Oś wstrząsów, czyli blok CRINK

Zacieśnienie stosunków partnerskich Rosji z Chinami, Iranem i Koreą Północną stanowi jedną z najbardziej znaczących zmian geopolitycznych wywołanych wojną na Ukrainie. Czołowe autokracje świata w coraz większym stopniu czerpią z wzajemnych zasobów, potencjału wojskowego i wpływów geopolitycznych, by przeciwstawić się presji Zachodu. Jakie mogą być tego konsekwencje?

Wojna Rosji przeciwko Ukrainie dała jej nowych partnerów. Chociaż grupę tę czasami określa się mianem „osi", w rzeczywistości jest to zbiór zacieśniających się stosunków dwustronnych z krajami – Chinami, Iranem i Koreą Północną – które są niezbędne do dalszego prowadzenia wojny przez Rosję. Obecność przywódców tych krajów na paradzie wojskowej w Pekinie z okazji 80. rocznicy zakończenia II wojny światowej w Azji – oraz ich pełne zaangażowanie w tworzenie nowego porządku światowego, w którym Stany Zjednoczone nie odgrywają już dominującej roli – sugeruje, że kraje te w coraz większym stopniu tworzą blok antyamerykański, zjednoczony nie wspólnymi wartościami, lecz wspólnymi pretensjami (Angela Stent, „CRINK: Wewnątrz nowego bloku wspierającego wojnę Rosji przeciwko Ukrainie", Atlantic Council, 23 października 2025).

» Układ CRINK

Wszystkie cztery kraje uważają, że obecny system międzynarodowy nie zapewnia im takiego wpływu i statusu, na jakie ich zdaniem zasługują. Współpraca pozwala im skuteczniej rzucać wyzwanie temu systemowi. Chiny na przykład czerpią korzyści z niestabilności, która odwraca uwagę Zachodu. Iran korzysta z faktu, że amerykańskie zasoby wojskowe są zaangażowane na Bliskim Wschodzie. Łącznie zdają sobie sprawę, że skoordynowana presja na Stany Zjednoczone może stanowić zbyt duże „obciążenie" dla tego mocarstwa. Ich partnerstwo pomaga każdemu z tych krajów zachować wpływy i zająć korzystniejsze pozycje w rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi, które – z ich punktu widzenia – coraz bardziej zrażają do siebie swoich sojuszników. Razem są silniejsi. Współpraca polityczno-dyplomatyczna coraz częściej uzupełniana jest współpracą wojskowo-technologiczną i gospodarczą. Analitycy mówią o tworzeniu się „osi niestabilności" lub „osi wstrząsów" (axis of upheaval), aktywnie przeciwstawiającej się zachodnim demokracjom (Alex Raufoglu, „»Oś wstrząsów«. Cztery reżimy i ich konfrontacja z Zachodem", Radio Swoboda, 28 lipca 2026).

Emerytowany kontradmirał Mark Montgomery, starszy dyrektor Centrum Innowacji Cybernetycznych i Technologicznych w Fundacji na rzecz Obrony Demokracji oraz współautor książki „Axis of Aggressors", powiedział RFE/RL, że w ramach swoich badań udokumentował ponad 600 przypadków współpracy między tymi czterema krajami. Montgomery przedstawił surową ocenę: Ukraina faktycznie zmaga się jednocześnie z elementami wszystkich czterech przeciwników. Teheran dostarczył drony; Pjongjang zapewnił siłę roboczą i amunicję; Pekin dostarczył komponenty podwójnego zastosowania; a Moskwa zapewniła doświadczenie taktyczne i wydaje się, że w zamian oferuje technologię wojskową. Ta pętla sprzężenia zwrotnego tworzy system adaptacyjny. Ponieważ każdy z członków może pomóc zrekompensować słabości ekonomiczne, technologiczne lub militarne innego, presja wywierana na jedno państwo może zostać częściowo zrównoważona dzięki współpracy z pozostałymi (Alex Raufoglu, „Współpracujący autokraci tworzą »przeszkodę« na drodze Stanów Zjednoczonych i zachodnich demokracji", RFE/RL, 12 sierpnia 2026).

Te cztery kraje nie są związane traktatem o wzajemnej obronie, nie mają zjednoczonej

ILUSTRACJA MARIUSZ TKOLIŃSKI/AI

struktury dowodzenia ani wiążącej doktryny strategicznej, a analitycy twierdzą, że nie wydaje się, by łączyła je jakakolwiek ideologia wykraczająca poza sprzeciw wobec Zachodu, a zwłaszcza wspólny sprzeciw wobec porządku kierowanego przez Stany Zjednoczone. „Współpraca ta już przyniosła korzyści, wspierając działania wojenne, wzmacniając reżimy znajdujące się w trudnej sytuacji oraz podważając normy demokratyczne. Jej zasięg jest jednak ograniczony: ugrupowanie to ma charakter transakcyjny, nie ma przywódcy i jest rozdarte przez konkurujące interesy, nie posiadając wspólnego planu działania na rzecz alternatywnego porządku" – twierdzą analitycy z Lowy Institute, ponadpartyjnego think tanku zajmującego się polityką międzynarodową z siedzibą w Sydney w Australii (A. Raufoglu, „Współpracujący autokraci tworzą »przeszkodę«…").

» Rosja i trzech sojuszników

Chiny umożliwiają prowadzenie wojny przez Putina. Powtarzają rosyjską narrację o odpowiedzialności NATO za wojnę i obwiniają Zachód za ten konflikt. Co ważniejsze, Chiny udzieliły Rosji znacznej pomocy gospodarczej, wojskowej i technologicznej na potrzeby jej machiny wojennej oraz są głównym nabywcą rosyjskich węglowodorów, zapewniając środki finansowe niezbędne do kontynuowania wojny. Chińscy żołnierze kontraktowi również walczą w szeregach armii rosyjskiej na Ukrainie. Pomimo początkowych nadziei Zachodu, że Pekin mógłby pełnić rolę mediatora i pomóc w wynegocjowaniu pokoju między Rosją a Ukrainą, chiński anemiczny plan pokojowy nigdy nie był traktowany poważnie, a Chiny nie wykazały żadnego zainteresowania zakończeniem wojny. ChRL są dla Rosji kluczowym partnerem w dążeniu do podważania interesów Stanów Zjednoczonych i Zachodu na całym świecie oraz do osłabiania obecnego porządku międzynarodowego (A. Stent, „CRINK: Wewnątrz nowego bloku…").

Przed wojną na Ukrainie w 2022 roku stosunki między Rosją a Iranem uległy zacieśnieniu, gdy Moskwa zaangażowała się w syryjską wojnę domową i wraz z Iranem zaczęła wspierać byłego syryjskiego dyktatora Baszara al-Asada. Interwencja Rosji wzmocniła również walczące tam oddziały irańskiej Gwardii Rewolucyjnej. Przed lutym 2022 roku wydawało się, że oba kraje ściśle współpracowały w Syrii, pomimo różnic w takich kwestiach jak wytyczenie granic na Morzu Kaspijskim. Iran odegrał kluczową rolę we wspieraniu Rosji po pełnej inwazji na Ukrainę, gdy Moskwie nie udało się zdobyć Kijowa w ciągu trzech dni. Dostarczył drony typu Shahed, które oba kraje obecnie wspólnie produkują, a od tego czasu współpraca rosyjsko-irańska w dziedzinie obronności znacznie się zintensyfikowała (A. Stent, „CRINK: Wewnątrz nowego bloku…").

W przeciwieństwie do Chin, które często wstrzymują się od głosu w sprawach dotyczących Ukrainy, Korea Północna wielokrotnie głosowała w ONZ za poparciem rosyjskiego stanowiska w sprawie Ukrainy. Punktem zwrotnym był udział Kima w Dalekowschodnim Forum Gospodarczym w 2023 roku we Władywostoku, gdzie spotkał się z Putinem i odwiedził kosmodrom Wostoczny, aby zapoznać się z najnowszymi rosyjskimi innowacjami technologicznymi w dziedzinie kosmosu. Wkrótce potem Pjongjang rozpoczął dostarczanie Rosji milionów sztuk tak bardzo potrzebnej amunicji i pocisków. Uważa się,

że w zamian Rosja dostarczyła Korei Północnej pociski i technologię kosmiczną; Korea Północna przeprowadziła później udany test rakietowy. Jesienią 2024 roku Pjongjang zaczął wysyłać żołnierzy do walki w rosyjskim obwodzie kurskim, w celu wyparcia stacjonujących tam sił ukraińskich (A. Stent, „CRINK: Wewnątrz nowego bloku…").

» Oś wstrząsów kontra Zachód

David J. Kramer, dyrektor wykonawczy Instytutu George'a W. Busha i były wysoki rangą dyplomata USA, powiedział RFE/RL, że choć współpraca między tymi czterema państwami już funkcjonuje, nie stanowi ona formalnego sojuszu porównywalnego z NATO. „Współpraca ta funkcjonuje i ma charakter selektywny" – powiedział Kramer w rozmowie z RFE/RL. Jego ocena oddaje złożoną rzeczywistość, która zyskuje na znaczeniu wśród decydentów politycznych w Waszyngtonie: CRINK (akronim od pierwszych liter angielskich nazw państw) nie jest ani ściśle zintegrowanym blokiem wojskowym, ani jedynie retorycznym wygodnym rozwiązaniem. Funkcjonuje natomiast jako elastyczna sieć, w ramach której członkowie współpracują tam, gdzie ich interesy się pokrywają, co pozwala każdemu z nich zniwelować część swoich strategicznych słabości (A. Raufoglu, „Współpracujący autokraci tworzą »przeszkodę«…"). Przedstawiona Kongresowi USA „Światowa ocena zagrożeń" amerykańskiej społeczności wywiadowczej z 2025 roku nie określa CRINK jako osi: „Te przede wszystkim dwustronne relacje, głównie w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony, wzmocniły ich indywidualne i zbiorowe zdolności do zagrażania i wyrządzania szkód Stanom Zjednoczonym, a także zwiększyły ich odporność na wysiłki USA i Zachodu mające na celu ograniczenie lub powstrzymanie ich działań. Wojna Rosji na Ukrainie przyspieszyła te powiązania, ale tendencja ta prawdopodobnie utrzyma się niezależnie od wyniku wojny" (A. Stent, „CRINK: Wewnątrz nowego bloku…").

Jednocześnie żaden z rządów krajów „osi wstrząsów" nie jest zainteresowany bezpośrednią wojną ze Stanami Zjednoczonymi. Ich celem jest utrzymanie przyjaznych im reżimów oraz zwiększenie kosztów, z jakimi boryka się Waszyngton w różnych regionach. Z punktu widzenia Rosji przedłużający się konflikt z udziałem Iranu jest dla niej korzystny, ponieważ angażuje amerykańskie zasoby wojskowe, uruchamia amerykańskie systemy obrony powietrznej (które teoretycznie mogłyby zostać dostarczone do Kijowa) i ogólnie odwraca uwagę od Ukrainy. Nawet jeśli aktywne działania bojowe zaczną słabnąć, Rosja nadal będzie cenić zdolność Iranu do odwracania uwagi USA poprzez utrzymywanie na Bliskim Wschodzie konfrontacji o niskiej intensywności (A. Raufoglu, „»Oś wstrząsów«…"). Według analityków, sieci CRINK nie są jednak niepokonane. Jednym ze źródeł ich słabości jest brak formalnej struktury sojuszu. Chiny mają własne interesy i ograniczyły zakres bezpośredniego wsparcia wojskowego udzielanego Rosji. Pekin jest również zaniepokojony pogłębiającymi się relacjami między Moskwą a Pjongjangiem, a ponadto cztery kraje nie mają wspólnej doktryny strategicznej. Kramer argumentował, że Stany Zjednoczone i ich sojusznicy powinni zareagować poprzez ściślejszą współpracę w Europie, Azji i na Bliskim Wschodzie, zamiast traktować zagrożenia stwarzane przez te cztery kraje jako odrębne problemy (A. Raufoglu, „Współpracujący autokraci tworzą »przeszkodę«…"). ■

Hanna Shen



Biało-Czerwoni w Tajpej. Pas ochronny wolnego świata

Delegacja europosłów Prawa i Sprawiedliwości u prezydenta Tajwanu to nie kurtuazja, lecz deklaracja strategiczna. Polska ma szansę stać się wschodnim filarem technologicznego sojuszu demokracji. I to prawica, nie salon, wykonała pracę, która otworzyła tę szansę.

Scena, która przejdzie do historii polskiej polityki zagranicznej, rozegrała się w drugiej połowie lipca w Pałacu Prezydenckim w Tajpej. Prezydent Tajwanu Lai Ching-te przyjął delegację europosłów Prawa i Sprawiedliwości: Beatę Szydło, Mariusza Kamińskiego, Waldemara Budę, Małgorzatę Gosiewską i Kosmę Złotowskiego; później dołączył do nich także Maciej Wąsik. Była to pierwsza od blisko dwóch kadencji Parlamentu Europejskiego wizyta delegacji złożonej wyłącznie z przedstawicieli jednej frakcji i jednego państwa. Tajwańczycy, naród żyjący pod nieustanną presją komunistycznego sąsiada, precyzyjnie mierzą wagę takich gestów. Prezydent Lai dziękował polskim politykom za tegoroczne rezolucje Parlamentu Europejskiego, od poparcia współpracy dronowej z Tajwanem po potępienie chińskiej ustawy o „jedności etnicznej", w której Pekin przyznał sobie eksterytorialną władzę nad każdym, kogo uzna za „Chińczyka", bez względu na paszport i miejsce zamieszkania. Że to nie martwy przepis, pokazał lipcowy atak na japońskiego publicystę Akio Yaitę w tajwańskim mieście Taichung, uznany przez kancelarię prezydenta Tajwanu za pierwszy akt przemocy w ramach represji transnarodowych od wejścia tej ustawy w życie.

Żeby zrozumieć, dlaczego ta wizyta wydarzyła się właśnie teraz i dlaczego jest tak ważna, trzeba spojrzeć na trzy plany naraz: świata zachodniego, Polski i samego obozu konserwatywnego.

» Oś autorytarna gra o dwa teatry

Zacznijmy od Zachodu. Ujawnione na początku lipca śledztwo The Insider, „Der Spiegel" i „Le Monde" potwierdziło to, o czym środowiska konserwatywne mówiły od dawna, a lewicowe elity zbywały jako rusofobię i sinofobię: Moskwa i Pekin od 2020 roku prowadzą tajne coroczne fora współpracy wojskowo-technicznej, a w 2023 roku uzgodniły protokół o wspólnej obronie powietrznej i przeciwrakietowej wymierzonej w systemy amerykańskie; horyzont tych planów sięga 2030 roku. Rosja płaci doświadczeniem bojowym z Ukrainy, a Chiny technologią. To nie jest małżeństwo z rozsądku, które sprytna dyplomacja rozbije, jak fantazjują zwolennicy „odwróconego Kissingera". To sojusz strukturalny. Deklaracja przyjaźni „bez granic", podpisana przez Putina i Xi na trzy tygodnie przed inwazją na Ukrainę, zawierała zresztą zapis, który powinien wisieć nad biurkiem każdego polskiego polityka: Rosja uznała w niej Tajwan za nieodłączną część Chin. Oś autorytarna gra o dwa teatry naraz, europejski i indopacyficzny, i tylko ktoś ślepy z wyboru może twierdzić, że los Tajwanu nie jest sprawą Polski.

Zachód odpowiada na to, przebudowując gospodarczą architekturę. W pierwszym kwartale tego roku Stany Zjednoczone po raz pierwszy od ćwierćwiecza wyprzedziły Chiny z Hongkongiem jako największy partner handlowy Tajwanu; tajwański eksport do Ameryki niemal się podwoił rok do roku, sięgając 65,56 mld dolarów, a napędzały go półprzewodniki i serwery sztucznej inteligencji. Czerwcowa umowa handlowa Stanów Zjednoczonych z Unią Europejską obejmuje łańcuchy dostaw, surowce krytyczne, półprzewodniki, sztuczną inteligencję, cyberbezpieczeństwo i kontrolę eksportu. To katalog dziedzin, w których Waszyngton oczekuje od sojuszników jednoznaczności. Prezydent Lai nazywa ten proces budową „nieczerwonych łańcuchów dostaw": sieci produkcji łączących wyłącznie demokracje, bez ogniw kontrolowanych przez Pekin. Dla polskiego ucha brzmi to znajomo. Międzymorze Piłsudskiego pomyślane było jako pas osłaniający przed Rosją; „nieczerwone łańcuchy dostaw" Laia czynią z naszego regionu pas osłaniający wolny świat przed Chinami. Ameryka nie pyta już, czy jej partnerzy dołączą do tej sieci. Pyta, którzy zrobią to pierwsi i na jakich prawach.

Waszyngton widzi zresztą polską rolę szerzej niż przez pryzmat fabryk. W dniach wizyty delegacji Ken Moriyasu z waszyngtońskiego Hudson Institute przekonywał na łamach konserwatywnego „Washington Examiner", że jeden z kluczy do

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

powstrzymania inwazji na Tajwan leży w Europie Środkowej. Odstraszanie porównał do akupunktury: igły wbija się nie tam, gdzie boli, lecz w punkty połączone z układem nerwowym pacjenta. Głównym hamulcem dla Xi Jinpinga pozostaje gospodarczy koszt wojny: inwazja oznaczałaby zamknięcie Cieśniny Malakka przez amerykańską flotę i uduszenie chińskiego handlu morskiego, dlatego Pekin gorączkowo buduje lądowe korytarze zapasowe przez Rosję i Azję Centralną. Rzecz w tym, że wszystkie te korytarze kończą się w państwach Trójmorza, a przez terminal w Małaszewiczach przechodzi lwia część handlu kolejowego między Chinami a Unią. Decyzje zapadające w Warszawie realnie wpływają więc na pekiński rachunek kosztów wojny. Polska nie musi wysyłać fregat na Pacyfik: wystarczy, że pilnuje własnego odcinka chińskich korytarzy, gra zespołowo w Trójmorzu i utrzymuje polityczną obecność w Tajpej, dokładnie taką, jaką zapewniła delegacja z Beatą Szydło na czele. Mamy w ręku igłę, którą można nakłuć chiński układ nerwowy, i właśnie dostrzegł ją Waszyngton.

» Chińskie serce wymienione na tajwańskie

I tu zaczyna się plan polski. Przez lata nasz udział w globalnym wyścigu technologicznym wyglądał boleśnie: Intel oficjalnie wycofał się z inwestycji w podwrocławskiej Miękini, podczas gdy TSMC buduje fabrykę w Dreźnie; Berlin, jak zwykle, zagrał na siebie. Raport Związku Przedsiębiorców i Pracodawców oraz Ośrodka Studiów Wschodnich wycenił skutki dekad naiwności wobec Pekinu: 87 mld euro wartości dodanej wyssane z europejskiego przemysłu w samym 2025 roku, z czego strata Polski to 11,4 mld euro i około 45 tys. zagrożonych miejsc pracy. A jednak w ostatnich miesiącach karta się odwraca, i to w stronę Tajwanu. Tajwańskie konsorcjum TEEMA z Foxconnem na czele zbuduje park technologiczny właśnie w Miękini, na terenie porzuconym przez Amerykanów; o tę inwestycję zabiegały Czechy, Niemcy i Francja, a wygrała Polska. ElectroMobility Poland, po wycofaniu się chińskiego Geely, podpisała porozumienie z Foxconnem w sprawie centrum elektromobilności w Jaworznie. Polski projekt, który miał dostać chińskie serce, dostanie tajwańskie. Od serwerów po auta elektryczne: Polska po raz pierwszy od dekad ma realną szansę wejść do pierwszej ligi wysokich technologii, i to wejść drzwiami, które otwiera Waszyngton, a nie oknem, które uchyla Pekin.

» Droga prawicy, drzemka salonu

Trzeci plan to sam obóz konserwatywny i tu trzeba uczciwości, bo ona jest siłą, nie słabością. W 2017 roku premier Szydło jeździła na pekiński szczyt Pasa i Szlaku, a Polska, jak niemal cały Zachód, wierzyła w dobrodziejstwa handlu z Państwem Środka. Tyle że Zachód wierzył dłużej i głębiej: to Angela Merkel forsowała umowę inwestycyjną z Chinami, to Olaf Scholz wpuszczał COSCO do hamburskiego portu wbrew własnym służbom, to Emmanuel Macron jeszcze w 2023 roku pouczał Europę, że Tajwan to kryzys „nie nasz". I właśnie wtedy, gdy francuski prezydent recytował pekińskie tezy, polski premier Mateusz Morawiecki odpowiedział mu w waszyngtońskim Atlantic Council słowami, które zapamiętano po obu stronach Atlantyku: nie da się obronić Ukrainy, powtarzając, że Tajwan to nie nasza sprawa. Była to pierwsza tak jednoznaczna deklaracja europejskiego szefa rządu. I padła z ust polskiego konserwatysty. Trzeba też oddać sprawiedliwość Annie Fotydze, która o Tajwan upominała się w Parlamencie Europejskim, gdy nie było to ani modne, ani wygodne; tajwańska dyplomacja do dziś wymienia ją wśród najwierniejszych przyjaciół swojej demokracji. Prawica nie „odkryła" Tajwanu w tym roku. Prawica przeszła drogę od złudzeń, które dzieliła z całym Zachodem, do jasności, którą wymusiła wojna – bo kto zbroi Rosję, ten nie jest przyjacielem Polski. Wizyta delegacji Beaty Szydło jest zwieńczeniem tej drogi i jej symbolicznym domknięciem: ta sama polityk,

która dziewięć lat temu słuchała pekińskich obietnic, dziś rozmawia z prezydentem wolnego Tajwanu o pokoju w Cieśninie Tajwańskiej jako sprawie strategicznej dla Europy.

A co w tym czasie robi druga strona polskiej sceny? To, co zawsze: konsumuje cudzą pracę i myli gesty z polityką. Rząd Donalda Tuska chętnie pozuje przy tajwańskich inwestycjach, ogłasza Foxconna w Jaworznie i przyjmuje gratulacje za Miękinię. Prawda jest jednak taka, że fundamenty położono wcześniej i gdzie indziej: to rząd Zjednoczonej Prawicy przygotował projekt ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, wyszydzany wtedy jako „lex Huawei" przez chór pożytecznych głosów Pekinu; to Morawiecki ustawił polską narrację po właściwej stronie sporu Ameryki z Chinami; to europosłowie PiS współtworzyli w ramach frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów rezolucje, za które dziękował im w Tajpej prezydent Lai; to wreszcie w 2018 roku, za rządów Zjednoczonej Prawicy, otwarto w Tajpej Zagraniczne Biuro Handlowe Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu wraz z porozumieniem z tajwańską agencją inwestycyjną InvesTaiwan. Bez tej placówki dzisiejszych inwestycji z Miękini i Jaworzna po prostu by nie było. Tymczasem podpisana przez obecną władzę strategia polskiej polityki zagranicznej na lata 2026–2030, dokument skądinąd trafnie opisujący rosyjskie zagrożenia hybrydowe, Chin w wektorze ryzyk technologicznych i infrastrukturalnych po prostu nie zauważa. To nie przypadek, lecz odruch formacji, która przez 30 lat uczyła się od Berlina, że z autokracjami się handluje, a nie wyciąga wniosków. To ta sama formacja, która dała Europie Zielony Ład, subsydiując chińską dominację w technologiach uznanych za obowiązkowe. I to z jej panteonu pochodzi Lech Wałęsa, który na marcowym Forum Yushan w Tajpej ogłosił, że Tajwan powinien „przewodzić zjednoczeniu Chińczyków", przyjmując ramę pojęciową pekińskiej propagandy i wywołując na wyspie konsternację, z porównaniami do Xi Jinpinga włącznie. Ikona III Rzeczypospolitej pojechała do wolnego kraju, by mówić językiem jego wroga. Trudno o lepszą miniaturę intelektualnej kondycji obozu, który przez lata pouczał prawicę o „standardach".

» Igła w polskiej ręce

Co z tego wszystkiego wynika? Po pierwsze, Polska dostała od historii rzadki prezent: moment, w którym interes Waszyngtonu, potrzeby Tajpej i polska racja stanu wskazują na ten sam kierunek. Amerykanie budują technologiczny sojusz demokracji i szukają w Europie Środkowej kotwicy: państwa dużego, frontowego, przewidywalnego, w dodatku kontrolującego lądowe wrota chińskiego handlu z Unią. Tajwańczycy szukają lokalizacji poza zasięgiem chińskiego szantażu i partnerów, którzy nie zmienią frontu po jednym telefonie z Pekinu. Obie te potrzeby Polska może zaspokoić lepiej niż ktokolwiek w regionie, pod warunkiem konsekwencji.

Po drugie, konsekwencja ma konkretny kształt: dokończenie ochrony infrastruktury krytycznej bez oglądania się na protesty Pekinu i jego mimowolnych adwokatów, twarde reguły przeglądu chińskich inwestycji, rewizja Zielonego Ładu, wspólne reguły Trójmorza dla lądowych korytarzy handlu z Chinami oraz dopilnowanie, by tajwańskie porozumienia przeszły od podpisów do fabryk.

Po trzecie, obóz konserwatywny powinien uczynić z tych zadań swój program: nie dlatego, że są modne, lecz dlatego, że wynikają wprost z samej jego natury – z antykomunizmu, który nie jest pozą, z nieufności wobec utopii i z przekonania, że suwerenność buduje się na przemyśle, energii i technologii, a nie na deklaracjach.

Pekin cierpliwie czeka, aż Zachód wróci do drzemki, a Polska wróci do roli montowni. Wizyta biało-czerwonej delegacji w Tajpej jest sygnałem, że czekać będzie długo. Teraz trzeba dopilnować, żeby czekał na próżno. ■

Autostopem przez Kirgistan

Michał Muszalski

Jazda z pijanym kierowcą, dzieci rzucające we mnie kamieniami czy propozycja od nieznajomego do picia wódki u niego w domu o ósmej rano. A także próba przekonania mnie, że Putin jest dobry. Gdy przekroczyłem granicę z Kirgistanem, zaczął on powoli ukazywać mi swoją odmienność.











Znajdowałem się w Uzbekistanie o dwie godziny drogi od granicy z Kirgistanem, jeszcze tego samego dnia chciałem ją przekroczyć, jednak poznałem pana Turgumbaja, który zmusił mnie do zmiany planów. Gdy wsiadłem do jego samochodu, zaczął na mnie krzyczeć. Próbował wymusić na mnie, żebym płynnie po rosyjsku powiedział mu, skąd jestem i co właściwie robię; był wyraźnie zirytowany problemami w komunikacji. Po tym, jak udało nam się dojść do porozumienia, stwierdził stanowczo, że dziś mnie na granicę nie zawiezie, bo już jest zbyt późno (było około czternastej). Dodał, że to bez sensu, bym wieczorem szwendał się po drugiej jej stronie. W zamian, stwierdził, pojedziemy do niego. Nie musiał mnie długo namawiać. Pan Turgumbaj mieszkał wraz z żoną i rodziną syna w Xanobodzie, małym mieście położonym o 20 minut samochodem od granicy. Od zalanej po brzegi asfaltem ulicy dom oddzielony był wysokim murem i nieprzejrzystą bramą. Po drugiej stronie muru, na środku dziedzińca znajdował się mały ogród, w lecie rosną tam winogrona, zapewniając cień w upalną pogodę (w tej części kraju temperatury dochodzą do nawet 50 stopni Celsjusza). Kwadratowy ogród otaczały: dom, pomieszczenia gospodarcze – w tym wychodek – oraz zadaszone miejsce na samochody. Przy jednym z budynków znajdowało się jedyne w gospodarstwie ujęcie wody. Wszystko poza ogrodem było wybetonowane. Z zadaszonego tarasu do domu prowadziły trzy wejścia. Dwa do połączonych ze sobą pokoi, trzecie do części zajmowanej przez synową gospodarzy z dziećmi. Syna nie było, pracuje w Petersburgu i rzadko przyjeżdża do domu.

» Gościnność

Kiedy przed wejściem zdjąłem buty, zostałem szybko pouczony, bym je znów założył. Pan Turgumbaj zaprosił mnie z powrotem do samochodu i pojechaliśmy na bazar. Gospodarz dostrzegł przetarcia w moich skarpetach i postanowił kupić mi nowe. Na bazarze stałem się posiadaczem dwóch nowych par skarpet, uszytych w Uzbekistanie. Po powrocie pan Turgumbaj wziął się do przyrządzania mięsa na plov, tradycyjną uzbecką potrawę. Mięso, jak powiedział, musi przygotować mężczyzna, resztą, tzn. ryżem i warzywami, zajmowały się kobiety. Potrawa była przyrządzana na małej blaszanej kuchence, w jednym naczyniu. Kuchenka ta była równocześnie piecem i jedynym źródłem ciepła w mieszkaniu (zimą temperatury spadają do około minus 10 stopni Celsjusza). W domu nie dostrzegłem żadnych mebli poza niskim stolikiem, przy którym siedzieliśmy po turecku, na wyścielonej grubymi dywanami podłodze.

W pokoju obok chowały się wnuki gospodarzy, wtedy jeszcze zawstydzone moją obecnością. Kiedy wyszły po paru chwilach, poznałem dziesięcioletnią na oko wnuczkę gospodarzy oraz jej sześcioletniego brata. Dziewczynka, chyba za namową dziadka, chciała powtórzyć ze mną angielski, jednak chłopiec nie był zainteresowany nauką. Wypytywał mnie o moje wymarzone auto, ulubionego piłkarza i boksera oraz dlaczego nie mam iPhona (!). Swoim zagadywaniem i ciekawością szybko spłoszył starszą siostrę. Niedługo później sam został spłoszony przez dziadków.

Pani domu nalała mi do miseczki wodę i powiedziała, żebym się napił. Powtarzała, że to woda Zamzam. Dopiero później sprawdziłem w internecie, że jest to woda z najstarszego, nieprzerwanie działającego źródła w Mekce. Gospodyni przywiozła ją z pielgrzymki. Kiedy ku jej uciesze piłem wodę, wraz z mężem wypytywali mnie o cel podróży, motywację, rodzinę oraz o to, jak się żyje w Polsce. Gospodarz bardzo mi wtedy pomógł, wspominając,

że trasa, którą zamierzałem się kierować do Biszkeku, jest o tej porze roku nieprzejezdna, był to koniec marca, a droga miała się wznosić na ponad 4 tys. m n.p.m. Polecił mi inną.

Przerwaliśmy rozmowę, gdy na stole pojawił się plov. Podany został na dużym ozdobnym półmisku, z którego jedliśmy dłońmi. Obok gospodarz położył porwany na małe kawałki chleb. Pan Turgumbaj uparcie podawał mi kawałki mięsa, chcąc dać mi to, co najlepsze. Nie pomagały moje protesty, że on i wnuk też powinni coś zjeść. Na naszą trójkę było go może z 200 gramów. Jedliśmy w innym pokoju niż kobiety. Był to również jedyny ciepły posiłek, jaki spożywali w ciągu dnia. Rozmawialiśmy jeszcze trochę, a potem poszliśmy spać. Noc spędziłem w jednym pokoju z panem Turgumbajem i jego wnukiem. Przygotowano dla mnie tradycyjne azjatyckie posłanie, które składało się z grubej wełnianej maty i równie grubej kołdry. Kobiety spały w innym pomieszczeniu.

Następnego dnia około szóstej rano gospodarz podwiózł mnie na przejście graniczne. Jeździł białym chevroletem, tak starym, że sprawiał wrażenie, jakby się miał zaraz rozlecieć na drobne kawałki. Kiedy zmieniał biegi, samochód cały się trząsł.

» Kirgistan

Przeszedłem granicę bez rozwiniętego planu, co dalej. Na straganach przy granicy kupiłem małe śniadanie i poznałem właściciela sklepu, który bardzo ucieszył się z mojego pochodzenia (był kiedyś na migracji zarobkowej w Polsce i najwidoczniej ma dobre wspomnienia), zaproponował mi podwózkę do Dżalalabadu, jednego z większych miast w Kirgistanie, niedaleko granicy. Nie bawiłem tam długo, siedząc na ławce w miejskim parku, zdecydowałem się skierować w góry, Kirgistan w końcu z nich słynie. Za cel obrałem park narodowy, niedaleko trasy prowadzącej na Biszkek. Chciałem się dostać do schroniska położonego nad krystalicznie czystym górskim jeziorem – o dzień drogi od bram parku.

Kirgistan zaczął powoli ukazywać mi swoją odmienność. Teren szybko stał się górzysty, a ludzie podejrzliwi. Trasa do stolicy z początku prowadziła po w miarę płaskim terenie; na pustych stepach, które przecinała, czasem pasło się parę wielbłądów lub dzikich koni. Później zaczęła się kręcić między górami, wciąż jednak na nieznacznej wysokości. Dopiero następnego dnia wjechałem na fragmenty drogi położone na wysokości ponad 3 tys. m n.p.m. Na tej wysokości droga z dwóch stron osłonięta była wysokim na dwa, czasem może nawet trzy metry nasypem ze śniegu, którego w dolinach już nie było. Poza niższą temperaturą zmiana wysokości była wyczuwalna również w nastroju kierowcy, który był wyraźnie zestresowany. Później dowiedziałem się, że regularnie schodzą tam lawiny, wtedy ci, którzy mają więcej szczęścia, chowają się w tunelach, by następnie godzinami, a nieraz dniami oczekiwać na pomoc. Tunele z jednej strony stawały się dla nich schronieniem, ale z drugiej wcale nie były bezpieczne. Nie tylko w Kirgistanie, lecz także w całej Azji Centralnej tunele są zazwyczaj nieoświetlone i niewentylowane. W połączeniu z ich długością sprawia to, że w środku gromadzą się spaliny stanowiące poważne zagrożenie dla życia.

Najwyższe partie gór pokonywałem drugiego dnia przeprawy. Pierwszego dnia moim celem był park narodowy, w którym chciałem zostać na dłużej. Niestety park okazał się zamknięty, jednak nie mając alternatywy, wszedłem do niego nielegalnie i rozbiłem namiot. Rano obudzili mnie strażnicy parku. Mówili, że park jest zamknięty, a nawet gdyby był otwarty, nie dałbym sobie rady przy dużej ilości śniegu w wyższych partiach gór,

wspomnieli również, że mogę się natknąć na niedźwiedzia. Pokrzyżowało to moje plany, w końcu żeby tam dojechać, zboczyłem z głównej drogi o około 80 kilometrów...

Nie był to jednak stracony czas. Później w Kirgistanie odwiedziłem jeszcze okolice jeziora Issyk kul, jednak jego okolica, popularna wśród odwiedzających kraj turystów, była dużo bardziej skomercjalizowana. Kierując się zaś do Parku Sary-Chelek, doświadczyłem przestrzeni nieoswojonej ze światem. Do parku, co prawda, w sezonie przyjeżdżają turyści z całego świata, jednak jest ich znacznie mniej i są oni skupieni wyłącznie na górach, przez co moja relacja z obserwowanymi wsiami i ludźmi mogła być bardziej bezpośrednia. To właśnie wtedy Kirgistan pokazał mi inne oblicze, pełne podejrzliwości i sprytu. Jedną z jego twarzy okazał się mężczyzna, który zaproponował mi podwózkę do parku. Kiedy wsiadłem do jego samochodu, okazało się, że jest pijany, zresztą wcale się z tym nie krył, zapytał tylko, czy nie będzie mi przeszkadzało, jak wypije jeszcze trochę. Nie protestowałem – droga była pusta, a samochód ledwo się trzymał. Nie byłem też jedynym pasażerem. W aucie siedział też mężczyzna, którego trudno określić inaczej niż lokalny pijaczek. Między panami wywiązała się awantura. Pijaczek nieustannie mnie zagadywał, kierowca natomiast, chyba chcąc mi zapewnić najwyższy możliwy w tych okolicznościach komfort, odganiał pukającą w moje ramię dłoń pijaczka. Krzyczał na niego – raz po rosyjsku, raz po kirgisku. Na mnie również krzyczał w ten sam sposób o tym, jak bardzo jest uradowany, że mnie wiezie, nieustannie również zapewniając, że tak się cieszy, że nawet grosza ode mnie nie weźmie. Jednak gdy dojechaliśmy na miejsce, okazało się, że zapłata nie podlega negocjacji.

Tych parędziesiąt kilometrów jazdy okazało się najbardziej intensywnym doświadczeniem w Kirgistanie. Zaczęło się od jazdy z pijanym kierowcą, z którym – gdyby nie strażnik parku pilnujący do niego wejścia – zmuszony byłbym wdać się w bójkę (kierowca nie był zbyt usatysfakcjonowany z wręczonej mu kwoty), poprzez spotkanie z paroma strażnikami parku, którzy rano nawiedzali mnie co parę minut, powtarzając w kółko, że muszę wyjść, aż po małe dzieci, które rzucały we mnie kamieniami. Około ósmej rano od spotkanego pana dostałem również propozycję picia wódki u niego w domu. Był to pierwszy raz, kiedy byłem przekonany, że nie chodzi o alkohol, lecz o przejęcie zawartości mojego portfela i plecaka. Nie był to koniec wrażeń. Na skrzyżowanie z trasą prowadzącą do Biszkeku (to samo, na którym dzień wcześniej zboczyłem z drogi) pojechałem z policjantem w cywilu. Gdy wsiadłem, nie zwlekając, zapytał mnie, jak się nazywam i skąd pochodzę. Kolejne pytania okazały się już znacznie trudniejsze.

– A po ch*** wy tej Ukrainie pomagacie? – zapytał kierowca.

Próbowałem wykręcić się z odpowiedzi na pytanie, ale kierowca nie odpuszczał.

– A wy, lubicie Putina? – dociekał.

– No, nie bardzo – odpowiedziałem.

– Jak to nie! – ryknął zdziwionym głosem. – Przecież Putin jest dobry! – kontynuował.

– Jak to dobry? – zapytałem, wiedząc już, że nie uda mi się uciec od tego tematu.

Zacząłem powoli żałować, że wspomniałem o celu mojej podróży. Umówiliśmy się z policjantem, że zawiezie mnie do stolicy, do której wciąż pozostawało parę dobrych godzin drogi. Wysłuchałem więc pełnego tęsknoty przemówienia, w którym chwalił Związek Sowiecki i podkreślał konieczność ponownego zjednoczenia byłych republik w jedno imperium. Słyszałem pochwały Putina za to, że zmierza w tym kierunku. Kierowca wykrzyczał swój światopogląd, nie będąc zbytnio zainteresowany moim.

Kiedy skończył, albo tylko na chwilę przerwał, dopytałem się jeszcze raz, czy zgodzi się zawieźć mnie do stolicy za darmo. Zaśmiał się, mówiąc, że za darmo to nikt mnie tam nie zabierze. Mylił się. Dojechałem jeszcze tego samego dnia.

Był to pierwszy i ostatni raz w Azji Centralnej, kiedy spotkałem się z tak bezpośrednią i nachalną pochwałą współczesnej Rosji.

» Stolica

W Biszkeku gościłem parę dni u Imana. Poznaliśmy się parę tygodni wcześniej przed wejściem do hostelu w Taszkencie. Podszedł do nas, jak paliłem papierosa z kolegą z pokoju; zamieniliśmy parę słów o tym, skąd jesteśmy i co robimy. Powiedziałem, że przyjechałem zwiedzić Azję Centralną, a gdy wspomniał, że jest z Biszkeku, odparłem, że będę tam za parę tygodni. Nalegał, żebym dał mu znać kiedy, to z chęcią się ze mną spotka. Kiedy tam dotarłem, napisałem do niego. Iman zaprosił mnie do siebie. Udostępnił mi jeden z pokojów w swoim rodzinnym domu. Byliśmy tylko we dwójkę, jego rodzice wyjechali, a jego jedyna siostra mieszkała już z mężem. Zatrzymałem się na parę dni.

W Azji Centralnej domy są raczej niskie, jednopiętrowe, a od ulicy osłonięte wysokim na około trzy metry murem, z równie wysoką stalową i nieprzejrzystą bramą, tak jak u pana Turgumbaja. Tak samo wyglądał dom Imana, jednak wewnątrz był urządzony po europejsku. Iman spał w zwykłym łóżku, a nie na zwijanej cienkiej macie. W łazience była zwykła toaleta, a nie najpopularniejsza w Azji „kucana" (dziura w podłodze). W mieszkaniu były również meble, których nie widziałem w ubogiej Dolinie Fergańskiej w Uzbekistanie, a w salonie stały kredens z porcelaną i duży telewizor. Herbatę i wino piliśmy odpowiednio z kubków i w kieliszkach, a nie z małych miseczek. Był to również pierwszy i chyba jedyny dom, w którym gościłem podczas mojej miesięcznej podróży po Azji Centralnej, z centralnym ogrzewaniem i bieżącą wodą.

Pan Turgumbaj i Iman nie byli wyjątkami. Wszyscy kierowcy, z którymi podróżowałem autostopem, gdy było już po zmierzchu, pytali, gdzie planuję spędzić noc. Kiedy odpowiadałem, że nie wiem, że to zależy od tego, dokąd dojadę, a jak nie dojadę w żadne konkretne miejsce, to po prostu zdrzemnę się w namiocie, ochoczo zapraszali mnie do swoich domów, w których stawałem się orientalną atrakcją dla całej ich rodziny. Nigdy nie miałem przeczucia, że łączy się z tym jakieś niebezpieczeństwo. Kierowcy wyglądali zawsze na uczciwych ludzi.

Inaczej było z Imanem. Dotąd między mną a gospodarzami była bariera językowa oraz różnica pokoleniowa, Iman zaś był niewiele starszy ode mnie i posługiwał się angielskim. Szybko zacząłem wypytywać go o życie w Kirgistanie. Nie zaskoczyły mnie zbytnio jego problemy, jednak po raz pierwszy opowiedział mi o nich przedstawiciel mojego pokolenia. Iman skończył dobre studia, jednak nie pracował w zawodzie, bo było to zbyt mało opłacalne. Pracując w międzynarodowej korporacji, zarabiał trochę ponad 200 dolarów miesięcznie, co stanowiło kwotę skutecznie uniemożliwiającą mu samodzielność, jednocześnie była ona większa od zarobków jego siostry, która jest lekarzem. Azja Centralna jest tania, jednak nie aż tak, by za 200 dolarów można było ułożyć sobie życie. Kiedy pytałem się go, jak udaje mu się przeżyć oraz jak w takim razie udaje się przeżyć tym, którzy nie są w aż tak dobrej sytuacji jak on (Iman pochodził z dobrze sytuowanej ekonomicznie rodziny), poruszył dwa wątki: spryt i silne więzi rodzinne.

W Biszkeku spędziliśmy razem parę dni, za dnia mój gospodarz chodził do pracy, a ja zwiedzałem miasto. Wieczorami grywaliśmy w karciane gry, piliśmy wino i oglądaliśmy zachodnie filmy. Iman uskarżał się na aktualną

sytuację polityczną i ekonomiczną. Wcześniej pracował w Korei, jednak kiedy świat obiegła epidemia, rząd cofnął mu wizę. Niepocieszony wrócił do kraju, a w oczekiwaniu na kolejną szansę migracyjną, rozeszły się jego niewielkie oszczędności.

» Kontrasty

Kirgistan wciąż pozostaje krajem kontrastów. W młodym pokoleniu ściera się, z jednej strony, chęć niezależności i nowoczesnego stylu życia, a z drugiej, naleciałości tradycji oraz warunki socjalno-ekonomiczne. W stolicy parę lat temu doszło do zamieszek, w wyniku których w kraju zmieniła się władza. Iman „rewolucje" przespał, nie chodził wtedy do pracy, leżał w łóżku, a o wydarzeniach, które miały miejsce obok jego domu, czytał w internecie. „Rewolucja", epidemia oraz słaby rynek pracownika nie są jedynymi problemami, z jakimi się zmaga. Kiedy spędzaliśmy wieczory w jego domu, około dziewiętnastej zapalaliśmy świece – nie działały wtedy żadne urządzenia elektryczne. Iman wspomniał, że państwo jest zobowiązane umowami energetycznymi z innymi krajami Azji Centralnej i podczas przerwy wysyła prąd do Kazachstanu. W rzeczywistości sprawa okazała się trochę bardziej skomplikowana. Kraj nie nadąża z produkcją prądu, problem jest rozwiązywany odłączeniem wytyczonych sfer od zasilania w godzinach szczytu (na około godzinę). Wątek z przesyłaniem energii do Kazachstanu też jest prawdziwy. Azja Centralna została zaprojektowana przez Związek Sowiecki, który nie przewidywał przyszłego podziału regionu na autonomiczne państwa. Teraz kraje są od siebie zależne energetycznie, co wyzwala niestabilność, a żaden z krajów nie jest autonomiczny w tym przemyśle. Kirgistan produkuje prąd głównie na wiosnę i latem, kiedy z gór spływa śnieg i napędza elektrownie wodne, na jesieni i zimą produkcja maleje, a kraj jest zmuszony importować energię, jednocześnie będąc zobowiązanym do eksportu części tej, którą produkuje.

Iman nie wydawał mi się zbytnio cierpieć z tego powodu, zdaje się, że przywykł do takiej sytuacji. Znacznie bardziej doskwiera mu niemożność osiągnięcia finansowej samodzielności, która odbijała się na każdej sferze życia. Szczególnie ciekawą okazały się relacje.

W internecie można znaleźć informacje o wciąż żywej, brutalnej tradycji matrymonialnej. Przyszli mężowie mają porywać kobiety z ulicy, następnie przyszła żona jest zmuszana do podpisania dokumentu, że porwanie nie miało miejsca oraz że dobrowolnie chce stać się żoną swojego porywacza. Cała operacja odbywa się w kuluarach zmowy pomiędzy panem młodym a rodzicami panny młodej. Ciężko jednak znaleźć dokładne informacje na ten temat, niemniej, mimo że tradycja ta staje się coraz mniej popularna, istnieje w mniej rozwiniętych częściach kraju. W Biszkeku, w muzeum narodowym, młoda pani przewodnik odpowiedziała mi, że gdybym czegoś podobnego spróbował, szybko spotkałaby mnie ciężka ręka sprawiedliwości jej rodziny.

W kraju, w którym trudno o samodzielność, relacje często opierają się na zależności. Porwania są tylko jednym z przykładów. Ich genezy można się doszukiwać co prawda w tragicznej sytuacji ekonomicznej, jednak zdaje się, że jest ona katalizatorem pozwalającym przetrwać wciąż żywej tradycji plemiennej. Kirgizi do dziś często wspominają, z którego plemienia się wywodzą; ich tożsamość jest nie tyle narodowa, ile właśnie plemienna.

Iman swojej żony jeszcze nie porwał ani porwać nie zamierza. Z jednej strony uskarżał się na kobiece spojrzenie na mężczyzn przez pryzmat czysto materialny, z drugiej jednak wcale go to nie dziwiło. Był świadomy, że na samodzielność go po prostu nie stać. ■

Tomasz Sakiewicz

Ostatnia wojna Donalda Tuska

Zastanawianie się, po co w Polsce jest Donald Tusk, nie ma już większego sensu. Ta gra jest czytelna do końca. To nie jest ani emanacja układu okrągłostołowego, ani też bezpośrednie aktywum Rosji. Owszem, układ, w którym Donald Tusk może istnieć i robić to, co robi, wynika zarówno z dawnych uzależnień naszych elit od Moskwy, jak i tego, co stało się przy Okrągłym Stole. Ale Donald Tusk jest samodzielnym projektem Berlina, który korzysta z naszych słabości i geografii politycznej świata postkomunistycznego. Berlin czerpie z tego projektu całą gębą: blokada kluczowych inwestycji infrastrukturalnych i energetycznych, obniżenie potencjału gospodarczego, karmienie niemieckiego przemysłu naszymi zamówieniami – to tylko niewielka część profitów z projektu Tusk. Niemcy zawsze wzmacniają się, gdy Tusk rządzi, i słabną, kiedy w Polsce do władzy dochodzi obóz patriotyczny. Oczywiście sytuacja Niemiec jest uwarunkowana dziś przede wszystkim popełnionymi przez nich błędami. Liberalna polityka społeczna doprowadziła, jak zresztą w większości krajów Europy, do uszkodzenia tradycyjnej tkanki społecznej i znacznego ograniczenia dzietności. W efekcie starzejące się społeczeństwo potrzebowało wielu rąk do pracy spoza granicy tego państwa. Najpierw sycono gospodarkę niemiecką imigrantami z Turcji, po 1989 roku z Europy Środkowej, a kiedy poziom życia tych krajów wzrósł, otworzono granicę na imigrantów z biednych krajów Afryki i Azji. Skutek był odwrotny od oczekiwanego. Gwałtowne pogorszenie warunków bezpieczeństwa zniszczyło część drobnego handlu i przemysłu. Jednocześnie wzrosły wydatki socjalne. Niemcy próbowali jeszcze ratować się tanią energia z Rosji. Wybuch wojny w 2022 roku zniszczył lewar, który przez dwie dekady był źródłem siły niemieckiej gospodarki. Energia z Rosji stała się ich poważnym problemem. Próba wejścia w kooperację z chińskim rynkiem samochodowym kończy się właśnie jeszcze większą klapą. Zamiast podbić Azję, Niemcy muszą się bronić przed rosnącą ekspansją Pekinu w Europie. Ich ostatnią nadzieją był Mercosur, czyli otworzenie rynku europejskiego na tanią produkcję rolną z Ameryki Południowej, w zamian za możliwość ekspansji niemieckiego przemysłu samochodowego i chemicznego na tamten kontynent. Problem w tym, że Chińczycy zwiększają swoją aktywność również na tamtym kontynencie, a USA też nie odpuszczą Berlinowi.

Ostatnim pomysłem na utrzymanie pozycji imperialnej jest wymuszenie integracji europejskiej, która doprowadzi do takiego podziału ról, że Niemcy będą głównym rozgrywającym i przez to podtrzymają spowalniający rozwój gospodarczy. O ile politycznie byli bliscy sukcesu, to gospodarczo może to znowu wyjść im bokiem. Uzależnianie od Berlina ościennych krajów powoduje, że ten musi mocno angażować się w ich sprawy wewnętrzne i tworzyć projekty gospodarcze sprzeczne z regułami rynku. Jeżeli Tusk po coś jest jeszcze w Polsce, to właśnie po to. Problem w tym, że wbrew nadziejom naszego zachodniego sąsiada, brak opłacalności ekonomicznej projektu jednego państwa powoduje, że wali się on na naszych oczach. Coraz silniejsze stają się ugrupowania, które w ogóle nie chcą UE. Jeżeli Niemcy skłonią się do refleksji, to mogą to jeszcze zatrzymać, ale wtedy projekt Tusk błyskawicznie się zakończy. Jeżeli nie, też się zakończy, ale z dużą szkodą dla przyszłości stosunków polsko-niemieckich. ■

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.